www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 42 (1084)
12-18.10.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. BOGUSŁAW ŚLIWERSKI: W OŚWIACIE IM WIĘCEJ ZMIAN, TYM GORZEJ

LEWICA – WYBORCY SĄ, ALE NIE CHCĄ GŁOSOWAĆ

LOTNISKO BARANÓW – KTO CHCE OSZUKAĆ ROLNIKÓW

CZARNY PAŹDZIERNIK NA DROGACH

KADRY MORAWIECKIEGO

Jego ludzie siedzą na kasie

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

TEATR CAPITOL

SCENOGRAFIA
Marek Chowaniec

KOSTIUMY
Tomasz Jacyków

OPRACOWANIE MUZYCZNE
Jerzy Mączyński

Ray Cooney

Kochane pieniązki

REŻYSERIA
Jerzy Bończak

PRZEKŁAD
Elżbieta Woźniak

PREMIERA
PAŹDZIERNIK
2020

Kultury
NARODOWE CENTRUM KULTURY

• KUP BILET TEATR CAPITOL 2020 • www.teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 8d3d48c988

CYTATY

WADIM TYSZKIEWICZ,
senator, były prezydent Nowej Soli
Nieuczciwie wygrane wybory tylko wzmocniły najgorszego prezydenta w historii kraju, grabarza polskiej demokracji.
„Angora"

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ, prezes PSL
Niszczenie Wałęsy dla politycznych celów uważam za nikczemność.
„Dziennik Gazeta Prawna"

ANDRZEJ SOŚNIERZ,
poseł PiS (Porozumienie)
Zafundowałbym wszystkim Polakom szczepienie na grypę za darmo.
„Rzeczpospolita Plus Minus"

KAROLINA GRUSZKA, aktorka
Rosjanie zwykle lubią, jak ktoś mówi z polskim akcentem, uważają, że ma to wdzięk.
„Zwierciadło"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Remoncik zamiast rekonstrukcji

Mamy rząd. Na papierze. Bo tam, gdzie czekamy na decyzje, tego rządu nie ma. Jest za to na ekranach stacji telewizyjnych, które żywią się licznymi konferencjami premiera i ministrów zapowiadających kolejne cuda. I dla odmiany czy kontrastu wymieniających kolejne grupy Polaków, z którymi władza musi walczyć. A musi, bo chrześcijańska Polska jest zagrożona.

Kto chce, ten wierzy tym złotoustym, a prościej mówiąc wyszczekanym, bredzisławom, którzy przemawiają na tle logo swoich partii. Jeszcze nie ucichnie echo po jednej konferencji, a już zaczyna się następna – i kolejna.

Nie pamiętam ekipy, która choć po części byłaby tak płodna w produkowaniu obiecanek. Ale skoro polityczne cudotwórstwo opłaca się władzy, to jedzie na tej metodzie bez umiaru. Co mądrzejszych obserwatorów polityki bardzo dziwi skuteczność tak prymitywnej gry. Bo przecież nawet kompletny laik musi widzieć, jak bardzo to wszystko jest niespójne. I jak bardzo te rozmaite obietnice są nierealne.

Może i widzieli, może i wiedzieli. Ale wiara, że ta specyficzna pisowska prawica dotrzyma obietnic, wygrywała z wątpliwościami. Aż do powtórnego wyboru Dudy. I to mimo że trudno znaleźć jakąś głupotę, której Duda by nie powiedział w czasie kampanii, gdy żarliwie żebrał o głosy wyborców.

Poparli go i teraz czekają na realizację obietnic składanych przez prezydenta i obóz prawicy. Kolejne grupy zawodowe już wiedzą, że po wyborach ich oczekiwania mają skromne znaczenie. Zaczęło się od górników. Bardzo zimny prysznic spadł na rolników. A emeryci, którzy tłumnie poparli Dudę, równie tłumnie będą ofiarami zapaści służby zdrowia. W kolejce do wyrównania rachunków starych krzywd są nauczyciele, którzy nie zapomną rządowi PiS, jak pacyfikował ich strajk.

Problemów w Polsce jest tyle, że nawet dwa rządy, i to bardzo sprawne, miałyby co robić. A my zamiast tego mieliśmy wodewil, który nazwano rekonstrukcją rządu. Reforma miała być głęboka i merytoryczna. Opozycja zaniemówiła. Media relacjonowały rozmowy. I po prawie trzech miesiącach na świat przyszło to oczekiwane coś. Z szumnych zapowiedzi został tylko remoncik. Klocki pomalowano na inne kolory, zmieniono nazwy oraz tabliczki na gmachach i drzwiach gabinetów. Słyszałem, jak minister z kancelarii premiera mówił, że jest to komprymacja i optymalizacja. Niestety, król jest nagi. Reformy nie ma. Jest eksperyment. I to bez większego sensu.

W dramatyczną fazę epidemii wchodzimy ze słabnącą pozycją prezesa Kaczyńskiego, głęboko skonfliktowanym rządem, prezydentem bez charakteru, podziałami w samym PiS i coraz żwawszym ogonem w postaci Solidarnej Polski i Porozumienia. Jest się czego bać.

Wydana przez naszą fundację książka
Leszka Konarskiego
„Nowa Huta – wyjście z raju"
znalazła się wśród 15 finalistek
Grand Press – Książka Reporterska Roku 2020

Naprawdę warto przeczytać!
49 zł
Przegląd
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 8d3d48c988

W NUMERZE

KRAJ

8 **Wszyscy ludzie Mateusza**
Swoi w biznesie to władza premiera

12 **Oświatowa kontrrewolucja**
– rozmowa z prof. Bogusławem Śliwerskim

15 **Gigantomania nieposkromiona**
Lotnisko Baranów, czyli życie na bombie

18 **Kaczyński to mistrz żeglowania pod wiatr**
– rozmowa z dr. hab. Przemysławem Sadurą

22 **Czarny październik**
Na drogach znów ginie więcej ludzi

ZAGRANICA

24 **Premier jest nagi**
Bułgaria – nowy Trzeci Świat

27 **Stany nadzwyczajne sąsiadów**
Czechy i Słowacja w drugiej fali pandemii

54 **Dzień z życia uchodźcy**
Korespondencja z Grecji

PUBLICYSTYKA I OPINIE

30 **Robert Walenciak**
Czego brakuje lewicy?

32 **Małgorzata Żuber-Zielicz**
Jakość, jakoś, bylejakość

HISTORIA

34 **Burżujów wróg, ludu obrońca**
Przemilczany życiorys Henryka Sławika

38 **Wstawajcie, bo jadą naszą cerkiew walić!**
Jak burzono cerkwie w 1938 r.

ZDROWIE

42 **Nobel nas cieszy, ale nie jestem optymistą**
– rozmowa z prof. Waldemarem Halotą

46 **W poszukiwaniu straconej ciszy**
Zabójcze decybele

58 **Co jest nie tak z Eleną?**
Psychiatra – najpotrzebniejszy specjalista

KULTURA

48 **Na prowincji marzenia wyglądają inaczej**
– rozmowa z Piotrem Domalewskim

51 **Laureat, co snuje i tka**
Nike dla Radka Raka

52 **Qulturalia**

66 **Foyer. Wycinanki Kasi Kmity**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Remoncik zamiast rekonstrukcji

21 **Roman Kurkiewicz**
Wybory wygrane, możecie umierać

37 **Tomasz Jastrun**
Orzeł bez głowy

45 **Wojciech Kuczok**
Miękkie tkanki, twarda proza

53 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Z ust do ust (za plecami kelnera)

46
ZDROWIE

W POSZUKIWANIU STRACONEJ CISZY
Zabójcze decybele

48
KULTURA

NA PROWINCJI MARZENIA WYGLĄDAJĄ INACZEJ
– rozmowa z Piotrem Domalewskim

54
ZAGRANICA

DZIEŃ Z ŻYCIA UCHODŹCY
Korespondencja z Grecji

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KLETA/BEWPHOTO, ADOBE STOCK

eprasa.pl/3d48c988

Prof. Maciej Banach: Nasza służba zdrowia jest jak płonący las

Chipsy, pizza, cola – jak nas karmią reklamy w telewizji

USA – kampania inna niż wszystkie

Lewica w pułapce wojen kulturowych

Lewica ma się dobrze. Nie ma co specjalnie biadolić. Dzisiaj ludzie nie mają żadnego zacięcia politycznego, zajmują się głównie własnymi sprawami. Zainteresowanie rośnie, kiedy zbliża się mecz, ale do tego mamy jeszcze mnóstwo czasu. Na tę chwilę najważniejsze, że są w parlamencie. I ta tuba musi wystarczyć.

Lewica w pułapce wojen kulturowych

Po roku obecności lewicy w parlamencie jej sondaże słabną

Jakub Dymek

Rok obecności lewicy w nowej formule nie będzie raczej okazją do toastów szampanem. Kawioru powyborcze rozliczenia i na czym polega pułapka wojen kulturowych, w którą wciągnął lewicę Zbigniew Ziobro?

Premia za zjednoczenie

kandydata na prezydenta z przełomu roku. Najgierew Adrian Zandberg zabłysnął świetnym wystąpieniem w Sejmie – stanowym już „kontrexposé" – co uczyniło go w oczach wielu naturalnym pretendentem do

Andrzej Kościański

•

W SLD była i jest niechęć do sojuszu z Wiosną i Razem. Często słychać głosy niezadowolenia starych działaczy, wzywających do powrotu do koalicji z PSL i PO. I prawdopodobnie tak się stanie. Hołownia pewnie jeszcze przy okazji coś ułowi.

Vlada Domanska

•

Operacja podźwignięcia się Lewicy wymaga czasu i konsekwencji w oddolnych, lokalnych inicjatywach, które ta zaczyna w końcu realizować. Mit prosocjalnej polityki PiS musi w końcu zacząć się wypalać i pozostawi po sobie niemałą grupę rozczarowanych. Sondaże wskazują, że elektorat Lewicy to głównie duże miasta? Świetnie! W dużych miastach też jest miejsce na prospołeczne interwencje, choćby w takich sprawach jak los wciąż wyzyskiwanych i trzymanych na śmieciówkach pracowników łódzkich fabryk AGD. Rząd PiS ze swoimi tarczami antykryzysowymi nie zabezpieczył pracowników np. przed oskubaniem ich z wynagrodzeń za nadgodziny. Znakomite pole do walki – również o polityczną rozpoznawalność, bo szumnie ogłaszany „rynek pracownika" to wciąż w wielu miejscach smutny żart.

Emilia Walczak

Test niemożliwego?

Problem z powszechnym dochodem podstawowym w formie minimum socjalnego powiązanego z funkcjami społecznymi jest taki, że bardzo istotne dla dobrostanu zbiorowości prace zostają wycenione na 1,2 tys. euro. Tymczasem za *bullshit job*, robotę bez sensu, w korporacji – generującą społeczne problemy – wynagrodzenie jest znacznie wyższe. Następuje więc dobór negatywny. Powinno być odwrotnie, za wypełnianie tabelek Excela w korpo 1,2 tys. euro, a za prace społeczne godziwe – w ramach danego rynku – wynagrodzenie.

ZAGRANICA

Jan Śpitka

Test niemożliwego?

Niemcy sprawdzają, jak na człowieka wpłynie fakt, że za samo istnienie dostanie co miesiąc 1,2 tys. euro

Całkowicie nie eksperymentu. Niemieccy badacze stanęła się dowiedzieć, w jaki sposób bezwarunkowy dochód podstawowy (BDP) wpłynie na ludzi. Dla porównania – co to, jak każdy pracującego rzędy pracy. Koncepcja BDP zakłada, że każdy otrzymał gwarantowane minimalne pieniądze utrzymania od państwa stałej kwoty bez obowiązkowej do życia. Gdy wejdzie w wszystkie ze wszystkimi dodatkowymi przy-

tego doświadczenia. Wiesz jak to jest? Jak ma być?

mówi się bądź o świadczeń socjalnych dominujących pomocy. Bądź o to dziś na gruntowe życie. Mój otoczenia to

Wojtek Kozłowski

•

Niemcy sprawdzają, jak na człowieka wpłynie fakt, że za samo istnienie dostanie co miesiąc 1,2 tys. euro. Natomiast Polacy będą pracować po 60 godzin tygodniowo za równowartość 400 euro miesięcznie, żeby Niemcy mogli za niepracowanie dostawać 1,2 tys. euro. Przecież ktoś musi sfinansować te nieustające wakacje. Sfinansują je niemieckie firmy, które zyski transferują z Polski do macierzy. Tam od tych zysków zapłaci się podatki, tam się z nich dopłaci do niemieckich pensji, tam nakręcą gospodarkę, która w końcowym efekcie będzie w stanie opłacić te luksusy. Wszystko *de facto* z ciężkiej harówki wschodnioeuropejskich ubogich krewnych. I żeby system mógł działać, biedota ze Wschodu musi pozostać biedna, bo inaczej nie zgodziłaby się na pracę na tak upokarzających warunkach. I o to chodziło w tzw. wyzwoleniu Europy Wschodniej spod „jarzma komunizmu".

RC

ZDJĘCIE TYGODNIA

Szacunek dla prezesa ważniejszy od koronawirusa. Prezydent Andrzej Duda naprędce zdejmował rękawiczkę, by pogratulować nominacji Jarosławowi Kaczyńskiemu podczas zaprzysiężenia nowych ministrów 6 października.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 8d3d48c988

W ciągu 42 lat od zastosowania metody zapłodnienia pozaustrojowego na świecie urodziło się z in vitro ponad 8 mln dzieci.

5 mld zł wyniosą w tym roku inwestycje w energię słoneczną w Polsce. **Są szanse, że w 2030 r. 40% energii elektrycznej będzie u nas pochodzić ze słońca i wiatru.**

Radek Rak za „Baśń o wężowym sercu lub wtóre słowo o Jakóbie Szeli" **otrzymał Nagrodę Literacką Nike**. A **Joanna Gierak-Onoszko** za „27 śmierci Toby'ego Obeda" **została laureatką Nike Czytelników 2020.**

Olga Tokarczuk, noblistka, odmówiła przyjęcia honorowego obywatelstwa Dolnego Śląska, ponieważ taki sam tytuł sejmik przyznał znanemu z homofobii bp. Ignacemu Decowi.

Jerzy Urban został uniewinniony przez warszawski sąd w procesie o obrazę uczuć religijnych poprzez publikację w tygodniku „Nie" wizerunku zdziwionego Jezusa wpisanego w drogowy znak zakazu. To już kolejny proces w tej sprawie.

Kierowcy Ubera od 1 października **muszą mieć licencję na wykonywanie transportu drogowego.** Nowa ustawa o transporcie drogowym ma wyrównać warunki konkurencji między branżą taksówkową a innymi przewoźnikami.

17% Polaków uważa, że nie ma żadnej epidemii koronawirusa. Wśród osób między 18. a 34. rokiem życia prawie jedna trzecia uważa, że jest to wymysł polityków, mediów i firm farmaceutycznych (serwis Ciekaweliczby.pl).

Policja, tak żwawa w walce z tęczowymi, od prawie roku nic nie robi, by wyciągnąć konsekwencje wobec sprawców zburzenia pomnika gen. Zygmunta Berlinga. Sprawców dobrze znanych policji.

Paweł Jabłoński, wiceminister spraw zagranicznych z politycznego desantu ultraprawicowego Ordo Iuris, który nawet zdaniem byłego ministra z PiS nie ma pojęcia o dyplomacji, **wystąpieniem w Senacie potwierdził, że jest urzędnikiem chamskim,** bezczelnym, a wiedzę ma nawet jak na standardy dojnej zmiany bardzo skromną.

Monika Socha-Czyż, związana z PiS przewodnicząca Okręgu Bielskiego Zjednoczenia Chrześcijańskich Rodzin, **nawołuje do odwołania wojewody śląskiego,** bo ten uchylił homofobiczną uchwałę gminy Radziechowy-Wieprz. Pani przewodnicząca wyznaje chyba nową wersję chrześcijaństwa bejsbolowego.

250 tys. osób choruje w Polsce na schizofrenię, ale w 2019 r. leczyło się tylko 182 tys.

PRZEBŁYSKI

Skończę rządy, mając 91 lat

To nie jest fotomontaż. Zdjęcie i tytuł wywiadu pochodzą z tygodnika „Wprost", który ukazał się 21 stycznia 2007 r. Jarosław Kaczyński, ówczesny premier, tak opisał swoje plany: „Chciałem rządzić, już gdy miałem 12 lat. Premierem zamierzałem zostać, mając lat 24, a skończyć rządy, mając lat 91. To byłby rok 2040". Jedną z rozmówczyń Kaczyńskiego była wtedy Dorota Kania (dziś „Gazeta Polska").

Wielka Osoba czy kapitan i właściciel?

Mamy ściągę na wypadek, gdyby ktoś trafił do telewizji wPolsce.pl na sabat dojnej zmiany. Dzięki tygodnikowi „Sieci" wiemy, co trzeba powiedzieć. Są dwa wzorce do wyboru. Dłuższy, autorstwa Anny Schmidt-Rodziewicz, wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej: „Dziękuję osobie, która nas, młodych polityków, uczy i pokazuje, jaka powinna być Polska naszych marzeń. Dziękuję wielkiej osobie, która nieustannie mnie inspiruje. Dziękuję prezesowi mojej partii. Mojemu politycznemu mentorowi, Jarosławowi Kaczyńskiemu. Chcę też podziękować drugiej szczególnej osobie. Dziękuję szefowi naszego rządu, premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. Osobie, która jest tytanem organicznej pracy u podstaw".
I krótszy, Krzysztofa Sobolewskiego: „Zawsze wtedy pojawia się kapitan, szef, właściciel. Bogu dzięki, takiego szefa, kapitana i właściciela mamy w osobie prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Będzie nas prowadził ku kolejnym zwycięstwom".
A później toasty.

Balt, czyli ble-ble

Dobór polityków lewicy do debat i programów telewizyjnych wygląda na prymitywny tumiwisizm albo jawny sabotaż. Kolejną zmarnowaną szansą powiedzenia czegoś sensownego było wysłanie europosła Marka Balta do TVP Info, do programu Woronicza 17. Nawet niezbyt rozgarnięty Rachoń wciągnął go nosem i ośmieszył. A na tle Kamińskiego, Suskiego i Sobonia polityk SLD wyglądał jak uciekinier z podstawówki. Balt plótł monotonnie androny, skutecznie odstraszając tym swoim ble-ble resztkę lewicowego elektoratu. Lepiej go trzymać gdzieś za kotarą. Może być czerwona. I z logo.

Synuś gwiazdorek

Mamusia nie zawsze ma czas, żeby mnie wszędzie wozić. A prawo jazdy mi zabrali. Kto się tak żali? 31-letnia dzidzia. Daniel Martyniuk, syn sławnego Zenka. Chodzący dowód szkód, jakie wywołuje disco polo, gdy trafi na takiego buca jak młody Martyniuk. W rubryce praca ma cały czas zero. Synuś nie pracuje, bo nie musi. Tatuś ma tyle chałtur, że może utrzymać całe stado nierobów. Daniel Martyniuk ma kasę i wolny czas, więc chla, ćpa i wywołuje burdy. I tak na okrągło. Sądy są litościwe. Siedział krótko. Skazano go na pięć miesięcy prac społecznych, po 20 godzin tygodniowo. I pomyśleć, że taki powiatowy odlot o byłej żonie mówi, że jest fatalnym beztalenciem i że go złapała na dziecko. Przy nim to ona jest noblistką.

FOT. REPRODUKCJA/KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, YOUTUBE (2)

eprasa.pl 8d3d48c988

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego w Polsce stale rośnie spożycie alkoholu?

KRZYSZTOF BRZÓZKA,
były prezes Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych

Najogólniej mówiąc, dlatego że kolejne rządy nie sformułowały żadnej odpowiedzialnej polityki wobec alkoholu. Pierwszym z jej filarów powinien być zakaz reklamowania napojów alkoholowych, drugim – ograniczenie dostępu do nich; sklepy powinny być zamykane o godz. 22, aby decyzje o zakupie były podejmowane na trzeźwo, a nie wtedy, gdy impreza się rozkręci. Trzecim koniecznym elementem jest odpowiedni poziom cen, tymczasem w UE tańszy niż w Polsce alkohol jest tylko w Bułgarii. Istotne znaczenie ma także to, że Polacy, jak pokazują badania, są w Europie narodem najbardziej oswojonym z alkoholem. Problemem jest wreszcie wszechobecność jego reklam, w tym niezgodnych z prawem, np. swoją treścią ukierunkowanych nawet na dzieci. Przy takim natłoku pozytywnych komunikatów na temat picia nawet najlepsza profilaktyka bywa bezradna.

ADAM KŁODECKI,
specjalista psychoterapii uzależnień, superwizor psychoterapii

Od jakiegoś czasu spożycie alkoholu wzrasta w całej Europie, co tłumaczy się m.in. stresem cywilizacyjnym, często rozładowywanym właśnie za jego pomocą. W polskich realiach istotnym czynnikiem jest moim zdaniem zbyt łatwy dostęp do alkoholu, w tym w wygodnych i łatwych do ukrycia małych butelkach, tzw. małpkach. Z moich doświadczeń zawodowych wynika, że konsumpcja alkoholu dodatkowo wzrosła w czasie pandemii, co w wielu przypadkach również jest związane ze stresem. Dla uzależnionych jego źródłem jest często utrata bezpośredniego kontaktu z terapeutą lub grupą wsparcia. Dodatkowo wiele osób źle znosi m.in. przymusową izolację w domach czy niepewność związaną z pracą. Wszechogarniający stres Polacy często rozładowują w najprostszy sposób: sięgając po butelkę.

DR KRZYSZTOF PUCHALSKI,
socjolog zdrowia, Instytut Medycyny Pracy im. prof. J. Nofera, Krajowe Centrum Promocji Zdrowia w Miejscu Pracy

Odpowiadają za to powiązane ze sobą procesy społeczne, ekonomiczne i psychologiczne. Moim zdaniem podstawowe znaczenie mają cztery. Po pierwsze, więcej zarabiamy, a alkohol jest niedrogi i coraz łatwiej dostępny, na dodatek w atrakcyjnych formach (gotowe drinki w butelkach, małpki itd.). Po drugie, pojawiają się nowe społeczne wzorce picia, czego przykładem są mody na domowe nalewki, piwa kraftowe czy whisky. Chęć uczestnictwa w związanych z nimi rytuałach, oferujących określone przeżycia czy status, sprawia, że pijemy częściej i więcej. Po trzecie, alkohol daje nam poczucie, najczęściej złudne, że rozwiązuje nasze problemy, a tych mamy coraz więcej, np. związanych ze stresem, izolacją społeczną, osamotnieniem czy nierozumieniem otaczającego świata. Czwartą przyczyną jest słabość profilaktyki, za co odpowiada m.in. siła marketingowa i lobbystyczna przemysłu alkoholowego, ale także krótkoterminowy interes państwa w zwiększaniu konsumpcji alkoholu, a więc i wpływów z akcyzy.

TOMASZ VERG,
czytelnik PRZEGLĄDU

Żyjąc w kraju, w którym jesteś zdany na samego siebie, bo ochrona prawna i instytucjonalna są pozorne, a wspólnota iluzoryczna, potrzebujesz znieczulenia. Alkohol pozwala na moment uciec od tego wszystkiego.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 8d3d48c988

Wszyscy ludzie Mateusza

Żaden z dotychczasowych premierów nie zapewnił sobie tak szerokiej i realnej władzy nad polską gospodarką

Morawiecki zawdzięcza karierę nazwisku i prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Marek Czarkowski

W Prawie i Sprawiedliwości nie jest lubiany. Do partii wstąpił w połowie marca 2016 r., gdy był już wicepremierem i ministrem rozwoju w rządzie Beaty Szydło. Jego poglądy na państwo i gospodarkę pasują raczej – jak mówią twardzi pisowcy – do „liberastów" z Platformy Obywatelskiej. Jako jedyny polityk rządzącej formacji dał się nagrać kelnerom w restauracji Sowa i Przyjaciele, a fragment „ludzie mają zap… za miskę ryżu" zyskał status kultowego.

Ten milioner i były prezes należącego do irlandzkiego kapitału Banku Zachodniego WBK karierę zawdzięcza nazwisku oraz prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu, który 11 grudnia 2017 r. uczynił go szefem rządu. Po czym zaczął dawać do zrozumienia, że Morawiecki może być jego następcą, gdy on zdecyduje się zostać „emerytowanym zbawcą narodu".

Morawiecki wiedział, że politycznie jest nikim. „Prezesem wszystkich prezesów" był – i jest – Kaczyński. Struktury terenowe Prawa i Sprawiedliwości to domena Joachima Brudzińskiego. W sensie ideowym ton prawicy próbował nadać Zbigniew Ziobro, który nie skrywał wodzowskich ambicji. W 2018 r. wśród pisowskiego ludu nadal bardzo popularna była premier Beata Szydło. Jej wynik – 525 811 głosów – w wyborach do europarlamentu jednych zaskoczył, a drugich zdenerwował.

Morawieckiemu udało się ograć bardziej doświadczonych polityków Zjednoczonej Prawicy.

Morawiecki mógł budować swoje zaplecze jedynie w gospodarce. Robił to, nie tylko obsadzając swoimi ludźmi zarządy i rady nadzorcze spółek z udziałem skarbu państwa, ale także konsolidując gigantyczne środki w Grupie Polskiego Funduszu Rozwoju oraz forsując regulacje prawne dające mu niezwykle szerokie uprawnienia. I udało mu się ograć bardziej doświadczonych polityków Zjednoczonej Prawicy.

Buldogi

Politycy PiS chętnie powtarzają, że szli po władzę, by służyć Polsce. W praktyce często sprowadzało się to do obsadzania swojakami zarządów i rad nadzorczych spółek skarbu państwa. Oraz do walk o strefy wpływów. Premier Beata Szydło bezpośrednio nadzorowała niemal 30 spółek. Ponad 300 pozostałych oddała w ręce ministrów.

eprasa.pl 8d3d48c988

W puli ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego znalazły się zarządy KGHM, PGE, Energi, Enei, Orlenu, Lotosu i PGNiG.

Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz obsługiwał karuzelę stanowisk w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, Exatelu i Polskim Holdingu Obronnym.

Minister infrastruktury i budownictwa Andrzej Adamczyk dzierżył Polski Holding Nieruchomości i PKP.

Pełnomocnik rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej Piotr Naimski miał pod sobą PERN SA i Polskie Sieci Elektroenergetyczne.

Wicemarszałek Sejmu, a następnie minister spraw wewnętrznych i administracji Joachim Brudziński – Polską Wytwórnię Papierów Wartościowych.

Pełnomocnik rządu do spraw restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego Grzegorz Tobiszowski – Węglokoks, Jastrzębską Spółkę Węglową i Polską Grupę Górniczą.

O resztki z pańskiego stołu walczyły małe frakcje polityczne i towarzyskie w obrębie Zjednoczonej Prawicy. Byli gowinowcy – młodzi działacze Porozumienia, sekta smoleńska skupiona wokół Antoniego Macierewicza, frakcja toruńska, której nie tylko duchowym przywódcą był o. Tadeusz Rydzyk, a także zakon PC – wąska grupa najbliższych współpracowników Jarosława Kaczyńskiego, będąca z nim od początku lat 90.

Politycy Zjednoczonej Prawicy od dawna wiedzą, że taki system to fatalne rozwiązanie. – To jedna z większych naszych pomyłek – mówił wicepremier Jarosław Gowin.

Jedynym obszarem, na którym Morawiecki mógł budować swoje zaplecze, była gospodarka.

Doprowadziło to do silnych tarć w obozie władzy i do walki o wpływy.

Morawiecki, który do rządu trafił z sektora bankowego, musiał być zaskoczony, lecz wyciągnął właściwe wnioski. Szybko zrozumiał, że jeśli chce realizować swoje plany gospodarcze, musi uzyskać i poszerzyć wpływy w państwowych firmach. Ale w roku 2016 był na to za słaby. Podlegały mu świeżo utworzony Polski Fundusz Rozwoju, PKO BP oraz Bank Gospodarstwa Krajowego. Dlatego nie zgłaszał większych ambicji. Zaczął budować zaplecze, ściągając do Ministerstwa Rozwoju osoby, które znał z pracy w Banku Zachodnim WBK. Jedną z nich był Tadeusz Kościński, który dziś jest ministrem finansów.

W latach 2016-2017 Morawiecki starł się z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą, który, korzystając z poparcia premier Beaty Szydło i dobrych relacji z posłem Adamem Hofmanem oraz ministrem skarbu państwa Dawidem Jackiewiczem, wprowadził swoich ludzi do zarządów PZU SA i Pekao SA. Żona Ziobry Patrycja Kotecka już w marcu 2016 r. została powołana na stanowisko dyrektora marketingu w spółce zależnej PZU – Link4, jego brat Witold został zaś doradcą zarządu Banku Pekao SA.

Pod koniec 2016 r. pojawiły się pogłoski, że ziobryści mają chrapkę na zarząd PKO BP, którym od 2009 r. kierował Zbigniew Jagiełło, w czasach studenckich działacz Solidarności Walczącej, dobry znajomy Kornela i Mateusza Morawieckich. Tego dla wicepremiera było za wiele. Przywołany do porządku Ziobro odpuścił, lecz nie zapomniał. A prezes Jagiełło jest dziś jedynym, którego nie wymiotła „dobra zmiana", i wiernym sojusznikiem.

Gdy w grudniu 2017 r. Mateusz Morawiecki został premierem, nadszedł czas na realizację jego własnych planów.

ZASTĘPY MORAWIECKIEGO

Zbigniew Jagiełło – działacz Solidarności Walczącej, dobry znajomy Kornela i Mateusza Morawieckich – dziś jest prezesem PKO BP.

Patrycja Klarecka – była dyrektor w Banku Zachodnim WBK, któremu prezesował Morawiecki – teraz to wiceprezes PKN Orlen.

Jadwiga Lesisz – współpracowniczka Morawieckiego z Ministerstwa Rozwoju – jest członkiem rady nadzorczej PKN Orlen.

Cezariusz Lesisz – działacz Solidarności Walczącej – jest prezesem Agencji Rozwoju Przemysłu.

Agata Górnicka – była szefowa gabinetu politycznego Morawieckiego – jest dyrektorem w PKN Orlen i członkiem rady nadzorczej PZU SA.

Tomasz Górnicki – jest wiceprezesem Grupy Polski Holding Nieruchomości.

Piotr Patkowski – pracował w gabinecie politycznym wicepremiera Morawieckiego – dziś to podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów i główny rzecznik dyscypliny finansów publicznych.

Tomasz Fill – były dyrektor departamentu w Ministerstwie Rozwoju – jest wiceprezesem zarządu Polskiego Funduszu Rozwoju.

Janusz Władyczak – jest prezesem zarządu wchodzącej w skład Grupy PFR Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych SA.

Grażyna Ciurzyńska – p.o. prezes zarządu Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, wiceprzewodnicząca rady nadzorczej PKO BP.

Leszek Skiba – były wiceminister finansów – jest wiceprezesem Pekao SA.

Paweł Borys – dobry znajomy Morawieckiego – jest prezesem Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju.

Kadry decydują o wszystkim

W pierwszym rządzie Morawieckiego nie było Ministerstwa Skarbu Państwa. Pozornie nadzór nad najważniejszymi spółkami pozostawał w rękach ministrów. Lecz premier zyskał sojuszników w osobach wicepremierów Piotra Glińskiego i Jarosława Gowina oraz Jerzego Kwiecińskiego, który został najpierw ministrem inwestycji i rozwoju, a po odejściu Teresy Czerwińskiej także ministrem finansów. Decyzje personalne co do obsady rad nadzorczych i zarządów najważniejszych spółek coraz częściej zapadały w gabinecie Morawieckiego.

Przykładem może być Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, odgrywająca kluczową rolę w przydzielaniu środków unijnych małym

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl 8d3d48c988

i średnim firmom. 1 kwietnia 2016 r., w wyniku konkursu zorganizowanego przez Ministerstwo Rozwoju, na czele którego stał wicepremier Mateusz Morawiecki, prezesem PARP została Patrycja Klarecka. W latach 2010-2014 była ona dyrektorem do spraw nowych mediów w Banku Zachodnim WBK, któremu prezesował Morawiecki. W czerwcu 2018 r. objęła stanowisko wiceprezesa PKN Orlen do spraw handlowych, a media otwarcie pisały, że „Morawiecki sprząta w Orlenie".

Jej mąż Tomasz Górnicki od 2017 r. pracował w spółce BGK Nieruchomości, najpierw jako dyrektor zarządzający, a następnie członek zarządu. Zajmował się programem Mieszkanie+. Teraz jest wiceprezesem – członkiem zarządu ds. inwestycji Grupy Polski Holding Nieruchomości. To jeden z największych w Polsce podmiotów w sektorze nieruchomości komercyjnych i spółka skarbu państwa.

Błyskotliwa kariera stała się udziałem niespełna 29-letniego dziś Piotra Patkowskiego, który z gabinetu politycznego wicepremiera, ministra rozwoju i finansów trafił do KPRM, a w kwietniu br. został powołany na podsekretarza stanu w Ministerstwie Finansów i głównego rzecznika dyscypliny finansów publicznych. Jest tylko kwestią czasu, gdy Patkowski zechce się „sprawdzić w biznesie".

Jego przyjaciel Szymon Dziubicki, wicedyrektor Biura Public Relations i Marketingu w Agencji Rozwoju Przemysłu, 15 lipca br. trafił do rady nadzorczej spółki ARP Games należącej do Agencji Rozwoju Przemysłu. Prywatnie jest on mężem wiceminister w resorcie funduszy i polityki regionalnej Anny Gembickiej, byłej asystentki wicepremiera i ministra rozwoju Mateusza Morawieckiego.

Inną młodą osobą, która zrobiła karierę przy premierze, jest specjalista od PR i marketingu Tomasz Fill, obecnie wiceprezes zarządu Polskiego Funduszu Rozwoju. To były dyrektor Departamentu Komunikacji w Ministerstwie Rozwoju. W przeszłości związany z Orlenem, PKO BP i PGNiG.

Z oczywistych względów Morawiecki stawia na osoby wywodzące się z sektora bankowego. Prezesem zarządu wchodzącej w skład Grupy PFR Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych SA jest Janusz Władyczak, który zdobył doświadczenie, pracując we francuskich bankach inwestycyjnych.

Grażyna Ciurzyńska, p.o. prezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, od roku 1996 jest związana

Morawiecki obsadził swoimi ludźmi zarządy i rady nadzorcze spółek z udziałem skarbu państwa, zgromadził gigantyczne środki w Grupie Polskiego Funduszu Rozwoju.

Opuszczony przez nią gabinet prezesa PARP jako p.o. zajęła Jadwiga Lesisz, w latach 2016-2017 dyrektor Departamentu Zarządzania Projektami oraz członek Komitetu Audytu w kierowanym przez Morawieckiego Ministerstwie Rozwoju.

Pani Jadwiga to prywatnie żona Cezariusza Lesisza, działacza Niezależnego Zrzeszenia Studentów we Wrocławiu, w 1982 r. współzałożyciela Solidarności Walczącej i bliskiego współpracownika Kornela Morawieckiego. W roku 2018 Lesisz został doradcą premiera do spraw rozwoju gospodarczego. Zasiadł też w radzie nadzorczej Agencji Rozwoju Przemysłu. 26 lipca 2018 r. rada delegowała go do pełnienia obowiązków prezesa ARP. Doszło wówczas do kuriozalnej sytuacji – pani Jadwiga pełniła obowiązki prezesa w PARP, jej małżonek zaś w ARP. A wszystko działo się w obrębie Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju. Ostatecznie Jadwiga Lesisz zrezygnowała z funkcji, a jej mąż objął stanowisko prezesa agencji. Dziś Jadwigę Lesisz odnajdziemy w radzie nadzorczej PKN Orlen.

Inną bliską współpracowniczką Mateusza Morawieckiego była Agata Górnicka. Kierowała jego gabinetem politycznym, gdy był wicepremierem i ministrem rozwoju. Wcześniej pracowała w Banku Zachodnim WBK jako asystentka prezesa, a następnie menedżer biura zarządu i rady nadzorczej. Gdy Morawiecki został premierem, zabrał ją do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Obecnie Agata Górnicka jest dyrektorem Biura Relacji z Otoczeniem w PKN Orlen i zasiada w radzie nadzorczej PZU SA.

Na razie Mateusz Morawiecki wygrywa ze Zbigniewem Ziobrą. Co będzie dalej?

eprasa.pl 8d3d48c988

z sektorem bankowym, jej obecna funkcja to wiceprzewodnicząca rady nadzorczej PKO BP.

Ciekawym przypadkiem jest Leszek Skiba, wiceminister w resorcie finansów, który niespodziewanie w połowie kwietnia br. został wiceprezesem Pekao SA, a tydzień później rada nadzorcza banku powołała go na stanowisko prezesa. Największymi udziałowcami Pekao są PZU SA – 20% udziałów – oraz Polski Fundusz Rozwoju – 12,8%. Bez akceptacji Morawieckiego Skiba zatem tej funkcji by nie objął.

Lista osób związanych z premierem, które obecnie zajmują ważne stanowiska w państwowych firmach, przekracza rozmiary tego artykułu.

Cała władza w moich rękach

Morawiecki wzmacniał swoją pozycję, nie tylko obsadzając swoimi ludźmi podległe mu instytucje i spółki skarbu państwa, ale też forsując odpowiednie zmiany w prawie. Zaczął od Polskiego Funduszu Rozwoju.

16 lutego 2016 r. rząd Beaty Szydło przyjął założenia „Strategii na rzecz odpowiedzialnego rozwoju", nazwanej planem Morawieckiego. Liczący 418 stron dokument był gotów w roku następnym. Już w kwietniu 2016 r. na bazie spółki Polskie Inwestycje Rozwojowe powołany został podległy mu Polski Fundusz Rozwoju, którego pierwszym – i jak dotychczas jedynym – prezesem został dobry znajomy Morawieckiego, bankowiec Paweł Borys. Wspólnie zaczęli oni tworzyć Grupę PFR.

W roku 2018 rząd rozpoczął prace nad projektem ustawy o systemie instytucji rozwoju. Jej celem było umocnienie Grupy PFR, mającej działać na podstawie wspólnej strategii, zgodnej z polityką gospodarczą Rady Ministrów. Innymi słowy, miała ona stać się narzędziem w rękach premiera.

Gotowy, podpisany przez Morawieckiego projekt wpłynął do Sejmu 27 maja 2019 r. Zakładał on konsolidację wokół Polskiego Funduszu Rozwoju następujących podmiotów: Banku Gospodarstwa Krajowego, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych SA, Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu, Agencji Rozwoju Przemysłu.

Fundusz Inwestycji Kapitałowych będzie niemalże prywatną portmonetką Mateusza Morawieckiego.

29 lipca 2019 r. prezydent Andrzej Duda podpisał przyjętą przez Sejm i Senat ustawę. Tak powstał potężny konglomerat instytucji finansowych obracający setkami miliardów złotych, którego wpływ na polską gospodarkę jest trudny do przecenienia.

Kieruje nim Rada Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju, na której czele stoi człowiek Morawieckiego, prezes PFR Paweł Borys. W jej składzie znaleźli się opisani wyżej Cezariusz Lesisz, Janusz Władyczak i Grażyna Ciurzyńska. O roli i znaczeniu PFR najlepiej świadczy fakt, że jest on odpowiedzialny za realizację programu pracowniczych planów kapitałowych, które mają zastąpić otwarte fundusze emerytalne. Wiosną tego roku, w ramach walki ze skutkami pandemii, PFR uruchomił tarczę finansową – program wsparcia o wartości 100 mld zł skierowany do małych, średnich i dużych przedsiębiorstw.

Grupa PFR to potężny konglomerat instytucji finansowych obracający setkami miliardów złotych.

Morawiecki stawia na osoby wywodzące się z sektora bankowego.

Inną przeforsowaną przez premiera regulacją była nowelizacja ustawy o zasadach zarządzania mieniem państwowym oraz niektórych innych ustaw. Projekt wpłynął do Sejmu 28 listopada 2018 r. A 11 marca 2019 r. ustawa została podpisana przez prezydenta. Jej głównym celem było powołanie do życia Funduszu Inwestycji Kapitałowych. Jak napisano w uzasadnieniu, ma on być „elastycznym źródłem finansowania kapitałowych celów inwestycyjnych Skarbu Państwa, reprezentowanego przez Prezesa Rady Ministrów". Innymi słowy, fundusz będzie niemalże prywatną portmonetką Mateusza Morawieckiego.

Pieniądze mają pochodzić z 30-procentowej składki odprowadzanej od dywidend spółek skarbu państwa, zwrotów pożyczek przyznanych wcześniej w ramach pomocy publicznej przez rządowy Fundusz Restrukturyzacji Przedsiębiorców oraz dotacji z budżetu państwa. Szacowano, że w roku 2021 Fundusz Inwestycji Kapitałowych będzie dysponował ok. 2 mld zł. Ze względu na kryzys będzie to pewnie skromniejsza kwota.

Żaden dotychczasowy premier nie zapewnił sobie tak szerokiej i realnej władzy nad polską gospodarką. Mateusz Morawiecki zrobił to bez własnej frakcji w szeregach PiS. W sposób niedostrzegalny dla rywali. Bez słowa sprzeciwu ze strony prezydenta. Ograł wszystkich. Dysponuje niemal nieograniczonymi zasobami pieniężnymi, profesjonalnym zespołem prawników, finansistów, bankierów, specjalistów od PR i marketingu. Korzystając ze środków Grupy PFR i Funduszu Inwestycji Kapitałowych, będzie mógł przejąć dowolną firmę. Zjednoczona Prawica nie potrzebuje ustawy medialnej, która ograniczyłaby udziały obcego kapitału w polskich mediach. Ludzie Morawieckiego załatwią sprawę przy whisky i cygarach. To przecież tylko kwestia ceny. Premier – korzystając z dostępnych środków – będzie mógł scentralizować gospodarkę w stopniu niewidzianym od czasów Hilarego Minca. Możemy przyjąć, że jego rywale polityczni w obozie „dobrej zmiany" właśnie przestali się liczyć. Bo realną władzę ma ten, kto ma pieniądze.

Jaka jest więc dziś polityczna waga premiera? Dowiemy się, gdy konkurenci w szeregach Zjednoczonej Prawicy spróbują go obalić.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8d3d48c988

Oświatowa kontrrewolucja

Z każdą zmianą w resorcie edukacji funkcjonuje on coraz gorzej

PROF. BOGUSŁAW ŚLIWERSKI
– pedagog, były przewodniczący Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN

Rozmawia Beata Igielska

Ukazała się właśnie pana rozprawa „(Kontr-)rewolucja oświatowa. Studium z polityki prawicowych reform edukacyjnych". Którego z prawicowych polityków uważa pan za największego szkodnika w polskiej edukacji?

– Na pewno jest to Anna Zalewska. W sensie kompetencyjnym nie była zainteresowana szkołą, tym, czym ona jest, jak mogłaby i powinna funkcjonować, wychowując młode pokolenia do życia w XXI w. Obecnie cofamy szkołę, uruchamiamy kontrrewolucję oświatową. W książce przypominam słowa premier Beaty Szydło z 2015 r., że rząd absolutnie nie będzie wprowadzał zmian rewolucyjnych, że zmiany będą ewolucyjne. Prawicowi, konserwatywni pedagodzy, bardzo światli, tacy jak europoseł Ryszard Legutko, znakomity filozof, byli w konflikcie z politykami, którzy mieli wpływ na władzę, na sposób konstruowania zmian, a w istocie zniszczyli ogromny potencjał aktywności, zaangażowania. Ale zniszczyli także potencjał materialny, inwestycje w gimnazja, sześcioletnie szkoły podstawowe, świetnie rozwijające się przedszkola. Dla Polaków jednak oświata znaczyła zbyt mało, żeby wyjść na ulice i zaprotestować. PiS odmówiło obywatelom referendum, za to reforma sądownictwa poruszyła ich głęboko. Taka oświata, jaką mamy od 30 lat, też jest naruszaniem zasad konstytucji.

Nigdzie na świecie nie można przeprowadzać reform ustrojowych, mając przeciwko sobie środowisko nauczycielskie. Władza miała świadomość, że ponad 200 tys. nauczycieli nie akceptuje tego rządu ani zmian Anny Zalewskiej. Oczywiście część środowiska była zupełnie obojętna, część tylko czekała na emeryturę. Mało kogo interesowała sytuacja uczniów, a dla mnie to oni są głównym podmiotem edukacji.

Jak będzie ich edukował Przemysław Czarnek?

– Trudno nawet to komentować. Już kiedyś prawicowy rząd z lat 2005-2007 restrukturyzował edukację i połączył ministerstwo edukacji z nauką. Ministrem był prawnik Michał Seweryński, a wiceministrem... Jarosław Zieliński, dziś wielka szycha. Był także katolicki pedagog Stanisław Sławiński, autor słynnej książki o konieczności wychowywania młodych w posłuszeństwie i dyscyplinie, łącznie z prawem do budowania relacji opartej na przemocy fizycznej. Tę grupę po kilku miesiącach zastąpił Roman Giertych, podwładny najpierw Kazimierza Marcinkiewicza, potem Jarosława Kaczyńskiego. Ten okres miał ogromny wpływ na sposób rozumienia i działania środowisk konserwatywnych w strukturach polityki oświatowej: monitoring w szkołach, dyscyplina, wykluczanie nieposłusznych, szykanowanie nauczycieli z ZNP...

...mundurki...

– ...również trochę paramilitaryzacji. No i rzecz jasna wychowanie patriotyczne. Rozwiązanie Sejmu spowodowało, że prawica na wiele lat przycichła, a lider ortodoksyjnej polityki oświatowej, Roman Giertych, stał się nagle liberałem, jednym z filarów „totalnej opozycji". W „(Kontr-)rewolucji oświatowej" nie tylko zrekonstruowałem fakty,

Prawicowa krótkowzroczność cofnęła polską szkołę do początków XX w.

eprasa.pl 8d3d48c988

chciałbym także uświadomić społeczeństwu, nauczycielom, politykom, samorządowcom, jak źle w Polsce traktowana jest edukacja, jak wstrzymujemy rozwój szkolnictwa wbrew temu, co się dzieje w naukach pedagogicznych, dydaktyce, modelach kształcenia. Ale również wbrew doświadczeniom okresu międzywojennego, kiedy polska edukacja należała do wiodących w Europie. Przyjeżdżali do nas reformatorzy z Francji, Niemiec, Szwajcarii, żeby zobaczyć, jak nasi nauczyciele prowadzą szkoły. Myśmy ten cały dorobek schowali do jakiegoś archiwum historycznego. Bo trzeba nam powrotu do edukacji narodowo-, patriotycznocentrycznej, opartej na dyscyplinowaniu, na monokulturze.

Rodzice mimo takich zagrożeń mało protestowali przeciwko reformie.

– Protestowali za mało i za późno. Zalewska cały czas zapewniała, że trwają konsultacje w województwach, że są narady, dyskusje. Że nikt nie zostawi dzieci na łasce losu, że ktoś będzie musiał o nie się zatroszczyć. Pamiętajmy, że zawsze na początku kadencji danej władzy jest do niej jakieś zaufanie, na zasadzie: dajmy im szansę, dajmy im 100 dni. To było wyciszanie obywateli, blokowanie ich wyczulenia, by później powiedzieć: tniemy, odwracamy wszystko, wracamy do tego, co było do roku 1999 w naszym systemie edukacyjnym. Było za późno na cokolwiek, bo zostały uruchomione mechanizmy strukturalne, prawne, finansowe, których wdrożenie uniemożliwia powstrzymanie szaleństwa.

Co reforma Anny Zalewskiej zabrała dzieciom?

– Zabrała im znakomitych nauczycieli gimnazjów, którzy widząc koniec tej szkoły, odchodzili masowo z pracy, uciekali do liceów. Chcieli mieć po likwidacji gimnazjów zagwarantowane miejsce pracy. To świetni fachowcy, bo inwestowali w swoje wykształcenie, doskonalenie, mieli znakomicie wyposażone pracownie. To wszystko zostało roztrwonione – przez przenoszenie, likwidowanie itp. To było dramatyczne. A później pojawił się podwójny rocznik absolwentów gimnazjów i absolwentów szkoły podstawowej. To kolejny skandal, nieodpowiedzialny brak wyobraźni.

Nigdzie na świecie nie można przeprowadzać reform ustrojowych, mając przeciwko sobie środowisko nauczycielskie.

Wystarczyło przejrzeć roczniki statystyczne, żeby tego uniknąć.

– Jeśli jest się odpowiedzialnym politykiem, przygotowuje się reformy bardzo precyzyjnie, na podstawie ekspertyz z wielu dyscyplin, konieczne bowiem są analizy demograficzne, sieci szkół i przedszkoli. Trzeba wiedzieć, jakie jest nasycenie tymi placówkami, jak daleko będą mieli uczniowie do szkoły, jeśli zostanie zlikwidowane gimnazjum. Nagle ci, którzy mieli blisko do szkoły, stracili ją. To niekompetencja i arogancja władzy, która absolutnie nie liczyła się z młodym pokoleniem, spisując je na straty. O to mam największy żal.

W nowej książce rozprawia się pan też z biurokracją oświatową. Pamiętam, jak nauczyciele tonęli w papierach z powodu ewaluacji wymyślonej przez minister Irenę Dzierzgowską.

– Irena Dzierzgowska, która za rządów AWS była wiceministrem edukacji, rzeczywiście uruchomiła proces ewaluacji. Gdyby ewaluacja była prowadzona raz na kilka lat, byłaby bardzo wartościowym dziennikiem autodiagnostycznym, samooceniającym. Ale gdy nauczyciele są zmuszani do wypełniania dokumentów, zaczynają przeklejać, kopiować, przesyłać sobie gotowce. Dlatego kiedy Najwyższa Izba Kontroli przyjrzała się sensowności tej ewaluacji, wylała kubeł zimnej wody na tamtą władzę.

Ale nic się nie zmieniło. Początek pandemii był początkiem niesamowitej papierologii. Sprawozdawczość do kuratoriów dobijała nauczycieli.

– Była straszna, w dodatku w sytuacji, kiedy narzekaliśmy na brak kontaktów, na zaginięcie nam uczniów. Z drugiej strony urzędnicy nauczycielom robili krzywdę. Biurokracja, owszem, jest potrzebna urzędom centralnym, bo rząd musi myśleć o stanie każdego urzędu, który jest finansowany z budżetu państwa. Od tego jest GUS. Premier powinien dostawać nie tylko dane statystyczne. Każdy dyrektor placówki oświatowej musi wypełniać formularze S1, S2 itd. Tam jest bardzo dużo danych m.in. o uczniach, nauczycielach, kadrze administracyjnej, środkach finansowania tych placówek ze strony państwa i samorządów. Dlatego właśnie politycy zarządzający powinni być ekspertami, ludźmi wykształconymi, znającymi dobrze zarządzanie placówkami oświatowymi, a nie że my sami będziemy ekspertami. Ale przecież im większy ignorant, tym lepszy polityk – i staje się ministrem edukacji.

Doświadczamy tego w ostatnich dniach przy rekonstrukcji rządu. A przecież nauczyciele i tak są zdesperowani, „przygnieceni" przez urzędników edukacyjnych.

– Do tego dochodzi absurd, że nauczyciele powinni sami dla siebie prowadzić różnego rodzaju diagnozy, na studiach ich tego uczymy. Ale jeżeli im się nie ufa, jeżeli chce się zarządzać tak wielką machiną i strukturą z Warszawy, to niestety trzeba gromadzić papiery, które byłyby dowodem, że ma sens utrzymywanie tej grupy rządzących. To w żaden sposób nie przyczynia się do lepszego funkcjonowania systemu. Wręcz przeciwnie, z każdą zmianą w resorcie edukacji funkcjonuje on coraz gorzej. Obnażyła to bezlitośnie pandemia. W oświacie mamy system centralistyczny, charakterystyczny dla państwa totalitarnego, dla braku zaufania, braku kultury współpracy, wspierania się. Owszem, nauczyciela zatrudnia dyrektor szkoły, a nie delegatura kuratorium. No ale konkursy na dyrektorów są fikcyjne, dyrektorzy często są podporządkowani kuratorom w jakiejś mierze politycznie, partyjnie, więc muszą

Znów rozrósł się rynek korepetycji, teraz, kiedy społeczeństwo zubożało, a nauczyciele są wciąż poranieni ubiegłorocznym strajkiem.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 8d3d48c988

realizować program partii, a nie program rozwoju dzieci i młodzieży. W takiej sytuacji nie będą zainteresowani jakąkolwiek kreatywnością, rozwojem, innowacyjnością.

No właśnie, w książce narzeka pan na ograniczenie innowacyjności nauczycieli.

– Bo jak można być innowacyjnym, będąc zamkniętym w więziennej klatce? Nie da się. Gorset założony nauczycielom obezwładnia ich, narzuca tak dużo obowiązków biurokratycznych, także wiążących się z quasi-postępem polegającym na prowadzeniu dzienników elektronicznych – nauczyciele muszą wpisywać informacje do dziennika elektronicznego, a potem odpowiednie informacje jeszcze do papierowych dokumentów. U nas wszystko podporządkowane jest władztwu. Po deformie dzieci zarywają noce nawet nie po to, by być dobrym uczniem, lecz by zdać z klasy do klasy. A tam, gdzie jest uprzedmiotowienie, jest odczłowieczenie.

Czy nie ma już żadnego punktu w naszej oświacie, który się panu podoba?

– Nie ma, nie tylko dla mnie. Proszę spojrzeć na nauczycieli, im już odechciało się chcieć. Przestali wierzyć, że kiedykolwiek ktoś im zaufa, powie: uczcie najlepiej, jak potraficie, bo jesteście dobrze wykształceni, odpowiedzialni, jesteście profesjonalistami. Nauczyciele nie mają poczucia sprawstwa, jedynej ostoi, sensu ich pracy. Brakuje zastrzyku finansowego, żeby wreszcie godnie zarabiali. Dzieciom utalentowanym czy dzieciom elit, z górnej półki klasy średniej, których rodzice mają świadomość konieczności jak najlepszego wykształcenia, szkoła nie jest do niczego potrzebna poza wydaniem świadectwa. Proszę zobaczyć, jak mocno znów rozrósł się rynek korepetycji, teraz, kiedy społeczeństwo zubożało, a nauczyciele są wciąż poranieni ubiegłorocznym strajkiem – sam wpłacałem na fundusz dla strajkujących. Brak szacunku dla tego zawodu, pomiatanie nim przez każdą władzę, powoduje brak motywacji do jak najlepszej pracy. Na horyzoncie mamy głęboki kryzys wynikający ze zdewastowania systemu edukacji.

Jaki więc jest przepis na sukces polskiej szkoły?

– Konieczne jest zredukowanie dwoistości władzy. Nie może być tak, że kto inny jest organem prowadzącym, a kto inny nadzorującym. Niezbędne jest zdecentralizowanie ustroju szkolnego – bez tego nie ruszymy do przodu, nie ma szans. Oczywiście w Finlandii ustrój szkolny jest centralny, ale tam nauczyciel ma pełną autonomię, wysoką pensję, a władze centralne i regionalne wspomagają go w rozwoju, a nie kontrolują, nadzorują, straszą, dyscyplinują. Decentralizacja systemu uelastyczniłaby go, sprzyjałaby większej innowacyjności. Świetni nauczyciele ze szkół publicznych tworzą wysepki innowacyjności. Żeby było ich więcej, musimy odejść od systemu klasowo-lekcyjnego. Nie ma go choćby w najlepszych szkołach w Niemczech, w Szwajcarii, Danii, Niderlandach itd. Tam się tworzy nowe kultury uczenia się, wspomagania, różnicowania grup uczących się. Nie chodzi o przenoszenie rozwiązań z Europy Zachodniej. Chodzi o to, żeby wreszcie zrozumieć, że w XXI w. dzieci zaczynają się uczyć w domu, jako maluchy. Nie można lekceważyć turbodigitalizacji, należy się zastanowić, jak włączać cyfrowe modele uczenia się do nowej gramatyki szkół. One powinny mieć większe możliwości planowania tygodnia, samostanowienia. To przynosi znakomite efekty. W Niemczech w wakacje nauczyciele spotykali się i omawiali, jak się zachować, gdy pandemia przybierze na sile. Już wtedy mieli przygotowane sieci alarmowe, co zrobić, by nie zgubić uczniów, co zrobić z dziećmi z biednych środowisk, z dziećmi imigrantów itp. Również w Polsce muszą być opracowywane nowe zasady komunikacji między nauczycielami a uczniami i rodzicami, a nie z władzami, z kuratorium.

Słowem, nie możemy przygotowywać narzędziami z XIX w. do zawodów w wieku XXI, których nawet sobie jeszcze nie wyobrażamy. Ale za sprawą Anny Zalewskiej właśnie uczymy metodami z XIX w.

– Tak, a precyzyjnie: uczymy metodami z przełomu XIX i XX w. Nie kształcimy do samodzielności, do uczenia się, do samorozwoju. W przedszkolu i we wczesnej edukacji ten proces kształcenia musi wyglądać inaczej, bo mamy fazę alfabetyzacji, przygotowywania dzieci do samodzielnego uczenia się, pracy z mediami. Jedynie uczenie, jak się uczyć, jest w stanie przygotować młodych ludzi do życia w społeczeństwie przyszłości. Nie można o systemach szkolnych myśleć statycznie, układać ich w 15-letnie cykle.

Teraz w dodatku COVID-19 bardzo rozwarstwił polskich uczniów.

– Tak, rozwarcie nożyc jest w tej chwili znacznie większe niż przed pandemią, nauczyciele już tego doświadczają. Jedynie bogatsze samorządy wysupłały pieniądze na zajęcia uzupełniające dla dzieci wyłączonych z edukacji cyfrowej. Uczniowie szkół elitarnych być może nawet skorzystali na kwarantannie, bo i tak potrafią sami się uczyć. Najgorzej mają dzieci ze szkół słabych.

Do których uczęszczają nierzadko dzieci elektoratu PiS, one na tym wyjdą najgorzej. Bo dzieci z rodzin inteligenckich, nawet ubogich, będą przez rodziców ciągnięte w górę.

– Oczywiście, wykształceni rodzice mają przyjaciół; ten zna matematykę, tamten jest informatykiem. Najgorzej będzie w środowiskach zaniedbanych, zdystansowanych wobec środków wyższego kapitału kulturowego. Nie mam cienia wątpliwości, bo to zjawisko zostało dobrze przebadane w Niemczech, Szwajcarii, Austrii.

Wstrzymujemy rozwój szkolnictwa wbrew temu, co się dzieje w naukach pedagogicznych, dydaktyce, modelach kształcenia.

Władza miała świadomość, że ponad 200 tys. nauczycieli nie akceptuje tego rządu ani zmian Anny Zalewskiej.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8d3d48c988

Władza planuje wykupić 3 tys. ha.

Gigantomania nieposkromiona

W Baranowie boją się, że zostaną oszukani przy wykupie ziemi pod lotnisko

Ewa Smolińska-Borecka

Jedni psioczą i pomstują, że żyć tutaj nie będzie można, jak powstanie lotnisko monstrum z całą otoczką dróg, szyn kolejowych, hoteli i magazynów. Drudzy mówią, że te wszystkie plany to ściema. I że władza wcale nie chce, by w gminie Baranów i ewentualnie obok powstał Centralny Port Komunikacyjny. Że tak naprawdę chodzi o to, żeby napchać sobie kieszenie kosztem zwykłych ludzi. Bo ten teren – jak uważają specjaliści – jest miejscem najcenniejszym w kraju, a może i w Europie. Nie ma drugiego takiego miejsca, gdzie można grunt wydębić za stosunkowo niewielkie pieniądze. Gdzie nie trzeba się mierzyć z potężnymi inwestorami ani z obcym kapitałem, a jako przeciwnika ma się jedynie miejscowych i mały lub średni biznes, który władzy nie podskoczy.

Władza planuje kupić 3 tys. ha. O projektach związanych z Baranowem poinformowała w 2017 r. A choć firma Centralny Port Komunikacyjny Sp. z o.o. zatrudnia już 200 osób i generuje straty wielkości nawet 150 mln rocznie, koncepcja nadal jest w powijakach. Za to 28 tys. ludzi z trzech gmin żyje jak na rozżarzonych węglach.

W imieniu mieszkańców

Poniedziałek, 5 października. Jakby zwykły dzień, a jednak w Baranowie niezwykły. Triumf demokracji. Idąc do wyborów w 2018 r., mieszkańcy gminy Baranów oczekiwali, że wybrany wójt zadba o ich interesy i zrobi wszystko, by nie zostali skrzywdzeni, kiedy dojdzie do realizacji lotniska. Ze zdumieniem odkryli, że wójt jest skoncentrowany głównie na realizacji programu „Rodzina na swoim" – jak prześmiewczo nazywają jego starania o dobrobyt własnej rodziny. W tym celu stworzył stanowisko dyrektora urzędu gminy i mianował na nie córkę. Podobno płacił jej 12 tys. zł brutto miesięcznie. Ludzie mieli dość. W czerwcu w referendum zagłosowali za odwołaniem wójta gminy Waldemara Brzywczego.

Dziś ma zostać zaprzysiężona nowa wójt Agata Trzop-Szczypiorska. Nadzwyczajna sesja rady gminy o godz. 15. Ale od rana urząd funkcjonuje w miarę normalnie. W miarę, bo od kiedy pełniący obowiązki wójta gminy komisarz Piotr Faruga jest zarażony koronawirusem, urząd pracuje w systemie zamkniętym. Kto ma sprawę, wrzuca pismo do urny. Przed urną są dwie osoby.

Nadzwyczajną sesję zaplanowano w remizie strażackiej, bo może pomieścić 15 radnych, 21 sołtysów i kilku gości. Sesja rodzi emocje. Przed nią radni nie mają głowy do rozmawiania o lotnisku. Przewodniczący Roman Bodych tłumaczy, że to nie jest dobry moment na wypowiadanie się, bo wciąż nie ma żadnych szczegółów dotyczących położenia lotniska ani ceny zakupu ziemi. Radna Anna Szelachowska mówi krótko: – Jestem przeciwna lotnisku.

Pani wójt składa przysięgę zakończoną: „Tak mi dopomóż Bóg". W wystąpieniu nie chwali się, że w wyborach pokonała kandydata popieranego przez samego pana premiera – czyli komisarza Farugę. We wrześniowych wyborach na wójta gminy Baranów startowało pięcioro kandydatów, w tym dwie kobiety. Obie przeszły do drugiej tury.

– Reprezentując mieszkańców, muszę działać w ich imieniu – mówi Agata Trzop-Szczypiorska. – Lotnisko to bardzo duży problem, bo do tej pory nie mamy konkretów. Gmina Baranów żyje jakby w jego cieniu. Bardzo trudno jej się rozwijać, bo nie wiemy, czy te tereny nie zostaną wchłonięte przez lotnisko. Inwestycje się zatrzymały, rozwój infrastruktury także. Trudno kogoś zachęcić do zamieszkania u nas, trudno też zachęcić inwestorów, bo przyszłość gminy nie jest znana.

Wójt Trzop-Szczypiorska zawsze aktywnie uczestniczyła w życiu gminy. – Od czasu powstania w czerwcu ub.r. Rady Społecznej ds. CPK jestem z nią w ciągłym kontakcie jako mieszkanka Bożej Woli – wyjaśnia. – Rada została powołana, żeby mieć inne spojrzenie na budowę niż spółka. W sprawach dotyczących budowy to nie może być monolog, konieczny jest dialog. Mieszkańcy, jeśli lotnisko powstanie, musieliby zmienić całe swoje życie. Dokąd mieliby pójść i skąd wziąć środki na życie? W tej chwili to, co zostało zaproponowane przez stronę rządzącą, czyli sposób wykupu ziemi, nie jest korzystne dla mieszkańców. W radzie gminy entuzjastów lotniska nie ma. Ale są osoby,

eprasa.pl 8d3d48c988

które chcą współpracować z inwestorem dla dobra mieszkańców. Planujemy zatrudnienie prawników, którzy pomagaliby mieszkańcom, kiedy zaczną się wykupy ziemi.

Sołtys, czyli jeden z 21

Stanisław Szlaga jest sołtysem wsi Stanisławów. W pierwszej wersji usytuowania lotniska miało ono się rozpościerać właśnie od Stanisławowa ku północy w kierunku Osin. Ale teraz wersje są różne. Dzieci sołtysa wyprowadziły się do Warszawy, tylko on z żoną został. Mają 1,5 ha ziemi w pobliżu domu. Nie wie, dokąd by poszli, gdyby trzeba było sprzedać ziemię i dom pod lotnisko.

– Kto ma wyłącznie dom, tych pieniędzy nie odzyska – uważa Szlaga. – Nie bardzo w to wierzę, że państwo będzie dużo płacić. Ludzie mówią tak: chcecie wszystkie nasze grunty wykupić, a potem część sprzedacie i zarobicie naszym kosztem. Spółka nie uznaje terenu za inwestycyjny, tylko chce go kupić jako rolniczy. No to co to jest? To jest uczciwe? Kupić grunty inwestycyjne, ale płacić po 5-10 zł za metr kwadratowy jak za rolnicze?

Prawie wszyscy sołtysi przyszli na sesję Rady Gminy Baranów. Przy okazji każdy dostał pakiet z informacjami dotyczącymi prac Rady Społecznej ds. CPK, a także kilkadziesiąt ulotek od organizacji niezgadzających się na lotnisko. Szlaga w domu zapozna się z tymi materiałami, żeby sąsiadom odpowiedzieć, gdy będą pytali. I rozda im te ulotki, gdzie czerwonymi literami napisano: „Nie dla CPK. Nie oddawaj ziemi za bezcen! To grabież twojego dobytku! Nie daj się oszukać!”. A czarnymi: „Nasza rekomendacja: cena ziemi nie niższa niż 120 zł za metr kwadratowy, czyli 1,2 mln za hektar. Takiej kwoty żądaj, tyle ci się należy!”.

– Ostatnio pojawił się pomysł wykupu dobrowolnego – wyjaśnia sołtys. – Czyli tak jakby człowiek ze spółką się dogadywał. Transakcja byłaby opodatkowana. Ludzie żądają uczciwych zasad, nie kręcenia. A tu zmienia się zdanie, raz tak, raz inaczej. Zamieszanie jest. Jedni budują, bo liczą, że im państwo zapłaci. Drudzy zaczęli budowę i przerwali, bo się boją, że państwo im nie zwróci.

21 września Rada Społeczna ds. CPK przesłała do prezesa spółki Centralny Port Komunikacyjny Mikołaja Wilda poprawki do ustawy o CPK. Z 20 postulatów merytorycznych spółka uwzględniła jedynie trzy, trzy uwzględniła częściowo lub pozornie, a pozostałe 14 odrzuciła. Miało być spotkanie w tej sprawie. Przyjechali ludzie z Warszawy, miał być nawet Marcin Horała, czyli pełnomocnik rządu ds. CPK, ale nie przyjechał. Szlaga zaczął przez internet oglądać spotkanie. A tu ledwo przewodniczący rady społecznej odczytał plan obrad, urzędnicy z Warszawy przypomnieli sobie, że mieli kontakt z komisarzem gminnym, który złapał koronawirusa, więc się spakowali i odjechali.

Wójt Agata Trzop-Szczypiorska: Lotnisko to duży problem, bo do tej pory nie mamy konkretów.

Plan B

Nowakowscy mieszkają na skraju wsi Osiny. W pierwszej wersji lotniska ich ziemia i zagroda znalazły się na jego terenie. Co będzie teraz, nie wiedzą. Mieszkają w dziewiątkę: mama Iwona, tata, córki Justyna, Malwina i najmłodsza Anna, syn Grzegorz i wnuki – syn Justyny i bliźniaki Anny.

– Ja się tu urodziłam, wychowałam, tu dziadkowie się pobudowali, rodzice rozbudowali, my dobudowaliśmy dla siebie, ile mogliśmy – mówi Justyna. – Mój 11-letni syn chodzi w Baranowie do szkoły, ma tu kolegów. Chciałabym, żeby tu skończył szkołę. Jesteśmy w idealnym miejscu, bo mamy po 10 km do każdej większej aglomeracji, gdzie są wyższe szkoły. Moim zdaniem ziemia zawsze była, jest i będzie dobrą inwestycją. A to, co podobno nam się proponuje, jest bardzo krzywdzące. Jak można kupować ziemię na lotnisko, płacąc jak za rolną? Tutaj nigdzie w okolicy nie kupi się działki budowlanej poniżej 100 zł za metr kwadratowy, a co dopiero teren inwestycyjny, gdzie ceny są od 120 zł za metr kwadratowy. Te ceny, o których ludzie mówią, są w ogóle nie do przyjęcia. Będą chcieli nas wykorzystać, jak zwykle. I tak pewnie się skończy, że zrobią to w białych rękawiczkach. Myśmy ich wybierali, a teraz od paru lat trzymają nas na bombie i nic konkretnego nie mówią.

– Ludzie mieli plany wobec siebie i dzieci, a jeśli lotnisko powstanie, te plany zostaną zniweczone – dodaje Iwona Nowakowska. – O, proszę, stoi u nas budynek gospodarczy. Pusty, bo oboje z mężem jesteśmy chorzy. Moglibyśmy go przerobić dla dzieci na budynek mieszkalny. Ale nic nie robimy, bo nie wiemy, czy za chwilę nie przyjedzie jakiś buldożer i tego nie rozwali.

– Myśmy na tyle poważnie wzięli plany dotyczące lotniska, że kupiliśmy kolejną nieruchomość – wyjawia Malwina, młodsza siostra Justyny. – Gdyby przyszło tę w Osinach sprzedać, to się przeprowadzimy. Jesteśmy dużą rodziną, mamy pracę w okręgu warszawskim, więc trzeba myśleć przyszłościowo.

Iwona kiwa głową, jakby na potwierdzenie tych słów. – Ale nie każdy może kupić, bo nie każdego na to stać – mówi ze smutkiem.

Lotnisko na wieczność

W gminie Baranów nie ma przemysłu, dużych firm. Kilka tartaków, do tego fabryka Leszka Stelmacha Stema & Manless Paluszki i Przekąski Sp. z o.o. w Nowej Pułapinie. „Paluszki”,

eprasa.pl 8d3d48c988

jak mówią o zakładzie miejscowi, być może zostaną wchłonięte przez lotnisko. Czy planowana inwestycja jest źródłem niepokoju dla Leszka Stelmacha? – Raczej nie, rozumiem, że inwestycje w kraju muszą być – wyjaśnia. – Ludzie chcieliby wywozić śmieci, ale nie chcą wysypiska w pobliżu, podobnie chcieliby latać samolotami, ale nie chcą mieć w pobliżu lotniska. Jeśli padło na to, że lotnisko ma być tutaj, trzeba się zgodzić. Okęcie przed pandemią było zbyt małe, więc chyba potrzebne jest większe. Uważam, że cały świat będzie przesyłał coraz więcej towarów drogą lotniczą i koleją. A jeśli mój zakład znalazłby się na terenie wchłoniętym przez lotnisko? Trudno. Są wyższe cele. Jestem osobą wierzącą. Zdaję sobie sprawę, że mój pobyt na ziemi jest chwilowy, a lotnisko to inwestycja na wieczność. Kiedyś oddawało się życie za ojczyznę, teraz może trzeba będzie oddać ziemię. Nie czuję niepokoju. Nawet jeśli nie wszystkie nakłady mi się zwrócą, mam nadzieję, że ostatecznie wszystko jakoś się ułoży.

Sołtys Stanisław Szlaga: Nie bardzo w to wierzę, że państwo będzie dużo płacić.

Iwona i Malwina Nowakowskie: Ludzie mieli plany, a jeśli lotnisko powstanie, to te plany będą zniweczone.

Wioska dla bezradnych

Wtulone w siebie trzy gminy z trzech powiatów. Zatroskane, przestraszone, niepewne jutra. Żyją na pół gwizdka. Baranów, Teresin i Wiskitki. Osoby wytypowane przez te trzy gminy weszły w skład 15-osobowej Rady Społecznej ds. CPK. Jej przewodniczącym został Robert Pindor z gminy Baranów.

– Nadal nie wiadomo, czy lotnisko będzie, a jeśli tak, to gdzie – wyjaśnia Pindor. – Według jednego z wariantów może być w Baranowie i wtedy ta miejscowość może zostać wysiedlona, a według innych wariantów może nie zostać wysiedlona. Jeśli trzeba będzie ją wysiedlić, to łącznie z cmentarzem i zabytkowym kościołem. Przeniesienie cmentarza to są olbrzymie koszty społeczne. Nikt nie bierze tego pod uwagę.

Przewodniczący Rady Społecznej ds. CPK wie, że zdaniem niektórych miejscowych dla dobra państwa trzeba by z czegoś zrezygnować: – My jako rada społeczna nie kwestionujemy idei budowy CPK. Od tego są inni ludzie, którzy powinni określić, czy ma to ekonomiczny i inwestycyjny sens, czy nie. Co więcej – bierzemy pod uwagę, że tu faktycznie jest najlepsze miejsce. Ale tego nie wiemy, bo nikt nam nie dał informacji obiektywnych. My skupiamy się na zupełnie innej rzeczy: że jeśli już to lotnisko ma tu powstać, musimy zadbać, by warunki wykupu nieruchomości i ewentualnych przymusowych przesiedleń były takie, by ludzie nie zostali skrzywdzeni. Tymczasem od ponad trzech lat mieszkańcy żyją w stresie. Teraz jest bardzo ważny moment, bo jest stanowione prawo dotyczące lotniska.

Robert Pindor zwraca uwagę, że przymusowymi wysiedleniami może zostać objętych nawet 3 tys. ludzi. W tej grupie na pewno będą osoby, które nie poradzą sobie bez pomocy. Dlatego konieczne jest stworzenie wioski zastępczej. – Taka wioska powstała w okolicach Raciborza i do niej przesiedlono ludzi z terenu, na którym budowano zbiornik retencyjny – wyjaśnia. – Co istotne, pomoc jest potrzebna przed wysiedleniem, a nie po. Tymczasem tej wioski nie ma, nie ma nawet jej wstępnej lokalizacji. A o wykupie nieruchomości mówi się, że zacznie się pod koniec tego roku albo na początku przyszłego. Uważamy, że trzeba zabezpieczyć ludzi, zanim się przyjdzie zabierać ich domy.

Czterech na pięciu przeciw

W gminie przeprowadzono referendum, z którego wynikło, że ponad 80% mieszkańców jest przeciwnych lotnisku. Różne stowarzyszenia zachęcają do oporu. Pod ulotkami nawołującymi, by nie oddawać ziemi za bezcen, podpisane są Stowarzyszenie Zanim Powstanie Lotnisko, Stowarzyszenie Przyjazna Gmina Baranów i OSP Skrzeszew. Wojciech Kornak jest wiceprezesem pierwszego stowarzyszenia i prezesem drugiego.

– Pyta pani, czy jesteśmy przeciwko powstaniu lotniska. Ale dlaczego pani założyła, że to lotnisko powstanie? – dziwi się Kornak. – Widziała pani ten prom, którego stępka jest w Szczecinie? Czy on już pływa? A samochody elektryczne? Ile ich jeździ po Polsce – milion czy półtora? A może ta elektrownia atomowa powstała? Pewnie pani za chwilę odbije piłeczkę: a przecież mierzeję przekopali. Ale czyj to był pomysł? Prezesa. Czy prezes jeździ samochodem? Czy pływa promem? Czy lata samolotem? Nie. Uważam, że tego lotniska nie będzie, bo – po pierwsze – to nie jest pomysł prezesa. Po drugie, nie ma na to pieniędzy. Po trzecie, nikomu nie zależy na tym, żeby ono funkcjonowało. Chodzi o to, żeby gonić króliczka. Żeby mieć spółkę i zatrudniać w niej znajomych w programie „Rodzina na swoim". To lotnisko jest utopią. Ale teraz istotne jest to, na jakim etapie ta utopia się zatrzyma.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 8d3d48c988

Rozmawia Jakub Dymek

Kaczyński to mistrz żeglowania pod wiatr

Polacy są coraz bardziej otwarci, ale PiS lepiej zmobilizowało niezadowolonych i przestraszonych zmianą

DR HAB. PRZEMYSŁAW SADURA
– socjolog polityki

Jesteśmy najbardziej homofobicznym, religijnie konserwatywnym i podzielonym politycznie społeczeństwem w Europie – mówią jedni. Drudzy wskazują, że Polacy są z każdym rokiem bardziej tolerancyjni, świeccy, proekologiczni, a władza tylko sztucznie nakręca lęki i niechęć do mniejszości. W statystykach zaś znajdziemy dowody na tezy obu stron. Jak jest naprawdę?

– Możemy ten pozorny paradoks wyjaśnić. Mamy też badania, które dobrze pokazują, że i jedno, i drugie może być prawdziwe! Na wartości, postawy i nastroje Polaków wpływają dziś dwa przeciwstawne trendy – duży, który zmienia społeczeństwo powoli, i mały, który jest gwałtowną reakcją na tę zmianę. Jeśli spojrzy się na wartości polskiego społeczeństwa po 1989 r. – które regularnie bada np. Europejski Sondaż Wartości – to co widzimy? Postępującą sekularyzację, mniejszą religijność lub przyznawanie się do wartości i światopoglądu Kościoła. Szczególnie w młodszych pokoleniach, ale nie tylko. To po pierwsze. A po drugie, zmianę w podejściu do roli kobiet, co badający nazywali bodajże poziomem antyfeminizmu. U progu III RP 60% badanych zgadzało się ze stwierdzeniem, że pracująca matka szkodzi dzieciom! A dziś 13%. W 1990 r. ze stwierdzeniem, że „gdy brakuje miejsc pracy, mężczyźni powinni mieć do nich większe prawo niż kobiety", zgadzało się – i to odpowiadało: „zdecydowanie się zgadzam" – 56%, a teraz 8,3% badanych Polek i Polaków. To jest przepaść, absolutne przeoranie systemu wartości, bardzo mocna zmiana cywilizacyjna. Mamy więc do czynienia z trendem sekularyzacji, liberalizacji w sferze wartości i zwiększenia akceptacji dla demokracji. I to jest ten duży trend.

A naprzeciw tej demokratyzacji, liberalizacji i sekularyzacji mamy co?

– Badania tego, jak sami się określamy politycznie na osi prawica-lewica, pozwalają zobaczyć, że przy tej wielkiej zmianie społecznej oba bieguny nie zyskują równie mocno. W 1990 r. kilka procent Polaków identyfikowało się jako skrajnie lewicowi na osi od 1 do 10. I prawie 30 lat później też jest ich kilka procent. Różnica, jaką widzimy, jest po prawej stronie tego diagramu – skrajna prawica skoczyła trzykrotnie, do ponad 20%, kosztem tych umiarkowanie prawicowych. Cała polaryzacja działa tak, że osoby o poglądach prawicowych przechodzą na stronę skrajnej prawicy.

A jednocześnie społeczeństwo się liberalizuje?

– Tak! Mamy duży trend w kierunku większej tolerancji, postępu, demokratyzacji – który dotyczy w ogóle społeczeństwa – i jemu przeciwny, mniejszy, ale bardzo wyraźny, na stronę skrajnej prawicy.

Ci, którzy już byli lewicowi, bardziej lewicowi z biegiem czasu w III RP się nie stali. A na odwrót – prawicowi mogli stać się bardziej prawicowi, tak?

– Można tak powiedzieć.

Jak to wytłumaczyć?

– Wielka modernizacja społeczna, która dokonała się w Polsce po 1989 r., była dla wielu Polaków trochę wymuszona. Zmianą ustroju, koniecznością wejścia do UE i przyjęcia jej wartości, ale również terapeutyczno-pedagogicznym wymiarem polskiej transformacji – gdy pojawiali się eksperci zagraniczni i krajowi, mówiący, jak teraz żyć. Społeczeństwo się

Dr hab. Przemysław Sadura – socjolog polityki, publicysta, wykładowca na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy", współautor ze Sławomirem Sierakowskim raportu „Polityczny cynizm Polaków".

eprasa.pl 8d3d48c988

dostosowywało, ale niekoniecznie bardzo entuzjastycznie. W pewnym momencie doszło do mobilizacji tych, którzy tę zmianę akceptowali najmniej. PiS w 2015 r. dało im głos. Dokładając do tego także antyeuropejskość, która wcześniej była na absolutnym marginesie. PiS dodało ją do już obecnej niechęci wobec zachodzących przemian czy obawy, jaką budziły – zbierając postawy wcześniej niemożliwe do wyartykułowania, wstydliwe lub wypychane z głównego nurtu, ale istniejące.

To był bunt przeciw komu?

– Przeciw tym, których można nazwać awangardą przemian. Elity medialne, ruchy LGBT, radykalne feministki – ci, którzy są widoczni i można na nich przerzucić całą swoją niechęć i sprzeciw wobec przemian. Tak zresztą się stało. A PiS to podsyciło. To zresztą przede wszystkim reakcja na tempo, a nie kierunek zmian. Widzimy to po wzrastającej akceptacji równouprawnienia kobiet – prawie nikt nie ma z tym problemu i nie kwestionuje np. tego, że kobiety pracują. To więc, że Polska się modernizuje, nie budzi gwałtownego oporu. Ale sygnał, że ktoś może szarpnąć cuglami, narzucić coś, chcieć nieuchronne zmiany jeszcze przyśpieszyć – to już powoduje reakcję. Dlatego, gdy PiS mocno podkreśla zagrożenie ze strony „radykalnych ruchów LGBT" i „lewicowych ekstremistów", wśród generalnie akceptujących LGBT Polaków pojawia się myśl: „a może coś jest na rzeczy?".

I kto się buntuje?

– Przede wszystkim mężczyźni, prowincja, słabiej wykształceni, osoby uważające się za dotknięte przez nieszczęścia transformacji. Stąd bierze się drugie, ekonomiczne wyjaśnienie tej reakcji. Lewica woli je od tego pierwszego, kulturowego. Ono bowiem pozwala tłumaczyć, że właśnie osoby słabsze i wykluczone padają ofiarą prawicowej propagandy i mobilizacji. To wytłumaczenie też nie jest nieprawdziwe – choć w świetle danych ten czynnik jest słabszy niż kulturowy. Słowem, nie tylko osoby zagrożone biedą i bezrobociem zradykalizowały się na prawo. Moim zdaniem PiS jest jednak, jak to określam, mistrzem żeglowania pod wiatr.

O! Co to znaczy?

– Mamy do czynienia z długotrwałym trendem społecznej liberalizacji, a PiS ustawiło się tak, że złapało wiatr na przeciwnych jej hasłach. Po pierwsze, było w stanie przejąć cały elektorat niezadowolonych z transformacji w sferze wartości. Po drugie – i to staraliśmy się pokazać w naszych badaniach dotyczących cynizmu politycznego – stara się przejąć wszystkich głosujących z powodów socjalnych. Deklaracje prawicowe coraz bardziej pokrywają się z akceptacją dla państwa socjalnego, równości społecznej, redystrybucji...

Czyli dokładnie odwrotnie, niż uczy nas tradycyjny podział, gdzie lewica ma być socjalna i wspólnotowa, a prawica liberalna i indywidualistyczna.

– Tak. Co więcej, gdy spojrzymy na elektoraty poszczególnych partii, to wyborcy PiS pochodzą z dwóch „koszyków". Są ci, którzy deklarują wyrazistą prawicowość, dumę z bycia Polakami, podkreślają rolę Kościoła – to jasne. Ale są i ci, którzy głosują właśnie „cynicznie". Czyli wcale nie podpisują się pod partyjną ideologią, językiem i propagandą, jednak z takich czy innych powodów uważają, że PiS coś „robi dobrze", i to im odpowiada. I nie głosują na Kaczyńskiego, dlatego że jest taki prawicowy – ale pomimo tego. Bo sami należą – i miałem takich rozmówców podczas badań – do zadowolonej, wcale nie konserwatywnej klasy średniej i wyższej, daleko mniej radykalnej w języku niż PiS. Nawet wyrażającej współczucie i empatię wobec mniejszości, zgorszonej kampaniami przeciw nim w wykonaniu władzy. Mówię o wyborcach, których nawet trudno nazwać „miękkimi chadekami", bo to po prostu ludzie centrum.

No to odwróćmy pytanie. Skoro można popierać PiS „cynicznie" i bez głębokiej wiary w jego wartości, dlaczego to nie działa na odwrót? Dlaczego nie ma takich wyborców lewicy, którzy np. nie lubią feminizmu, ale cenią sobie politykę społeczną lewicy, albo na odwrót – mają równościowe poglądy, ale są przeciw redystrybucji?

– A to wbrew pozorom wcale nie jest takie trudne pytanie. PiS jest partią rządzącą i ma dostęp do zasobów, do posad. „Cyniczny" elektorat ma też centrowa Platforma. Identyfikowanie się „cynicznie", „interesownie" jako lewicowiec nie ma zaś sensu. Jedyny skok lewicowej autoidentyfikacji w badaniach Europejskiego Sondażu Wartości zanotowaliśmy pod koniec lat 90. – kiedy Aleksander Kwaśniewski był prezydentem, a lewica była mocną partią, która szła po władzę.

Ale to jedna część odpowiedzi.

– Druga wynika z postawy samej lewicy. Wszyscy od lat deklarują, że trzeba rozbić duopol – Kukiz, Nowoczesna, Wiosna, Hołownia, także lewica. Ale potem okazuje się, że lewica w ramach tego duopolu ściga się na liberalizm, indywidualizm, postępowość i antypisowskość z PO. Dlatego wielu wyborców uważa, że lewica jest po prostu po liberalnej stronie konfliktu, tylko radykalniej – a tym samym mniej skutecznie – walczy o te same wartości i postulaty: widoczność osób LGBT, prawo do aborcji, kwestie ekologii. A towarzysząca temu atmosfera happeningu i skandalu tylko lewicę obciąża. Gdy spojrzymy na kwestie, jak dziś modnie się mówi, „przywileju" – to lewica ma najlepiej wykształcony, zamożny, wielkomiejski elektorat. Nie ma zaś pomysłu na tych mniej zamożnych i wykształconych.

Dlaczego w społeczeństwie, które od 30 lat się liberalizuje, nie zyskuje jedyna siła, która otwarcie identyfikuje się z postępem – czyli lewica?

– Zmiany obyczajowe i społeczne w Polsce zachodziły dotychczas bardzo szybko. Ale środowiska i ruchy

W ciągu 30 lat nastąpiło absolutne przeoranie systemu wartości.

Wielka modernizacja społeczna, jaka dokonała się w Polsce po 1989 r., była dla wielu Polaków wymuszona.

Tak jak Kaczyński płynie pod prąd, tak lewica wskakuje na falę.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 8d3d48c988

społeczne, które są w awangardzie przemian, domagają się zmiany jeszcze szybszej – czasem szokując swoim językiem czy estetyką. Reakcja na próby popchnięcia spraw do przodu lub – jak powiedzieliśmy wyżej – sprzeciw wobec nich okazują się silniejsze. Na pewno silniejsze niż sympatia, premia dla lewicy za bycie po właściwej stronie przemian. Tak bowiem, jak Kaczyński płynie pod prąd, lewica wskakuje na falę. I popiera takie rzeczy jak sekularyzacja czy emancypacja kobiet na rynku pracy. Wskutek tego staje się chłopcem do bicia dla wszystkich, którzy temu się sprzeciwiają. Nie pojawia się z kolei nagroda od tych, którzy uważają – skądinąd słusznie – obronę takich zdobyczy cywilizacyjnych za oczywistość.

W sprawie tęczowych flag na pomnikach jedni oburzali się, bo to ich obrażało, a drudzy – że kogoś może to obrażać. Spór szybko stał się referendum na temat tego, kto jakie może mieć uczucia.

– Lewica nie wie jeszcze, jak bronić praw grup słabszych – kobiet bądź mniejszości seksualnych – nie stając się zarazem rzecznikiem ich najradykalniejszych przedstawicieli i skrajnych środowisk. Gdyby walczyła o prawa LGBT, pokazując, że chodzi o najbardziej elementarne prawa człowieka i że to prawica im zagraża – byłoby jej łatwiej. Gdyby mogła powiedzieć: „my nie zgadzamy się może z pewną ekspresją, ale bronimy cywilizacyjnych standardów", przekonałaby więcej osób. Estetyka, którą posługuje się Stop Bzdurom i Margot, jest nie do zaakceptowania także dla większości liberalnych Polek i Polaków.

A dla lewicowych?

– Lewica – i niektórzy próbowali się z tego cieszyć – ma najmniej cyniczny elektorat. „Gazeta Wyborcza" robiła kiedyś takie zestawienie na podstawie badań i w nim okazało się, że wyborcy lewicy najmocniej identyfikują się z partią i głosują w zgodzie z jej wartościami. Brzmi świetnie, ale to też problem. Bo nie ma miejsca dla osób chcących zagłosować na lewicę, ale niekoniecznie akceptujących całość jej programu.

Nowa lewica oczywiście mówi, że sprawy socjalne są tak samo ważne jak kulturowe – ale ostatecznie okazuje się, że emocje budzą te drugie. Kiedy badałem twardy elektorat lewicy, okazało się, że jego przedstawiciele przychodzą na dyskusję z ustami pełnymi górnolotnych deklaracji o solidarności i prawach pracowniczych, ale w toku rozmowy szybko wychodziło na jaw, że co innego ich kręci. Dużo sympatyków lewicy bardzo ciepło wypowiada się o „ludzie", ale już samo to, jak i o czym mówią, pokazuje, że w prawdziwym kontakcie z ludem będzie im trudno złapać nić porozumienia. Szeroko mówią o „estetyce performance'u grup mniejszościowych", ale stosunki pracy w ogóle ich nie interesują.

To dlatego, że mamy tam nadreprezentację doktorantów i osób z wielkich miast?

– Mamy partię Razem, która powinna być najbardziej wyraziście socjalną lewicą, ale powyższy opis – nadreprezentacji wielkomiejskiej inteligencji – jest nieodległy od prawdy. Także wyborcy Razem często na tematy typowo socjalne reagują ziewaniem. Wiosna Biedronia jest od samego początku egzemplifikacją tego problemu – trochę wbrew jej staraniom, ale cokolwiek Robert robił, ostatecznie i tak kojarzono go z happeningiem. A trzecią nogą jest SLD – by odzyskać jego wyborców, nie zrobiono prawie nic.

Czy w takich okolicznościach jest jednak możliwa skuteczna walka o odzyskanie wiarygodności lewicowego szyldu?

– Wrócę do PiS. Spójrzmy, jak pisowcy potrafią lawirować – jadą na Śląsk i przekonują górników, że węgla wystarczy na 300 lat, a potem i tak wdrażają najbardziej radykalny program transformacji energetycznej. A Biedroń jedzie na Śląsk i mówi, że zamknie kopalnie. Tak się nie da – trzeba najpierw mieć pomysł, jak do tych ludzi dotrzeć. SLD z trzech partii lewicy jest tego najbliższy, choć jego pójście „trzecią drogą" w XXI w. będzie także u socjalnych wyborców ciążyć. Tam jednak, w SLD, jest najwięcej tych – w dobrym i złym sensie – cyników i pragmatyków. Oni nie są mistrzami tej gry jak Kaczyński, ale przynajmniej wiedzą, że trzeba kombinować.

Dominacja PiS w sferze kultury jest więc trwała?

– A właśnie że nie. Idzie kryzys, konieczność cięć budżetowych i odwrotu od socjalnego kursu. Kończy się czas, żeby na trwałe skleić pisowską prawicę i jej ideologię z programem socjalnym. To okno się zamyka – nie uda się już nawrócić wszystkich socjalnych wyborców Dudy i PiS na prawicowość kulturową oraz, mówiąc Patrykiem Jakim, „walkę z zagrożeniem zachodnich ideologii". Przekonanych zaś do PiS tylko z powodów kulturowych nie starczy, żeby rządzić wiecznie. W tym sensie kryzys otwiera nowe szanse. Ale otwarte jest pytanie, kto na tym zyska. Czy lewica przypomni sobie, jak się zdobywa elektorat robotniczy, czy zostanie skazana na bycie wyborem wielkomiejskiej kawiarni?

Czy lewica przypomni sobie, jak się zdobywa elektorat robotniczy, czy zostanie skazana na bycie wyborem wielkomiejskiej kawiarni?

Lewica nie wie jeszcze, jak bronić praw grup słabszych – kobiet, mniejszości seksualnych – nie stając się rzecznikiem ich najradykalniejszych przedstawicieli.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl,
www.dymek.substack.com

eprasa.pl 8d3d48c988

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Wybory wygrane, możecie umierać

Nie jest nieuprawnione przypuszczenie, że zmęczony wszechwładzą, coraz starszy, schorowany Jarosław Kaczyński wymyślił sobie na kontynuatora Mateusza Morawieckiego. Mamy w tej sprawie mocne poszlaki, nie tylko mgliste podejrzenia w rodzaju tych, które kazały policji i prokuraturze zatrzymać o świcie i zakuć w kajdanki aktywistkę podejrzaną o wypisanie na murach Ministerstwa Edukacji Narodowej imion kilkorga nastolatków, którzy w atmosferze nienawiści wobec osób LGBT, napędzanej przez najwyższych urzędników państwa (z prezydentem włącznie), popełnili samobójstwo.

Jeśli chodzi o Morawieckiego, to jednak jest już któryś rok premierem, a bez namaszczenia by nim nie był ani przez chwilę; ocalał podczas kilku kryzyso-kryzysików wewnątrz rządzącej prawicy – inaczej by nie ocalał. Z tym że im bardziej Morawiecki trwa, im bardziej peroruje, jacy to on i jego formacja są świetni – tym bardziej widać, że Kaczyński z tą kandydaturą przestrzelił. Wrzucił obowiązki na barki kogoś, kto umie co prawda wykorzystać własne uprzywilejowanie dla osobistych korzyści (banksterskо-majątkowa kariera historyka, małego niby-partyzanta Solidarności), ale nie są to kompetencje premiera, polityka organizującego pracę rządu niemal 40-milionowego kraju w Europie w XXI w. Być może wizerunkowo najgorzej wypada nieposkromiona i niepohamowana skłonność Morawieckiego do kłamczuszkowania i niezachwiana chełpliwość – co zresztą w tym obozie występuje z regularnością przyznawania sobie nagród, podwyższania apanaży i zatrudniania wedle klucza nepotyczno-koleżeńskiego. Tak już ta formacja ma: gęby pełne frazesów, wielkich słów, zamiast powszechnopolskiego przecinka „kurwa" są Bóg i ojczyzna, różnica niewielka.

Rzeczywistość mówi jednak Morawieckiemu i całemu PiS sprawdzam. I w tym pandemicznym pokerze oglądamy przekraczający wszelkie wyobrażenia pokaz hucpy i pójścia do końca lub dalej w zaparte, twarde i niewzruszone. Mamy ponad 4 tys. zdiagnozowanych dziennie zachorowań na COVID-19 (przy czym tysięcy osób na kwarantannach na testy się nie kieruje). Pół roku świadomości pandemii nie przełożyło się ani na doraźne działania, ani tym bardziej na położenie podwalin pod systemowe zmiany (patrz: status i warunki pracy pielęgniarek, w sytuacji kiedy mamy ich najmniej, najgorzej zarabiają i są jednymi z najstarszych wykonujących ten zawód w Europie, choć, na szczęście, wciąż jest więcej kandydatek do tego zawodu niż idących do seminariów duchownych). O zakupie do niczego nienadających się respiratorów, gównianych maseczek, które za to przyleciały do Polski największym na świecie samolotem transportowym, braku łóżek w szpitalach, lewych przetargach ustawionych pod znajomych, za co odpowiada poprzedni minister „podkrążone oczy" Szumowski, nie ma nawet co mówić. Wszystko to – indolencja, beztroska, brak kompetencji, prywata – ma swoje mocne źródła. To żądza władzy za wszelką cenę i bez żadnych obowiązków. Przypomnijmy słowa namaszczonego przez nadprezesa Kaczyńskiego premiera Morawieckiego: „Coraz mniej obawiamy się tego wirusa, tej epidemii i to jest dobre podejście, szanowni państwo. Bo on jest w odwrocie, już teraz nie trzeba się jego bać, trzeba pójść na wybory, tłumnie, 12 lipca. Nie ma się już czego bać. Latem wirus grypy, i ten koronawirus też, są słabsze, dużo słabsze. Widać to już dzisiaj po sytuacji w Polsce. Spokojnie można iść na wybory".

I czym to dzisiaj się kończy? Ten sam osobnik, który mógłby – gdyby tak nie pokochał pieniędzy z banków, gdzie, prezesując, wciskał ludziom złodziejskie kredyty we frankach i potem kłamał o tym już jako premier – być referentem w IPN i taplać się w historiach fałszywych bohaterów powojennego zbrojnego i zbrodniczego podziemia, zwanych „niezłomnymi", dzisiaj wygłasza takie słowa: „Druga fala do nas dotarła, musimy zmierzyć się z nią w sposób zdecydowany, wykorzystując doświadczenia nabyte wiosną i doświadczenia innych krajów. Dziś mieliśmy ok. 30% przypadków więcej niż dnia poprzedniego. W przypadku takiej dynamiki podwojenie liczby zakażeń będzie zachodziło mniej więcej co trzy dni. Chcemy, żeby wystąpiło wypłaszczenie. Chcemy zastosować strategię podobną do tej, którą zastosowaliśmy kilka miesięcy temu". Trudno oprzeć się wrażeniu, że jedynym wypłaszczeniem, jakie tu obserwujemy, jest stan umysłu premiera – marzenia Jarosława Kaczyńskiego o idealnym następcy. Rząd wypłaszczenia umysłowego. Przyjdzie wirus i wyrówna. Ale to na pewno nie jest rządzenie państwem.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8d3d48c988

Czarny październik

W ostatnich latach na drogach ginie coraz więcej osób. Najtragiczniejsza jest jesień

Ewa Smolińska-Borecka

Przełom września i października. W województwie pomorskim nie ma już najazdu turystów jak w wakacje. Ale to nie znaczy, że nie ma wypadków. Sobota, 26 września, po godz. 10.30. Na drodze krajowej nr 91 w miejscowości Mała Karczma 27-letni motocyklista zjechał na przeciwny pas ruchu i zderzył się z kią sorento. Poniósł śmierć na miejscu. Niespełna osiem godzin później między miejscowościami Starkowo i Zaleskie 42-letni kierowca peugeota na prostym odcinku drogi zjechał na pobocze i uderzył w drzewo. Zginął na miejscu. Dwaj pasażerowie zostali odwiezieni do szpitala.

Niedziela, 27 września, przed godz. 17. Na drodze krajowej nr 20 pomiędzy miejscowościami Łąkie i Półczno kobieta kierująca toyotą na zakręcie zjechała na przeciwny pas i uderzyła w bok mercedesa. Ranne zostały cztery osoby.

Poniedziałek, 28 września, ok. godz. 22.30, droga wojewódzka nr 224, odcinek między Przodkowem a Pomieczynem. 62-letnia kobieta jadąca fiatem na łuku drogi zjechała na pobocze i uderzyła w drzewo. Zginęła na miejscu.

Czwartek, 1 października, godz. 6.30 rano. Osobowy nissan na prostej drodze zderzył się czołowo z ciężarówką na drodze krajowej nr 21 w Trzebielinie. 67-letni kierowca osobówki i 40-letnia pasażerka zginęli. Druga pasażerka trafiła do szpitala.

Poniedziałek, 5 października, około południa. Na autostradzie A1 w pobliżu węzła Kopytkowo samochód dostawczy uderzył w tył ciężarówki. Kierowcy dostawczaka nie udało się uratować. Tego samego dnia wieczorem zginął 20-letni kierowca seata, który uderzył w drzewo w miejscowości Borowina.

6 października w Gołębiewku osobowy peugeot podczas wymijania ciężarowego mercedesa uderzył w tył jego naczepy, wskutek czego ciężarówka zjechała na przeciwległy pas i zderzyła się czołowo ze skodą. Jej 35-letni kierowca zginął na miejscu. Dwie osoby jadące peugeotem oraz kierowca ciężarówki trafili do szpitala.

Prędkość

W ubiegłym roku na polskich drogach doszło do 30 288 wypadków. W ich wyniku poniosło śmierć 2909 osób, a 35 477 zostało rannych, w tym 10 633 ciężko. Czy drogi w Polsce są coraz bardziej niebezpieczne?

Program Likwidacji Miejsc Niebezpiecznych jest realizowany nieudolnie.

– Wręcz przeciwnie – mówi Maria Dąbrowska-Loranc, kierownik Centrum Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego Instytutu Transportu Samochodowego w Warszawie. – Bezpieczeństwo na polskich drogach systematycznie rośnie, a liczba wypadków z roku na rok jest coraz mniejsza. W latach 2010-2019 udało nam się znacznie zredukować liczbę wypadków (o 22%) oraz liczbę zabitych w tych wypadkach (o 26%). W 2011 r. zginęło prawie 4200 osób, a w 2019 r. o ponad 1300 mniej.

Faktycznie, w skali dekady wygląda to nieźle. Znacznie gorzej, jeśli popatrzymy na trend ostatnich lat. Na początku dekady, w latach rządów PO, liczba wypadków na drogach rzeczywiście szybko malała: z 49 054 w roku 2008 r. do 32 967 w roku 2015. Gdyby ta tendencja się utrzymała, to w 2019 r. powinno być 27 665 wypadków. Tymczasem było ich 30 288.

Znacznie tragiczniej wyglądają liczby zabitych w wypadkach. W 2008 r. na drogach zginęło 5437 osób, w roku 2015 – 2938. Niewiele mniej – 2909 – ofiar śmiertelnych było w roku ubiegłym. A to już czas rządów PiS. Na drogach zginęło 793 pieszych, 258 rowerzystów, 295 motocyklistów i 87 motorowerzystów. Te cztery grupy najsłabszych uczestników ruchu stanowiły 49% ofiar śmiertelnych.

– W porównaniu z innymi krajami europejskimi jest u nas większe zagrożenie na drogach – twierdzi Maria Dąbrowska-Loranc. – W Polsce wskaźnik zabitych w wypadkach drogowych wynosi 75 na milion mieszkańców, gdy w Europie średnio 51, a w najbezpieczniejszym kraju, czyli w Szwecji, zaledwie 22 osoby. W Polsce budujemy nowe drogi, których zazdroszczą nam inne zmotoryzowane w wysokim stopniu kraje. Jednak nie potrafimy po nich bezpiecznie jeździć. Do głównych problemów należy prędkość. Konieczne jest podjęcie działań edukacyjnych i dyscyplinujących kierowców. Nieuchronność kary ma tutaj ogromne znaczenie.

Agresja

Polscy kierowcy, którzy nie zamierzają kierować autami zawodowo, nie są poddawani badaniom psychologicznym. Tymczasem na rynek zawodowy trafiła potężna grupa ludzi, którzy posiadają jedynie prawa jazdy dla amatorów. Wielu specjalistów od ruchu drogowego postuluje, by badaniami psychologicznymi objąć wszystkich kandydatów na kierowców. W tej chwili kierowcy amatorzy z psychologami transportu mają kontakt tylko wtedy, gdy są sprawcami wypadku drogowego, kiedy kierowali samochodem pod wpływem alkoholu lub środków odurzających albo przekroczyli limit punktów karnych. Mówi się, że polscy kierowcy zachowują się na drogach jak wariaci. Czy tak jest faktycznie?

– Sposób prowadzenia pojazdu zdecydowanie ma znaczący wpływ

eprasa.pl 8d3d48c988

na bezpieczeństwo na drodze – podkreśla Monika Ucińska, psycholog transportu z ITS. – Pomimo że mamy coraz lepsze drogi i więcej pojazdów wyposażonych w odpowiednie systemy wspomagania jazdy, kluczowymi elementami odpowiedzialnymi za powodowanie wypadków na drodze są człowiek i jego zachowanie. To, w jaki sposób kierowca zachowuje się na drodze, może odpowiadać temu, jak funkcjonuje w zwykłych sytuacjach dnia codziennego. Choć zdarza się, że osoba, która uchodzi za bardzo spokojną i opanowaną, w samochodzie zmienia się w pirata drogowego. Sprzyja temu m.in. anonimowość oraz izolacja.

Monika Ucińska uważa, że agresja na drodze w Polsce stała się już zjawiskiem dość powszechnym. Można mówić o trzech rodzajach zachowań: agresywnej jeździe, gniewie za kierownicą i furii drogowej, czyli fizycznym atakowaniu innego uczestnika ruchu. – Jak pokazują badania prowadzone w ramach Barometru Odpowiedzialnej Jazdy 2020, podsumowujące zachowania Europejczyków na drogach, 20% badanych polskich kierowców przyznało, że za kierownicą zachowuje się bardziej nerwowo, impulsywnie i agresywnie niż w codziennych sytuacjach, podczas gdy do takiego zachowania przyznało się 16% europejskich kierowców – wyjaśnia. – Jest to spójne z wynikami badań prowadzonych w Instytucie Transportu Samochodowego, dotyczących zachowań ryzykownych i agresywnych polskich kierowców. Pokazują one, że kierowcy mają dużą skłonność do tego typu zachowań, częściej też dostrzegają agresję u innych uczestników ruchu, ale nie przyznają się do własnej.

1 października br. w wypadku w Trzebielinie dwie osoby zginęły, jedna została ranna.

Drogi

Platforma Obywatelska u schyłku swojej władzy przyjęła Program Budowy Dróg Krajowych na lata 2014-2023 wraz z dołączonym do niego Programem Likwidacji Miejsc Niebezpiecznych. Do PLMN zostały zakwalifikowane inwestycje na drogach krajowych o największej, bardzo dużej albo dużej klasie ryzyka. Wpisanie do tego programu sprawiało, że inwestycja mogła być zrealizowana szybciej. Dlatego kiedy w 2015 r. powstała lista zadań PLMN, u niektórych polityków narodziła się chęć wepchnięcia na listę faworyzowanej miejscowości.

Poseł na Sejm minionej kadencji Bogdan Latosiński z PiS w czerwcu 2016 r. w formie interpelacji prosił, by na listę wciągnąć budowę chodnika w Górnie w pow. kieleckim, w ciągu drogi krajowej nr 74. Argumentował, że na tej drodze jest bardzo duże natężenie ruchu i dochodzi do wielu wypadków z udziałem pieszych. Ówczesny wiceminister infrastruktury i budownictwa Jerzy Szmit nie uległ tej prośbie. W odpowiedzi napisał m.in., że chodnik w Górnie powstanie w ramach Programu Budowy Ciągów Pieszo-Rowerowych. Czyli z szybszej ścieżki nic nie wyszło.

Mieszkańcy innych miejscowości mieli jednak większą siłę nacisku na GDDKiA. Wiele inwestycji, które początkowo nie znalazły się na liście zadań w PLMN, w końcu w ramach tego programu zrealizowano. Stwierdzili to kontrolerzy z Najwyższej Izby Kontroli, którzy negatywnie ocenili dotychczasową realizację programu. „Przygotowanie projektu było nierzetelne, nadzór nad jego realizacją nieskuteczny, planowanie wydatków nieefektywne, a efekty niewielkie", napisali w raporcie.

Do Programu Likwidacji Miejsc Niebezpiecznych w 2015 r. zakwalifikowano 1085 zadań o wartości 7,2 mld zł. Od początku realizacji programu minęło pięć lat, lecz GDDKiA wydała na niego zaledwie 540,3 mln zł, czyli 7,5% kwoty przeznaczonej na ten cel. Co więcej, z wykonanych do końca 2019 r. 420 zadań jedynie 304 były wcześniej umieszczone na liście. Pozostałe 116 wykonano w obszarach o bardzo małej, małej i średniej klasie ryzyka. Można więc przypuszczać, że zrealizowano je w regionach, które cieszyły się specjalną sympatią władzy.

Jednym z celów Programu Budowy Dróg Krajowych, którego częścią jest Program Likwidacji Miejsc Niebezpiecznych, było zmniejszenie do 2023 r. liczby ofiar śmiertelnych o co najmniej 40%, do maksymalnie 1762 osób. Na razie nic nie wskazuje, by miało się to ziścić. Od 2011 do 2015 r. następował z roku na rok spadek liczby ofiar śmiertelnych na polskich drogach. Teraz jest wzrost. W ubiegłym roku, po pięciu latach od wprowadzenia programu, zginęło 2909 osób, o 5% więcej niż rok wcześniej. To daje nam miejsce w czołówce państw europejskich. Rządzący nie bardzo się tym przejmują. ■

e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KPP BYTÓW

eprasa.pl 8d3d48c988

Premier jest nagi

Dzisiejsza Bułgaria to nowy Trzeci Świat – najniższe dochody, największe nierówności społeczne, katastrofa demograficzna

Bojan Stanisławski

Premier śpi z bronią przy łóżku, a w szafce nocnej trzyma tysiące euro w gotówce i sztabki złota. Na ulicach zaś od niemal trzech miesięcy trwają codzienne protesty. Oto pocztówka z minionego lata w Bułgarii.

Model restauracji systemu rynkowego wprowadzony w Bułgarii po 1989 r. ściągnął na kraj i społeczeństwo upadek cywilizacyjny bez precedensu w całej, trwającej ponad 1,3 tys. lat historii bułgarskiej państwowości. Jedna trzecia Bułgarów wyemigrowała, przemysł w zasadzie nie istnieje, rolnictwo jest w rękach kilku oligarchicznych familii, służba zdrowia i edukacja są w stanie permanentnej zapaści, infrastruktura się rozpada, niemal nic, co publiczne, nie działa, prowincja jest kompletnie wyludniona, wtórny analfabetyzm na dobre zagościł w społeczności romskiej. Jeden rzut oka na wskaźniki opracowywane cyklicznie przez Eurostat wystarczy, by się zorientować, że dzisiejsza Bułgaria to nowy Trzeci Świat – najniższe dochody, największe nierówności społeczne, katastrofa demograficzna.

Oczywiście to wszystko nie stało się nagle. Teraz jednak przypominają o tym masowe demonstracje, które od prawie 90 dni nie schodzą z ulic Sofii i kilku większych miast; solidarnościowe protesty mają też miejsce w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, Hiszpanii i paru innych dużych ośrodkach bułgarskiej nowej emigracji.

Gdzie jest Unia?

Społeczeństwo, dosłownie resztkami sił, podjęło masową, desperacką można powiedzieć, próbę zrzucenia transformacyjno-mafijnego jarzma. Niestety, znikąd pomocy. Unia Europejska zajmuje się głównie Białorusią, która do UE wszak nie należy. Tymczasem w Bułgarii dzieje się, jakościowo rzecz biorąc, dokładnie to samo, co jest przedmiotem zachodnioeuropejskiej krytyki w sprawie Białorusi – gangster satrapa rozkrada kraj, nęka społeczeństwo, oligarchiczna wierchuszka bogaci się kosztem dewastacji wszystkiego wokół, nie ma praktycznie żadnych opozycyjnych mediów, korupcja jest podstawowym mechanizmem zarządzania itd. Po trzech miesiącach protestów i licznych potyczkach z policją w centrum Sofii Parlament Europejski zdecydował o przeprowadzeniu debaty o stanie praworządności w Bułgarii. Brzmi znajomo, nieprawdaż? Zerowy efekt takiego teatralnego działania można przewidzieć już teraz.

Na pewien paradoks zakrawa fakt, że protestujący dotychczas nie wystąpili z konkretnymi postulatami o charakterze ekonomicznym. Wobec trzecioświatowych standardów, które przyszło znosić Bułgarom, wydawałoby się, że zagniewany lud w pierwszej kolejności zażąda właśnie pieniędzy. Tymczasem słychać głównie nawoływania do dwóch dymisji – premiera Bojka Borisowa i prokuratora krajowego Iwana Geszewa. To wynik dwóch wydarzeń.

Wszystko zaczęło się na początku lata od politycznego performance'u, którego centralną postacią był Christo Iwanow, były minister sprawiedliwości w jednym z dawnych rządów Borisowa. Wszedł on w konflikt z Borisowem w sprawie – to znów zabrzmi znajomo – reformy sądownictwa. Cztery lata temu Iwanow założył centrowo-liberalną partię Tak Bułgaria. Ponieważ jednak nie ma żadnych sukcesów politycznych, przypomina o swoim istnieniu wszelkimi sposobami. Tym razem wybrał się, wraz z kilkoma aktywistami, na publiczną plażę nad Morzem Czarnym. Publiczna pozostawała ona od lat wyłącznie formalnie, gdyż wszystkie prowadzące do niej drogi lądowe zostały zamknięte, ponieważ tuż przy niej znajduje się willa-pałac jednego z najważniejszych bułgarskich oligarchów, Ahmeda Dogana, przywódcy partii Ruch na rzecz Praw i Swobód; obecnie już emerytowanego polityka.

> Jedna trzecia Bułgarów wyemigrowała, przemysł w zasadzie nie istnieje, rolnictwo jest w rękach kilku oligarchicznych familii.

Iwanow przypłynął więc na tę plażę łodzią, a gdy tylko spróbował z niej wysiąść, kilku krzepkich ochroniarzy brutalnie wepchnęło go z powrotem do wody, co zostało sfilmowane i upublicznione w mediach społecznościowych. Okazało się, że Dogan zagarnął tę część plaży, w dodatku jest ochraniany przez oficerów bułgarskiego odpowiednika SOP, choć nie ma do tego żadnego tytułu.

eprasa.pl 8d3d48c988

Prokuratorski zajazd w siedzibie prezydenta

Chwilę później wybuchł kolejny skandal. Kierowana przez Iwana Geszewa prokuratura krajowa dokonała czegoś na kształt zbrojnego zajazdu na budynek urzędu prezydenta republiki Rumena Radewa, jedynego liczącego się politycznego oponenta Bojka Borisowa. Tuzin pancernych jeepów, policyjni szturmowcy w pełnym wojskowym rynsztunku itd. A wszystko dlatego, że jeden z doradców Radewa miał otrzymać SMS z pytaniem-prośbą o wsparcie czyjejś kandydatury na ambasadora i odpowiedzieć: „Zobaczymy, co da się zrobić". Taka korespondencja okazała się dostatecznym powodem siłowego wtargnięcia do biur konstytucyjnej głowy państwa.

Incydent ten doprowadził nie tylko do wojny instytucji w Bułgarii, ale i rozgrzał do czerwoności emocje społeczne, i tak już pobudzone sprawą „plaży Dogana". Rumen Radew jest bowiem jedynym politykiem, który w ciągu 15 lat istnienia prawicowej partii GERB Bojka Borisowa zdołał zadać jemu i jego stronnictwu poważne straty, wygrywając w 2016 r. wybory prezydenckie z poparciem Bułgarskiej Partii Socjalistycznej. Oprócz tego Radew cieszy się bardzo dużym zaufaniem społecznym. Zanim został prezydentem, był cenionym pilotem wojskowym, generałem, dowódcą bułgarskiej obrony powietrznej, nie miał styczności z polityką, nie jest usytuowany w żadnym z oligarchicznych klanów, które faktycznie rządzą Bułgarią. Wszystko to czyni z niego postać najbliższą uczciwemu politykowi; jako taki właśnie jest postrzegany nawet przez tych, którzy nie podzielają jego poglądów. Borisow i cały oligarchiczny zaciąg, dla dobra którego premier zarządza krajem, żywi zatem do niego szczególną nienawiść. Nic dziwnego, że zdarzenie to jest odbierane przez Bułgarów jako bitwa prezydenta poczciwca z rządowo-mafijnym egzekutorem przebranym w prokuratorskie łaszki.

Od prawie 90 dni z ulic Sofii i kilku większych miast nie schodzą masowe demonstracje.

Nie wiadomo, na czyje zlecenie działał Geszew. Możliwe, że samego Borisowa, jednak Radew ma i innych poważnych wrogów. Jednym z nich jest Delian Peewski, potężny oligarcha i właściciel większości tytułów medialnych w Bułgarii. Radew kilka razy skutecznie zablokował jego nominację na różne stanowiska. Peewski formalnie należy do partii wspomnianego wcześniej Dogana, jednak tajemnicą poliszynela jest, że działa wspólnie z Borisowem, zapewniając mu uległość mediów, o jakiej Todor Żiwkow (sekretarz generalny Komitetu Centralnego Bułgarskiej Partii Komunistycznej w latach 1954-1989 – przyp. red.) mógł tylko pomarzyć; warto wspomnieć, że Borisow zaczynał karierę właśnie jako osobisty ochroniarz Żiwkowa.

Jestem prostakiem i gangsterem

Wobec takich okoliczności 9 lipca Bułgarzy zaczęli masowo gromadzić się w centrum Sofii, na placu przed siedzibą prezydenta, by okazać solidarność z Radewem i sprzeciw wobec oligarchicznego chuligaństwa, którego narzędziem stała się najważniejsza prokuratura w kraju.

FOT. STOJAN NENOW/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8d3d48c988

Statystyki i bieda to zatem jedna rzecz, która niewątpliwie towarzyszy protestom jako pewne tło i obraz zapaści cywilizacyjnej, której Bułgaria doznała po 1989 r. Drugą były ostentacyjne gangsterskie ekscesy, jakich dopuścili się tego lata najważniejsi ludzie w państwie. „To było jak polewanie otwartej rany octem", powiedział jeden z protestujących bułgarskiemu dziennikarzowi Nikołajowi Draganowowi, który opublikował na portalu Baricada.org reportaż z 56. dnia protestów, dotychczas najbardziej krwawego.

Dodatkowo rozsierdził społeczeństwo fakt, że tym razem prokurator Geszew poczuł się zobligowany do pokazowej akcji w siedzibie prezydenta z powodu SMS-a, z którego nieco na siłę próbuje się uczynić dowód nielegalnego lobbingu i handlu wpływami. Zupełnie nie jest bowiem jasne, komu ewentualnie miał pomóc prezydencki doradca. Natomiast gdy do opinii publicznej wyciekła treść rozmów Borisowa z jego kolegami, Geszew nie tylko nie zrobił nic, ale jeszcze ostentacyjnie lekceważył tę sprawę. A jest ona niezwykle poważna.

12 czerwca w internecie pojawił się plik audio, na którym wyraźnie słychać, jak Bojko Borisow rozmawia z kimś przez telefon. Tożsamość i głos jego interlokutora pozostają nieujawnione. W nagraniu tym premier Bułgarii wyraża się niezwykle wulgarnie o partyjnej koleżance i przewodniczącej Zgromadzenia Narodowego (jednoizbowego parlamentu Bułgarii) Cwecie Karajanczewej. Później następuje monolog Borisowa, w którym chwali się on swoją ignorancją i grubiańskim postępowaniem wobec europejskich polityków i premierów.

„Gdy się jest prostakiem, wszystko przychodzi łatwo! Dzisiaj trzy razy musiałem coś tam im [politykom zagranicznym] wyjaśniać, bo przecież nie znam angielskiego. Niewiele nawet rozumiem, więc w ogóle nie mam pojęcia, co oni mówili. Tak że im nagadałem! Naprawdę ostro im w…! D… im po całości! Rozumiesz?! Wszystkim tym premierom i politykom, zagraniczniakom tym… I gdy już się zorientowali, że im n… porządnie, to zaczęli dzwonić i pytać, o co chodzi i dlaczego tak brutalnie, i w ogóle… A ja im wtedy mówię, żeby nie grzali rury, że to wszystkim na dobre wyjdzie, że nie miałem złych zamiarów. Jestem prostakiem, nie znam angielskiego. Coś tam powiedziałem. Myślałem, że oni tego właśnie chcieli. Więc im go zasadziłem w d…! I teraz tam jest! I się nawet kręci!", relacjonuje swoją działalność premier Bułgarii.

Na nagraniach ujawnionych później Borisow chwali się tym, jak zamęczył nielubianego przez siebie biznesmena kontrolami skarbowymi, które zlecił. Nakazuje też swojemu rozmówcy ogłaszać to wszędzie w mediach. „Wszyscy mają wiedzieć, że to ja zleciłem kontrolę Komisji Nadzoru Finansowego w Euroholdzie! To ma być jasne! Bo on normalnie mnie nie słucha!". W kolejnych nagraniach tłumaczy zaś, jak „spali" swojego ministra gospodarki Aleksandyra Manolewa; mianowicie ujawniając, że za europejskie pieniądze wybudował wielki dom, który miał, zgodnie z założeniami finansowanego projektu, służyć jako obiekt turystyczny, a stał się jego pałacem. W ten sposób Borisow planował zniszczyć również dziennikarkę i wówczas kandydatkę na eurodeputowaną Elenę Jonczewą.

„Oboje ich załatwię. Co, myślisz, że Jonczewej nie? Też będzie zniszczona. Oboje powieszę! Już wysłałem tam policję i kogo tam jeszcze trzeba. Zobaczysz", odgraża się Borisow, który, jak się okazuje na innych „taśmach prawdy", może też policję wycofać. To wiemy z podobnych nagrań ujawnionych w roku 2011. Wtedy, w rozmowie z ówczesnym szefem bułgarskich służb celnych Wanjem Tanowem, Borisow nakazuje mu wycofanie funkcjonariuszy z magazynów Michaiła Michowa, oligarchy o wdzięcznym pseudonimie Miszo Piwko (był właścicielem browaru).

Nie ma praktycznie żadnych opozycyjnych mediów, korupcja stała się podstawowym mechanizmem zarządzania.

„Słuchaj, ten cały Miszo Piwko do mnie dzwonił, że jacyś celnicy czy jakaś policja mu się tam zwaliła! O co chodzi?! Weź zadzwoń i ich natychmiast wszystkich wycofaj! Mówiłem ci, że podjąłem konkretne zobowiązanie. Załatw to natychmiast i potem pogadamy!", słychać wściekłego Borisowa. Kilka miesięcy później Tanow i Michow nie żyli.

Tego lata, razem z materiałami audio, wyciekły zdjęcia Borisowa leżącego nago w pościeli w swojej posiadłości w dzielnicy Bojana w Sofii. Na szafce nocnej koło jego głowy widać pistolet, a w otwartej szufladzie pliki banknotów o nominale 500 euro i sztabki złota. Wszystko to składa się na tyleż absurdalną, co żałosną układankę scenek rodzajowych, które bardziej pasują do amerykańskiego serialu gangsterskiego najniższych lotów niż do opowieści o państwie członkowskim Unii Europejskiej.

Czy ktoś podczas nadchodzącej debaty o stanie praworządności w Bułgarii zapyta, co Merkel, Junckerowi, Verhofstadtowi czy innym unijnym notablom załatwia Bojko Borisow? Dlaczego instytucje UE i ich przedstawiciele z ustami pełnymi frazesów o praworządności, demokracji i społeczeństwie obywatelskim od ponad dekady tolerują autorytarny oligarchiczny porządek wprowadzany i utrwalany przez bułgarskiego premiera? Dopóki nie usłyszymy odpowiedzi na te pytania, ze strony UE można liczyć najwyżej na groźne kiwanie palcem. Dokładnie tak samo jak w sprawie Polski i Węgier.

Bojan Stanisławski

W nowym numerze tygodnika „NIE": Kto, jak i na czyje polecenie niszczył dokumenty w Ministerstwie Sprawiedliwości podczas niedawnego przesilenia rządowego.

eprasa.pl 8d3d48c988

Wyborcy będący w kwarantannie mogli głosować z samochodu.

Stany nadzwyczajne sąsiadów

Łukasz Grzesiczak

Po wiosennym wybuchu pandemii Czechy były jednym z pierwszych krajów, które wprowadziły obowiązkowe noszenie maseczek, władze szybko też zamknęły granice. Po przełomowej sobocie 11 kwietnia, kiedy zanotowano rekordową liczbę 4736 zakażeń, dzienna liczba nowych przypadków zaczęła spadać.

Do czerwca sytuacja wydawała się opanowana. Na początku lipca na fali euforii mieszkańcy Pragi zorganizowali nawet ogromną imprezę pożegnalną dla koronawirusa – na zabytkowym Moście Karola stanął 500-metrowy stół. Jadło się, piło, uczestnicy zupełnie zapomnieli o dystansie społecznym. „Chcemy świętować koniec kryzysu związanego z koronawirusem, pozwalając ludziom się spotkać i pokazać, że się tego spotkania nie boją – że nie mają obaw, by spróbować kanapki od sąsiada", mówił wtedy organizator wydarzenia Ondřej Kobza.

CZECHY: nowy minister na nową falę

Być może także to niefrasobliwe podejście Czechów sprawiło, że już pod koniec lipca sytuacja epidemiczna u naszych południowych sąsiadów pogorszyła się i zaczęto mówić o drugiej fazie pandemii. „Można było się tego spodziewać, ale nie sądziłem, że stanie się to tak szybko. Myślałem, że na pewien czas zapanuje spokój, a wszystko zacznie się na nowo w miesiącach jesiennych", komentował wówczas dla Czeskiego Radia dyrektor Instytutu Badań Medycznych i Statystyki Ladislav Dušek.

> Czesi nie mogą śpiewać, Słowacy przegrywają walkę z fake newsami o koronawirusie

Znaczny wzrost zachorowań przyniósł również wrzesień, gdy dzieci wróciły do szkoły. 20% odnotowanych przypadków zakażeń stwierdzono właśnie u uczniów. W połowie września Roman Prymula, epidemiolog i były pełnomocnik rządu do spraw nauki i badań w dziedzinie ochrony zdrowia, mówił już wprost o drugiej fali koronawirusa w Czechach. Równocześnie ostrzegał, że jeśli nie zostaną wprowadzone odpowiednie ograniczenia, do końca października w czeskich szpitalach może zabraknąć wolnych łóżek dla zakażonych: „Wiosną byliśmy w najlepszym wyjściowym położeniu do walki z koronawirusem, dziś ośmielę się powiedzieć, że nawet Hiszpania jest w lepszej sytuacji niż my". Pod względem liczby potwierdzonych przypadków w ciągu 14 dni na 100 tys. obywateli Czechy były wówczas na trzecim miejscu w całej Unii Europejskiej, po Francji i właśnie Hiszpanii, jednak w Hiszpanii w odróżnieniu od Czech obserwuje się już tendencję spadkową.

Prymula podkreślił również, że największe ryzyko zakażenia stwarzają bliskie kontakty, np. śpiewanie w niewielkiej odległości od innych. Dlatego przynajmniej na miesiąc ludzie powinni zrezygnować z przyjęć i imprez masowych. W reakcji na niekorzystną sytuację epidemiczną władze znów wprowadziły obowiązek noszenia maseczek we wszystkich pomieszczeniach zamkniętych i ograniczyły godziny otwarcia restauracji w całym kraju maksymalnie do północy.

21 września Prymula został ministrem zdrowia. Zastąpił Adama Vojtěcha po fali krytyki, która spadła

FOT. DAVID W. ČERNÝ/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8d3d48c988

na rząd w związku ze wzrostem liczby zachorowań. Premier Andrej Babiš stwierdził, że zadaniem nowego ministra będzie przede wszystkim zagwarantowanie chorym z koronawirusem wystarczającej liczby łóżek w szpitalach oraz udoskonalenie systemu kwarantanny. Sam Prymula podkreślił, że nie zamierza wprowadzać środków, które osłabią gospodarkę – zależy mu zwłaszcza na tym, by uświadomić obywatelom, jak kluczowe w obecnym czasie jest unikanie bliskich kontaktów.

Spacer zamiast WF

5 października ponownie wprowadzono w Czechach stan nadzwyczajny, który potrwać ma 30 dni. Minister Prymula uspokajał jednak: „Ogłoszenie stanu nadzwyczajnego w żadnym wypadku nie znaczy, że zamierzamy wprowadzić takie ograniczenia, jakie były wiosną. Oznacza on po prostu ramy ustawodawcze, które umożliwią nam wprowadzenie ogólnych środków do walki z pandemią”.

Obecnie obowiązują: zdalna nauka w szkołach średnich na obszarach wysokiego ryzyka i ograniczenia dotyczące pracy restauracji (maksymalnie sześć osób przy jednym stole) oraz imprez masowych (maksymalnie 10 osób na wydarzeniach w pomieszczeniach zamkniętych, 20 osób – na otwartej przestrzeni). W ślubach i pogrzebach może uczestniczyć najwyżej 30 osób. Wprowadzono też dodatkowe wymogi dotyczące zajęć szkolnych – lekcje muzyki mają się odbywać bez śpiewu, a wychowanie fizyczne ma zostać zastąpione przez spacery. Śpiew budzi szczególne kontrowersje, dlatego zakazano wszelkich przedstawień ze śpiewem (koncerty, opery, musicale) oraz śpiewu na nabożeństwach.

Ze względu na wysokie ryzyko zakażenia część krajów wprowadziła ograniczenia dla podróżujących z Czech. Włochy wymagają od nich okazania negatywnego wyniku testu na koronawirusa nie starszego niż 72 godziny. Podobne rygory narzuciła przyjeżdżającym z Czech sąsiednia Słowacja.

Od 7 października kwarantanna jest nakładana na Czechów i Słowaków przyjeżdżających do Rumunii. Także w Wielkiej Brytanii, Norwegii, Słowenii i Szwajcarii Czesi mają obowiązek kwarantanny, a granice Danii i Finlandii są całkowicie zamknięte dla Czechów podróżujących w celach turystycznych. Ograniczenia obowiązują w Belgii i Niemczech (dotyczy to niektórych regionów Czech).

Wybory z przenośną urną

W weekend przed wprowadzeniem stanu nadzwyczajnego odbyły się wybory samorządowe połączone z częściowymi wyborami do senatu, Czesi bowiem co dwa lata odnawiają jedną trzecią jego składu. Nasi sąsiedzi wybierali radnych województw (wybory do rad gmin odbyły się w 2018 r.) i 27 z 81 senatorów. Głosowano w piątek i sobotę przy ścisłych zasadach sanitarno-higienicznych. Komentatorzy zwracają uwagę, że koronawirus nie powstrzymał obywateli przed pójściem do urn. Frekwencja wyniosła

eprasa.pl 8d3d48c988

37,95% i była nieco wyższa niż w wyborach w 2016 r.

Członkowie komisji zwracali uwagę, by wszyscy głosujący mieli maseczki. Wyborcy będący w kwarantannie mogli głosować z samochodu lub za pomocą przenośnej urny.

O 675 miejsc radnych w 13 województwach ubiegało się 9,7 tys. osób. Największe poparcie uzyskała partia premiera Andreja Babiša. Na ANO 2011 głosowało 21,82% wyborców, tym samym powiększyła liczbę mandatów w województwach ze 176 do 178. Drugim wynikiem mogą się pochwalić Piraci, którzy dostali 12,02% głosów, co zapewniło im 99 mandatów (wcześniej mieli ich tylko pięć). Te wybory to porażka czeskich socjaldemokratów i komunistów. Socjaldemokraci z ČSSD otrzymali 4,92% głosów i stracili w wojewódzkich radach 88 mandatów, komuniści z poparciem 4,72% mają teraz reprezentację mniejszą o 73 szable. Ci ostatni próbowali tłumaczyć swój kiepski wynik koronawirusem. „Większość naszych wyborców to seniorzy. Mógł więc pojawić się strach przed pandemią, który był w ostatnim czasie mocno napędzany. Będziemy to musieli przeanalizować", mówił poseł KSČM (Komunistycznej Partii Czech i Moraw) Leo Luzar.

Dotychczas na koronawirusa w Czechach zachorowało ponad 92 tys. osób (dane na 7 października). Ponad 800 zmarło.

SŁOWACJA: najważniejszy pierwszy krok

Druga fala koronawirusa dotarła również na Słowację, a ta od początku była jednym z krajów, które z epidemią poradziły sobie najlepiej w Europie. Od maja do 26 sierpnia na COVID-19 zmarło zaledwie pięć osób. Do tej pory zachorowało niecałe 15 tys. osób, zmarło 55.

Jednak i tutaj sytuacja znacznie się pogorszyła. We wtorek, 6 października, zanotowano rekordową liczbę nowych przypadków zakażeń koronawirusem – 877. „Zbliżają się dla nas trudne dni i na pewno przyjdą dalsze rekordy. Oczekuję mimo to, że przestrzeganie środków ostrożności wprowadzonych w zeszłym tygodniu będzie miało widoczny efekt już w okolicach weekendu", mówił 7 października premier Igor Matovič.

Aby ograniczyć rozprzestrzenianie się koronawirusa, od początku października obowiązuje na Słowacji stan nadzwyczajny. Wprowadzono obowiązek noszenia maseczek – także na otwartej przestrzeni – zakazano organizowania wszelkich imprez masowych. Premier zapowiada, że jeśli w weekend 10-11 października nadal nie będzie efektów, wprowadzone zostaną nowe środki i ograniczenia.

„To krytyczna sytuacja, która może szybko wymknąć się nam spod kontroli", komentował słowacki minister zdrowia Marek Krajčí w dniu, gdy Słowacja odnotowała 190 nowych przypadków COVID-19. W Czechach tego samego dnia nowych zachorowań było 1447, a rządowi eksperci wciąż mówili o kontrolowanym rozprzestrzenianiu się wirusa. Stąd prawdopodobnie decyzja Słowacji o nałożeniu obowiązkowej kwarantanny na podróżujących z Czech.

Czeski publicysta Petr Šabata zauważa: „Słowacki rząd krytykuje się za to, że latem zaspał – wciąż jest zbyt mało miejsc pobierania próbek, mało epidemiologów, brakuje danych i poważnych prognoz, nie jest śledzona większa liczba zakażonych… To wszystko fakt, ale na progu drugiej fali gabinet Igora Matoviča zrobił pierwszy krok do tego, by ją opanować – przyjął do wiadomości, że sytuacja już jest kryzysowa".

Kwarantanną objęci są obecnie Słowacy podróżujący m.in. do Wielkiej Brytanii. Ograniczenia dla obywateli Słowacji z niektórych jej regionów wprowadzono w Niemczech – na listę regionów wysokiego ryzyka trafiły Bratysława oraz Żylina, Preszów, Nitra i Trnawa.

Mandat do 1000 euro

Jednak Słowacy mają problemy nie tylko z COVID-19, ale i z szerzącymi się fake newsami na jego temat. Regularnie rozprawia się z nimi m.in. specjalna strona: Hoaxy a podvody – Polícia SR (Dezinformacje i oszustwa – Policja Republiki Słowackiej). To oficjalny profil prowadzony przez słowacką policję, gdzie publikowane są sprostowania kłamstw o koronawirusie, które zyskują popularność w słowackojęzycznym internecie. Policja wyjaśnia tam także podstawę prawną swoich działań i informuje Słowaków o ich obowiązkach związanych z walką z COVID-19.

W końcu sierpnia popularnością w mediach społecznościowych cieszyło się nawoływanie do rezygnacji z noszenia maseczek. Post instruował, by w razie interwencji powoływać się na kwestie medyczne i konstytucyjne prawo do ochrony informacji o swoim stanie zdrowia.

We wrześniu co piąte zakażenie w Czechach stwierdzono u uczniów.

Policja i prawnicy konstytucyjni przekonują, że takie twierdzenie nie jest zgodne z prawdą. We wrześniu ogromną popularność zdobył z kolei *fake news* o tym, że nakaz noszenia maseczki jest niezgodny z konstytucją. Słowaccy koronasceptycy często podnoszą argument, że policja nie ma prawa nakładać mandatów za brak maseczki. Urzędnicy odpowiadają, że nakaz noszenia maseczki obowiązuje, a policjanci go egzekwują. Sama policja zwraca uwagę, że odnotowała ponad 11 tys. sytuacji nieprzestrzegania środków nadzwyczajnych, które w niemal 2 tys. przypadków zakończyły się mandatem. Może on wynosić nawet 1000 euro. Policja może również skierować sprawę do regionalnego urzędu zdrowia publicznego, który ma prawo nałożyć karę w wysokości do 1659 euro.

Brak wiary części słowackiego społeczeństwa w istnienie koronawirusa i niechęć do podporządkowania się przepisom o obowiązkowym zasłanianiu ust i nosa wykorzystują politycy. Marian Kotleba, parlamentarzysta i szef neofaszystowskiej Ludowej Partii Nasza Słowacja, odmówił założenia maseczki podczas dyskusji w programie telewizyjnym. Na wrześniowym posiedzeniu słowackiego sejmu część posłów z partii Kotleby też nie nosiła maseczek. W związku z ich zachowaniem wicemarszałek Juraj Šeliga z partii Za l'udí (Dla ludzi) byłego prezydenta Andreja Kiski złożył skargę do ministerstwa spraw wewnętrznych.

Łukasz Grzesiczak
l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8d3d48c988

Robert Walenciak

Czego brakuje lewicy?

Wyborcy są, ale nie chcą głosować

Polska lewica od lat drepcze w tyle z kilkuprocentowym poparciem. Owszem, miała wzrosty, gdy wystartowała Wiosna albo gdy Adrian Zandberg punktował w Sejmie Mateusza Morawieckiego. Ale były to jednostkowe skoki w górę, nic za nimi nie poszło. Na pewno świadczą one o tym, że wyborcy są. Że doskoczą. Dlaczego więc lewica nie potrafi ich przytrzymać? Co się stało, że nie jest w stanie przebić pewnego pułapu? Czy tak już ma być, czy tak być musi?

Oczywiście nie. Ale ta lewica, którą widzimy w Sejmie, tego nie zrobi. Choć pole, na którym może kwitnąć – jest. W swojej historii przekraczała już przecież 40% poparcia. Owszem, było to dosyć dawno, prawie 20 lat temu, ale przecież zdecydowana większość tych wyborców żyje. Chodzi po świecie, dyskutuje, ma rodziny, dzieci, wnuki, tylko nie chce już głosować na lewicę.

Można tłumaczyć, że takie mamy czasy, podział PiS kontra PO zdominował debatę publiczną, wszystko obok jest martwe, można być albo za PiS, albo za PO. Fakty jednak są takie, że poza tym podziałem, wmuszanym opinii publicznej przez media, pozostaje 30% Polaków. Faktem jest też, że przez pierwsze lata III RP dominował inny podział, między post-PZPR i post-Solidarnością. Innymi słowy, nic nie jest dane raz na zawsze. Polska nie jest skazana na ciągłą wojnę Kaczyńskiego z Tuskiem, czyli na dwie partie, które organizują nam życie.

Lewica jest, ale jakby jej nie było. I jeśli będzie tak działać jak teraz, to może zniknąć z sejmowych korytarzy.

Lewica musi przepracować swój stosunek do historii, do PRL, do Solidarności, do lat 90., i wiedzieć, za co krytykuje PiS, a za co PO.

No dobrze, dlaczego więc lewicy nie udaje się wepchnąć nogi w drzwi i rozbić duopolu? Bo jej nie ma. Niby jest w Sejmie, niby organizuje kilka konferencji prasowych dziennie, niby coś mówi, o coś się stara (przeważnie zresztą o sprawy ważne), ale to wszystko nie przekracza poziomu szumu, wygląda jak komunikaty wagi lekkiej. I to jest główny problem dzisiejszej lewicy.

Po pierwsze, jej liderzy nie są traktowani jak liderzy.

Po drugie, ich opinie nie są traktowane poważnie.

Po trzecie, to wszystko nie jest ani analizowane, ani zapamiętywane.

•

Prześledźmy wypowiedzi polityków lewicy – dotyczą one głównie ważnych kwestii: praw kobiet, praw osób LGBT, większych wydatków na służbę zdrowia i oświatę… To wszystko słuszne postulaty, ale nie budują one emocjonalnej więzi z elektoratem. Nie budują spójnego obrazu świata, który wyborcom jest potrzebny. Nie łączą spraw materialnych ze światem symboli, z historią.

A to jest siła PiS. Kaczyński potrafił znaleźć klucz do duszy ponad 40% Polaków, łącząc 500+ z mistycyzmem katastrofy smoleńskiej, z ksenofobią, ze strachem przed uchodźcami i osobami LGBT, a także z konserwatyzmem płynącym z nauki polskiego Kościoła. Swoją narrację i swój świat symboli ma również Platforma. To Lech Wałęsa, marsz ku Europie, to jest otwarcie na świat i Donald Tusk.

A lewica? Kłopot lewicy polega na tym, że nie może sobie znaleźć miejsca na scenie politycznej. Lub inaczej – że nie potrafi sobie tego miejsca wziąć siłą. Nie potrafi narysować nowego duopolu, w którym byłaby jednym z biegunów.

Warto w tym miejscu przypomnieć wybory prezydenckie z roku 2005. Jeszcze gdy w sondażach przewodził Włodzimierz Cimoszewicz, Lech Kaczyński prowadził kampanię z przesłaniem Polska AK kontra Polska AL. I tę dychotomię propaganda prawicy wzmacniała, spychając gdzieś na bok Donalda Tuska. Gdy Cimoszewicz w wyniku bezpieczniackiej intrygi się wycofał, Lech Kaczyński niemal natychmiast zmienił komunikat. I ogłosił wojnę między Polską liberalną a Polską solidarną, społeczną. Ten spór, w dużym stopniu przecież propagandowy, trwa do dziś.

eprasa.pl 8d3d48c988

•

Czy lewica może go zakwestionować? Owszem. Ale najpierw musi sobie wyjaśnić wiele spraw. Przepracować swój stosunek do historii, do PRL, do Solidarności, do lat 90., i wiedzieć, za co krytykuje PiS, a za co PO. Musi mieć własny obraz przyszłej Polski. No i własnych bohaterów.

Sęk w tym, że lewica nie ma swojej opowieści. Ma różne postulaty, ale tak naprawdę nawet nie potrafi w jasny sposób ich bronić. Przykłady?

LGBT – Andrzej Duda prowadził swoją kampanię, wołając, że zwolennicy LGBT chcą zniszczyć rodzinę i uzyskać prawo do gorszenia Polaków, zwłaszcza nieletnich. Lewica nie potrafiła w tej sprawie zająć dobrego miejsca. Zamiast tłumaczyć, że broni praw osób LGBT, bo broni praw człowieka, broni osób poniżanych i prześladowanych, uległa propagandzie PiS. W efekcie w świat poszedł komunikat, że wspiera najbardziej radykalne postulaty działaczy LGBT. To z kolei wystraszyło część polityków SLD, więc w świat poszedł kolejny komunikat, że lewica nie chce z tymi sprawami mieć nic wspólnego. I tak źle, i tak niedobrze.

Polska Ludowa – teoretycznie powinien to być wygodny dla lewicy temat, czasy Polski Ludowej wielu Polakom kojarzą się dobrze. I potrafią oni, oceniając PRL, oddzielić rzeczy, których nie można zaakceptować, od tych, które powinniśmy kontynuować. Dlatego ten okres historii, kluczowy dla tożsamości nie tylko SLD, trzeba przepracować, wytłumaczyć – sobie i wyborcom.

Tymczasem w rozmowach o Polsce Ludowej politycy lewicy prezentują całą mnogość postaw. Od afirmacji po pełne potępienie. Na dodatek z reguły nie wychodzą poza banalne oceny.

Innym przykładem bałaganu intelektualnego jest sprawa 500+, 300+, płacy minimalnej, tego całego socjalu, który PiS zafundowało Polakom. W tych kwestiach także politycy lewicy biegają od ściany do ściany. Jedni domagają się wypłat jeszcze większych, drudzy chwalą takie, jakie są, jeszcze inni wołają, że zostało to źle pomyślane i dobrych efektów nie ma. A wynik jest taki, że nikt lewicy w sprawach polityki społecznej nie słucha, bo po co słuchać, jeśli komunikaty są przypadkowe, od Sasa do Lasa?

•

Dlaczego tak się dzieje? Na pewno po części dlatego, że jej liderzy wciąż jeszcze nie są politykami, drobna korzyść jest w ich działaniu ważniejsza niż myślenie w skali formacji. Symbolem tego niech będą telewizyjne kłótnie Włodzimierza Czarzastego z trzeciorzędnymi politykami PiS. Kończące się sakramentalnym: jest pan głupi.

Lewica musi mieć własny obraz przyszłej Polski. No i własnych bohaterów.

Ale ważniejsze jest to, że lewica nie ma infrastruktury, którą każda formacja mieć powinna. A skoro tak, skoro jest tylko partia albo klub w Sejmie, trudno coś takiego poważnie traktować. To co najwyżej grupa kolegów walcząca o posady. Gotowa sprzedawać swoje głosy. Nic więcej. Dopiero obecność rozmaitych organizacji skupionych wokół partii, think tanków, klubów dyskusyjnych, fundacji, a przede wszystkim mediów, tworzy formację, żywy organizm. Formacja musi żyć, musi dyskutować, budować liderów, ich kompetencje, wyzwalać aktywność sympatyków. To jest siła PiS, które przecież jest emanacją różnych środowisk, nieraz zupełnie sobie obcych. Bo co łączy Jarosława Gowina z Piotrem Dudą? Zresztą sam Duda mówił mediom, że Gowin na stanowisku szefa gospodarki to plunięcie w twarz związkowcom z Solidarności.

A media? Za PiS gardłują różne tytuły, nieraz ze sobą skłócone. Jarosław Kaczyński do tych grup dotarł, przeciągnął je na swoją stronę. Zorganizował też ich finansowanie. Bo owszem, media prawicowe w czasach, gdy PiS było w opozycji, klepały biedę, ale żyły. Wspomagane przez partię, przez zaprzyjaźnionych biznesmenów, przez różne zbiórki.

W ten sposób PiS rozbudowywało swoje środowisko, miało także bazę, by dyskutować nad swoimi programami, by wiązać ze sobą kolejne grupy sympatyków.

Swoje środowisko ma też Platforma. Zbudowała je w trochę inny sposób niż PiS, ale jeżeli ktoś myśli, że powstało ono samo, że nie trzeba było tych różnych organizacji, fundacji, tytułów wspomagać, to jest bardzo naiwny.

A lewica? Od lat słyszymy utyskiwania, że lewicowe środowiska wciąż są za słabe, często skłócone, że o mediach nie ma nawet co marzyć… Tylko że nie widać żadnych poważnych starań, by ten stan zmienić. A jeśli tak, to liderzy lewicy nie powinni się dziwić, że ich wypowiedzi lub akcje polityczne są przeinaczane, ignorowane bądź wyśmiewane. Bo to ich przeciwnicy ich pokazują. I oni piszą historię lewicy.

Przykładów jest aż nadto. Gdy w wyborach do Parlamentu Europejskiego Biedroń nie chciał poprzeć wspólnej listy opozycji (pod auspicjami PO), rozmaici dziennikarze wyzywali go od zdrajców albo wspólników Kaczyńskiego. W kampanii parlamentarnej każdy samodzielny gest lewicy był natychmiast krytykowany – że to atak na PO, na demokrację itd.

Jeżeli lewica nie zbuduje własnej infrastruktury, niezależnych mediów, narzędzi komunikowania się z wyborcami, niczego już nie ugra.

Jeżeli więc lewica nie zbuduje własnej infrastruktury, własnej sieci mediów – niezależnych, to ważne – własnych narzędzi komunikowania się z wyborcami, dyskutowania, to niczego już nie ugra. Wciąż będzie jej brakowało świeżych pomysłów, dobrych rozwiązań, ekspertów, wciąż będzie zaskakiwana i pouczana. I bez złudzeń – Facebook to za mało.

Robert Biedroń może zamieszczać różne filmiki w sieci – niewiele mu to da. Włodzimierz Czarzasty może sobie jeździć po powiatach, to pomoże mu tylko w utrzymaniu władzy w partii, ale nie w rozbudowie ugrupowania. Powtórzy historię Ordynackiej – będzie miał szyld i nic poza tym.

To jest ten wybór – o co gracie, panie i panowie?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl 8d3d48c988

Zatrzymać nauczycieli

Łatwiej jest zatrzymać starszych nauczycieli, póki nie odeszli, niż przyciągnąć młodych.

Co pedagogiczne pospolite ruszenie zrobi z uczniami z wielkich miast

Małgorzata Żuber-Zielicz

W ciągu ostatnich dwóch lat aż trzy razy na łamach PRZEGLĄDU (nr 47/2018, 11/2019 i 25/2019) pisałam o zaostrzającym się kryzysie kadrowym w szkołach publicznych wielkich miast, szczególnie w szkołach średnich. Rynek pracy, dóbr i usług podzielił bowiem Polskę edukacyjną na dwie części. W Polsce gminno-powiatowej i średnich miast etat nauczyciela jest nadal cennym dobrem, o którego „przydziale" decyduje realnie najczęściej nie dyrektor szkoły, ale wójt, starosta, burmistrz czy nawet prezydent miasta bądź jego resortowy zastępca. Siła nabywcza nauczycielskiej pensji jest tu relatywnie wysoka (bo koszty utrzymania niskie), a porównywalnych alternatyw zatrudnienia brak. Na dodatek klasy są tu często małe – od kilku do kilkunastu uczniów, więc praca nauczyciela jest znacznie łatwiejsza niż w wielkomiejskich klasach molochach, mających po 36 i więcej uczniów.

Z kolei w wielkich miastach nauczycielskie płace są relatywnie niskie. Wynika to i ze znacznie wyższych cen (np. mieszkań), i z przeciętnego poziomu płac – w Warszawie to dwukrotna średnia krajowa. Ta wysoka średnia płaca oznacza też ogromną liczbę bardziej atrakcyjnych (nie tylko materialnie) od nauczycielskiego etatu ofert pracy na rynku. Odchodzą więc emeryci, a młodzi przychodzić nie chcą, bo nie widzą perspektyw zawodowych ani dziś, ani w kolejnych latach pracy. Wielu podkupują szkoły prywatne i społeczne. Przy czym zdecydowanie łatwiej jest zatrzymać starszych nauczycieli, póki nie odeszli, niż przyciągnąć młodych i tych starszych, którzy już odeszli. Oczywiście wysoka średnia płaca to również wysokie wpływy podatkowe, choćby z PIT. Są zatem środki na to, by stworzyć skłaniające do pozostania zachęty materialne dla nauczycieli. Młodym wielkie miasta oferują też coś więcej, bo swój zasób mieszkaniowy, najczęściej spory, z którego przez kilka lat, na zasadzie hotelowej, mogliby korzystać. To są jednak tylko niektóre niewykorzystane możliwości, bo wielkomiejskie samorządy (zwłaszcza najbogatszy warszawski) nie robią w tej sprawie niczego, zajęte przerzucaniem się z rządem odpowiedzialnością za stan finansów oświaty. Rzeczywiście – przykładowo w Sokółce, Olsztynku, Ełku, Zambrowie czy nawet Suwałkach albo Ostrołęce samorząd jest zdany praktycznie na rządową subwencję edukacyjną, która mogłaby i powinna być wyższa. Tam akurat problemy kadrowe szkół są jednak rzadkością, a jakiekolwiek wolne etaty rozbiorą z radością pozostali nauczyciele.

Kłopoty kadrowe szkół publicznych w wielkich miastach są skutkiem ubocznym ich relatywnego bogactwa, ale w tym bogactwie są jednocześnie narzędzia do rozwiązywania takich problemów. Nie wyobrażam sobie ministrów edukacji i finansów (obojętnie, z PiS, PO, PSL, Lewicy czy Konfederacji), którzy wobec realiów rynku pracy zarządziliby – i dostarczyli środki – aby w stolicy nauczyciele zarabiali średnio np. półtora raza tyle co w całym kraju, a w miastach wojewódzkich – 125%. To niestety muszą zrobić, korzystając ze swojego względnego – a czasem nie tylko względnego – bogactwa, samorządy. Tak jak to robią np. w stosunku do bardzo licznych i często po królewsku wynagradzanych urzędników.

W latach 2022 i 2023 trafi do szkół średnich dodatkowy liczny rocznik – pokłosie posłania do szkół w latach 2014 i 2015 sześciolatków.

eprasa.pl 8d3d48c988

Problemy nierozwiązywane zwykle narastają. Wielkimi krokami zbliża się kolejna ogromna kumulacja w szkołach średnich – do zapchanych już czterema rocznikami (i to znacznie liczniejszymi niż dziś) placówek i przeciążonych nauczycieli trafi w latach 2022 i 2023, tuż przed kumulacją wyborów, liczny piąty rocznik – pokłosie przymusowego posłania przez minister Kluzik-Rostkowską sześciolatków do szkół w latach 2014 i 2015.

Tymczasem pojawił się kolejny czynnik – pandemia. Przyśpiesza on gwałtownie negatywne zjawiska kadrowe w oświacie wielkomiejskiej. Starsi nauczyciele są w grupie ryzyka, co mało kogo obchodzi poza nimi, i uciekają przed nim oraz potencjalnym stresem wywołanym realizowaną tak jak u nas edukacją zdalną, a także przed agresją co bardziej roszczeniowych i sfrustrowanych rodziców na emerytury bądź urlopy dla poratowania zdrowia. Związek Nauczycielstwa Polskiego alarmuje o tysiącach starszych nauczycieli, którzy tłumniej niż w ubiegłych latach odchodzą ze szkół publicznych. Niekoniecznie na odpoczynek. Obecny czas to przecież dobry okres dla korepetytorów. Z kolei samorządowi administratorzy oświaty gremialnie twierdzą, że problemu nie ma, wakaty są incydentalne, lekcje odbywają się normalnie. Cud? Bynajmniej! Wielkomiejscy włodarze, mniej lub bardziej otwartym tekstem, przekazali po prostu dyrektorom placówek, żeby radzili sobie sami. Bo oni mają na głowie inne sprawy i wydatki, a kadry wielkomiejskich szkół to problem MEN, którego ministerstwo nie chce rozwiązać.

No to dyrektorzy radzą sobie, jak mogą. Formalnie, żeby uczyć w polskiej szkole, trzeba spełniać wyśrubowane kryteria, zarówno jeśli chodzi o wykształcenie ogólne, jak i przygotowanie do uczenia konkretnych przedmiotów. Dyrektor nie może np. według własnego rozeznania powierzyć w szkole fizykowi uczenia matematyki, a biologowi chemii, choć w wielu przypadkach miałoby to pozytywny wpływ na nauczanie tych powiązanych przedmiotów. Aby móc uczyć nawet pokrewnych przedmiotów, nauczyciel powinien ukończyć kosztowne, trzysemestralne studia podyplomowe. Odstępstwa miały być chwilowymi wyjątkami. Dziś te regulacje to czysta teoria. Postawieni pod ścianą dyrektorzy robią to, co leży w ich kompetencjach. Przyjmują na wolne miejsca praktycznie każdego, kto się zgłosi, zwłaszcza w wypadku przedmiotów ścisłych, językowych, zawodowych. Byle jako nauczyciel przedmiotu nie figurował w dokumentach prof. Wakat. Albo przyjmują nauczycieli ze Wschodu, którzy tylko czasami mają bardzo wysokie kwalifikacje merytoryczne (do przedmiotów ścisłych, czasem językowych), za to większe problemy z językiem i formalnościami dydaktycznymi. Sięgają także po studentów mniej więcej pasujących kierunków lub bardzo leciwych, chorowitych emerytów – formalnie, byle tylko zapełnić etat. Trudno w tej sytuacji o egzekwowanie od nich nawet elementarnych obowiązków.

Inna opcja, równie niebezpieczna, to przeciążanie niektórych nauczycieli wielkomiejskich szkół nadgodzinami ponad limit półtora etatu. Swoje godziny oni oczywiście odpracują, ale czasu na choćby jakie takie przygotowanie, sprawdziany, oceny itd. mieć nie będą. A dodatkowy zarobek za pracę ponad siły w warunkach wielkomiejskich atrakcyjny nie jest – gdy ktoś musi, dorobi sobie tyle samo znacznie mniejszym kosztem.

Jakość edukacji prowadzonej przez taką kadrę, doliczając jeszcze skutki pandemii, drastycznie spada. Kuratoria na razie przymykają na to oko – rząd nie jest bez winy, szczególnie reagując tak, a nie inaczej na zeszłoroczny strajk i na pandemię, więc po co robić za hamulcowego. Pewnie w 2022 i 2023 r., przed kumulacją wyborów, sobie przypomną… Z triady: jakość, jakoś, bylejakość mamy zatem wariant dla uczniów najgorszy – bylejakość. ■

ZNP alarmuje o tysiącach starszych nauczycieli, którzy znacznie tłumniej niż w ubiegłych latach odchodzą ze szkół publicznych.

AUTOBIOGRAFIA A ŻYCIE

To prawdziwa perła. Książka z najwyższej półki. W erudycyjnym przekładzie i opracowaniu prof. Elżbiety Paczkowskiej-Łagowskiej dostajemy dwa ważne teksty zbyt mało u nas znanego Georga Mischa. Rozprawa „O postaciach osobowości" (1911) podejmuje kluczowy dla analizy pism autobiograficznych temat indywidualności i osobowości. A tekst „Pojęcie i źródło autobiografii" (1907) to wstęp do monumentalnego dzieła Mischa „Geschichte der Autobiographie". Wielką wartością książki, sfinansowanej przez Instytut Filozofii UJ, a wydanej przez Księgarnię Akademicką, jest posłowie prof. Elżbiety Paczkowskiej-Łagowskiej. W błyskotliwym eseju autorka pisze o filozoficznym naukowo-humanistycznym znaczeniu pism autobiograficznych w nawiązaniu do Wilhelma Diltheya i Georga Mischa.

Dzięki autobiografiom wybitnych ludzi widzimy świat takim, jaki nie zawsze jest zgodny z naszymi wyobrażeniami. Możemy zobaczyć rozmaitość struktur psychicznych ludu oraz wielość i różnorodność nastawienia do świata wielkich osobowości i indywidualności. Poznając autobiografie, poszerzamy nasz horyzont o inne możliwości życia ludzi. A po przeczytaniu książki pani profesor będziemy znacznie bliżej tej wiedzy.

/jed/

Georg Misch, Elżbieta Paczkowska-Łagowska (red.), *O postaciach osobowości. Pojęcie i źródło autobiografii,* Księgarnia Akademicka, Kraków 2020

FOT. ADOBE STOCK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8d3d48c988

Burżujów wróg, ludu obrońca

Przemilczany życiorys Henryka Sławika

Przemysław Kmieciak

Jego podobizna widnieje na znaczkach pocztowych, stawiano mu pomniki, został patronem szkół, a jego postać często przywołują media i państwowe instytucje. Instytut Pamięci Narodowej regularnie nazywa go bohaterem i nadał jego imię swojemu Centrum Edukacyjnemu w Katowicach. Henryk Sławik, znany śląski działacz polityczny okresu międzywojnia, przez dziesięciolecia był zapomniany. Dziś powrócił do powszechnej świadomości, ale jako postać niemal całkowicie jednowymiarowa. Z uwagi na swoje dokonania podczas II wojny światowej, gdy jako szef komitetu opieki nad uchodźcami na Węgrzech przyczynił się do uratowania ok. 5 tys. Żydów, jest obecnie eksponowany jako jeden z symboli polskiej pomocy dla społeczności żydowskiej w tragicznym okresie Holokaustu.

Taki sposób prezentacji postaci spycha na dalszy plan inne elementy jego życiorysu. Szczególnie przemilcza się poglądy, jakimi w życiu się kierował. Gdy zajrzy się do biografii Sławika, dość łatwo zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Wielu osobom jego przekonania mogą się wydać nazbyt radykalne. Bohater tego artykułu był bowiem socjalistą i antyklerykałem, przeciwnikiem obszarników i obrońcą bezrobotnych, wrogiem kapitalizmu i nacjonalizmu, na dodatek znanym w swoich czasach z bezkompromisowości i ciętego języka. „Sławik nie słowik, więc miękko nie śpiewa, za to wszystkich burżujów wyzywa", podsumował go w latach 30. XX w. jeden z satyryków.

•

Henryk Sławik urodził się w 1894 r. w Szerokiej pod Jastrzębiem, w górnośląskiej rodzinie chłopskiej. Bieda nie pozwoliła mu kontynuować nauki, zakończył ją na kilku klasach pruskiej szkoły powszechnej. Osobiste doświadczenia sprawiły, że przywiązywał potem olbrzymią wagę do spraw edukacji. Zwykł mawiać, że droga do potęgi wiedzie przez powszechną oświatę. Już w młodości uznał, że interesy niższych warstw społecznych zbieżne są z hasłami głoszonymi przez ruch socjalistyczny. Urzekły go wizje powszechnej rewolucji i sprawiedliwego ustroju, który miał po niej nastąpić. Najpierw jednak nadeszła trauma I wojny światowej. Sławik, jako poddany kajzera, musiał założyć niemiecki mundur i ruszyć na front. „Nastąpił okres dni krwawych i strasznych, dni bezgranicznej nędzy i upodlenia – wspominał z goryczą po wojnie. – Składaliśmy hołd bożkom militaryzmu i gwałtu. Dziesiątki milionów proletariuszy, tę samą nędzę cierpiących, stało naprzeciw siebie, mordowało się, głuche i ślepe na wierzenia i ślubowania międzynarodowej solidarności".

Jako szef komitetu opieki nad uchodźcami na Węgrzech Henryk Sławik przyczynił się do uratowania około 5 tys. Żydów.

Sławik trafił do niewoli rosyjskiej, z której powrócił w rodzinne strony w roku 1918. Wkrótce na Górnym Śląsku wybuchło pierwsze powstanie przeciwko Niemcom, a po nim dwa następne, został także przeprowadzony plebiscyt, w wyniku którego jedna trzecia regionu trafiła w granice Polski. Sławik brał udział zarówno w walkach, jak i w akcji agitacyjnej przed głosowaniem. „Kiedy błyszczące korony walały się u stóp robociarza, zdawało się, że nastąpią te jasne dni szczęścia, wyzwolenia, na które czekaliśmy", pisał w roku 1921, lecz niepodległa Polska okazała się krajem dalekim od jego marzeń. Kapitalizm, „stary ustrój udręki", wbrew nadziejom socjalistów nie upadł, a masy społeczne wciąż żyły w nędzy. Całe 20-lecie międzywojenne Sławik poświęcił więc niezmordowanej aktywności społecznej i politycznej. Wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej, działał wśród robotników rolnych, kierował organizacją młodzieży robotniczej Siła i podjął pracę w partyjnej prasie.

•

W październiku 1922 r. Sławik zostaje redaktorem kierowanej przez Józefa Biniszkiewicza katowickiej „Gazety Robotniczej". Zajęcie to ściąga na niego wręcz nieprawdopodobną liczbę pozwów i procesów. Staje przed sądem pod zarzutami nawoływania do nienawiści klasowej i nieposłuszeństwa wobec rządu, oskarża się go o znieważanie prokuratorów i policji. Za zniesławienie pozywają go fabrykanci i przeciwnicy polityczni, z Wojciechem Korfantym na czele. Pierwszy wyrok skazujący zapada w sprawie o znieważenie religii. Wszystko przez to, że Sławik przerobił modlitwę „Ojcze nasz" na satyryczny wierszyk o „ojcu dolarze, synu jego franku i marce polskiej". Przed sąd trafiał też za krytyczne artykuły o Kościele. Bronił się, zapewniając, że „traktuje każdą religię za rzecz prywatną i szanuje przekonania każdego. Krytyki wybryków niektórych księży nie można uważać za obrazę religii, gdyż ksiądz nie przedstawia religii, lecz jako obywatel podlega krytyce jak każdy inny". Łącznie, w ciągu ledwie kilku lat, Sławik stawał przed sądem około stu razy. Bywał karany grzywnami i krótkimi wyrokami więzienia, a kolejne numery „Gazety Robotniczej" władza konfiskowała.

Media pełne były informacji nie tylko o procesach, ale i o innych awanturach, w które wdawał się Sławik. Zdarzyło mu się pobić w kawiarni redaktora innego pisma albo wdać się w szarpaninę z policją kolejową. W marcu 1927 r. do redakcji „Gazety Robotniczej" wtargnęło dwóch oficerów wojska, oburzonych artykułem na temat ich kolegi. Po krótkiej kłótni doszło do rękoczynów, Sławik w pewnym momencie chwycił krzesło i uderzył jednego z napastników w głowę.

Gdy w wyniku przewrotu majowego nastały w Polsce rządy sanacyjne, w PPS doszło do rozłamu. Część działaczy, w tym Józef Biniszkiewicz,

eprasa.pl 8d3d48c988

W 2017 r. w Budapeszcie odsłonięto pomnik upamiętniający Henryka Sławika i Józsefa Antalla, w latach 1939-1944 komisarza rządu Węgier do spraw uchodźczych. Podobny pomnik stoi w Warszawie.

opowiedziała się po stronie Piłsudskiego. Sławik, tak jak większość PPS-owców, zajął stanowisko opozycyjne. Ostatecznie w roku 1928 grupa Biniszkiewicza opuściła partię. Dla Sławika oznaczało to przejęcie kierownictwa „Gazety Robotniczej", a także kolejne prześladowania ze strony władz. „Praktyki konfiskacyjne, stosowane obecnie, są w dziejach Śląska bezprzykładne – pisał jesienią 1928 r. – Bismarck, ten bezwzględny tępiciel socjalistów, ten wróg katolików i Polaków, mógłby się wiele nauczyć od ludzi rządzących Polską".

Niezrażony represjami utwierdził się tylko w sprzeciwie wobec sanacji. „Ludzie przestali się obrażać słowami pana Piłsudskiego, który »wychowuje« naród wyzwiskami i obelgami. Żadnych zamachów kliki militarystycznej kraj się nie ulęknie", ostrzegał w listopadzie 1929 r.

Sławik krytykował rządy pomajowe nie tylko za represje polityczne i ograniczanie wolności obywatelskich, ale również za politykę gospodarczą. „Sanacyjny system obliczony jest na ratowanie ustroju kapitalistycznego bankrutującego z powodu swojej bezplanowości", mówił na zjeździe śląskiej PPS w roku 1932. Wzywał do upaństwowienia kopalń i hut, i to bez odszkodowania dla właścicieli, a dalszym etapem reform miało być uspołecznienie warsztatów i narzędzi pracy. „Wszyscy jesteśmy zdania, że ustrój kapitalistyczny zbankrutował moralnie – wskazywał na XXII Kongresie PPS w maju 1931 r. – Zdania tego są także burżuazyjni ekonomiści, ba, nawet Kościół, dotychczas najwierniejszy sojusznik kapitału, odżegnuje się stanowczo od ustroju kapitalistycznego. Pytanie tylko, kiedy nastąpi ostateczna likwidacja tego ustroju. Kapitalizm będzie czynił wszelkie wysiłki, aby ostateczną katastrofę oddalić jak najdalej. A ponieważ wobec rozbitej klasy robotniczej siła jest po jego stronie, więc chwilę bankructwa może oddalić o całe lata jeszcze. Ustrój socjalistyczny nie wisi jak dojrzały owoc na najbliższej gałęzi, lecz trzeba będzie jeszcze długich i ciężkich wysiłków, by zatriumfować nad powalonym przeciwnikiem".

Będąc redaktorem „Gazety Robotniczej", w ciągu ledwie kilku lat Sławik stawał przed sądem około stu razy.

Wiele uwagi poświęcał problemowi bezrobocia. Często interweniował w sprawie przyznania zasiłku osobom pozostającym bez pracy. Zdarzało się, że na czele delegacji bezrobotnych stawał pod urzędami, domagając się doraźnej pomocy w postaci żywności czy odzieży. „Z problemem tym będzie się musiał uporać przyszły rząd socjalistyczny – będzie musiał znaleźć dla tych ludzi nowy warsztat pracy", uczulał towarzyszy na XXIII Kongresie PPS w lutym 1934 r. Nie zważając na głosy oburzenia, Sławik wzywał do wywłaszczenia obszarników i odebrania im gruntów rolnych, które następnie winny być rozparcelowane pomiędzy bezrobotnych i biedotę: „Przeciwnicy nasi mówią nam, że projekt domagający się oddania bezrobotnym ziemi obszarniczej, i to bez wykupu, jest demagogią i bolszewizmem. Pójdziemy więc Wam na rękę i zaproponujemy Wam, co następuje: Obszarnicy zalegają z podatkami olbrzymie milionowe kwoty. Zamiast zaległości te prowadzić fikcyjnie w księgach Urzędu Skarbowego, względnie skreślić je jako nieściągalne, należy zasekwestrować na poczet tych podatków obszary dworskie. Jesteśmy przekonani, że wystarczyłoby, aby za te kwoty wykupić wielką własność ziemską".

Przeciwnicy zarzucali Sławikowi bolszewizm, on zaś ostro krytykował komunistów, oskarżając ich o rozbijanie jedności robotników. Uważał, że

FOT. HUNGARYPRESS

eprasa.pl 8d3d48c988

interesuje ich głównie walka z socjalistami i podporządkowanie całego ruchu dyrektywom z Moskwy. W tej sytuacji o żadnej współpracy nie mogło być mowy. „Hasło jednolitego frontu klasy robotniczej jest tak stare jak proletariat przemysłowy – pisał w roku 1932. – Każdy robotnik uznaje słuszność tego hasła. My chcemy jednolitego frontu, ale na zasadach proporcjonalnych. Każda partia ma zachować swą samodzielność, ale na zewnątrz mają obie partie występować wspólnie. A tego nie chce Komintern". Sławik piętnował także sam system radziecki, wskazując, że opiera się na sile policji i wojska oraz najbardziej zbiurokratyzowanym w Europie aparacie administracyjnym. Potrafił jednak wyrazić się z uznaniem o Włodzimierzu Leninie jako o tym, który w przeciwieństwie do Józefa Stalina miał rozumieć, że nowego ustroju nie da się zbudować samymi tylko drakońskimi represjami.

Sprzymierzeńca widział Sławik w działającej na Śląsku socjalistycznej partii mniejszości niemieckiej. Przekonywał o konieczności wystawiania wspólnych list wyborczych i o potrzebie współpracy robotników ponad podziałami narodowymi. Szczególnie że po drugiej stronie barykady stał wspólny wróg w postaci „sojuszu polskich i niemieckich kapitalistów i klerykałów". Robotników łączyć też miało hasło walki z faszyzmem. „Pomimo fali nacjonalistycznej polski i niemiecki robotnik pozostanie wierny socjalizmowi i wypowie wojnę faszyzmowi – mówił Sławik na antyfaszystowskiej manifestacji w Katowicach w grudniu 1933 r. – Polscy i niemieccy robotnicy znajdą zawsze odwagę, aby udokumentować swoją solidarność. Klasa robotnicza nic nie chce mieć wspólnego z antysemitami, którzy prowokują awantury, chcąc odwrócić uwagę od walki klasowej".

Henryk Sławik bezustannie jeździł po Górnym Śląsku, podejmując interwencje w sprawach społecznych.

Uważał, że w tej walce na przemoc należy odpowiadać przemocą. Wzywał do stworzenia bojówki, która ochraniałaby wiece i inne wystąpienia publiczne. Wkrótce PPS rzeczywiście powołała partyjną milicję – tzw. Akcję Socjalistyczną. Sukcesy ruchów faszystowskich, a także poczucie bezsilności wobec pogłębiania się autorytaryzmu w Polsce, wpływały w tym okresie na radykalizację postaw w środowisku socjalistycznym. Na kongresie PPS w 1934 r. Sławik był pośród tych, którzy domagali się, by partia sięgnęła do odłożonego do lamusa hasła dyktatury proletariatu. Spodziewając się rewolucji i szansy przejęcia władzy, oczekiwano, że powołany wówczas rząd robotniczo-chłopski gotów będzie tymczasowo na stosowanie metod dyktatorskich. Wedle słów Sławika było to konieczne do „zwalczenia zamachów kontrrewolucyjnych" i „ukarania wszystkich gnębicieli klasy robotniczej". Kongres PPS przyjął postulat dyktatury proletariatu zdecydowaną większością głosów.

•

Henryk Sławik bezustannie jeździł po Górnym Śląsku, podejmując interwencje w sprawach społecznych i zagrzewając towarzyszy partyjnych do większej aktywności. „Socjalizm przechodzi ciężkie doświadczenia, które wyjdą mu tylko na dobre. Nie należy głowy spuszczać w dół, tylko dalej walczyć o zwycięstwo idei socjalistycznej i wspaniałego programu Karola Marksa", przekonywał na zebraniu PPS w Bielszowicach w marcu 1933 r. „W akcji o sprawiedliwą Polskę Ludową nie ustaniemy ani na chwilę – mówił na wiecu w Siemianowicach w grudniu 1937 r. – Tylko na podstawie gospodarki planowej można Polskę zorganizować dla dobra wszystkich pracujących. Cały świat pracy idzie z nami". Nie ustawał też w krytyce tych środowisk, które chciały powstrzymać nadchodzące zmiany, a nawet próbowały przywrócić dawne, jeszcze bardziej niesprawiedliwe stosunki społeczne. „Ideologia szlachetczyzny w dalszym ciągu pokutuje w pustych głowach zblazowanej elity potomków pańszczyźnianych panów i ich płatnych sług, wysługujących się swoim chlebodawcom przez poniżenie swoich braci chłopów i robotników", pisał w roku 1938.

Pod koniec lat 30. zaczął się skłaniać ku zawarciu przez PPS porozumienia z władzą sanacyjną. Podstawą tego sojuszu zwaśnionych dotąd obozów miało być zwalczanie wpływów narodowców, zapatrzonych, jak mówił Sławik, w hitleryzm i faszyzm. Na zbliżenie wpływała również perspektywa wojny. W czerwcu 1939 r., na konferencji PPS w Katowicach, Sławik publicznie deklarował gotowość współpracy z rządem w sprawach obronności państwa.

Trzy miesiące później wojna rzeczywiście wybuchła. Henryk Sławik opuścił Śląsk, nie chcąc wpaść w ręce niemieckiego okupanta. Wkrótce znalazł się na Węgrzech. Tu zaczyna się ten lepiej znany, ostatni fragment jego życiorysu. Już jesienią 1939 r., dzięki wsparciu rządu węgierskiego, Sławik tworzy komitet mający opiekować się wielotysięczną masą uchodźców z Polski. Pośród nich są osoby pochodzenia żydowskiego, które wyposaża się w fałszywe dokumenty, potwierdzające ich polską narodowość i rzymskokatolickie wyznanie. Rok 1944 i wkroczenie wojsk niemieckich na Węgry przynoszą kres działalności komitetu. Henryk Sławik trafia w ręce gestapo, zostaje poddany brutalnemu śledztwu, podczas którego odmawia wydania współpracowników, a następnie zamordowany w obozie Mauthausen. W uznaniu zasług z okresu II wojny światowej Yad Vashem uhonorował go tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Warto jednak znać jego wcześniejsze losy, by zrozumieć, skąd się wzięły ofiarność, determinacja i heroiczne czyny człowieka nazwanego pośmiertnie polskim Wallenbergiem.

Przemysław Kmieciak

eprasa.pl 8d3d48c988

Oko w oko Tomasz Jastrun

Orzeł bez głowy

Znowu spotkanie wokół mojej książki „Dom pisarzy w czasach zarazy". Odbywa się w muzeum Władysława Broniewskiego. To niebrzydka willa na Górnym Mokotowie, poeta dostał ją w prezencie od partii. Odwzajemniał się wierszami, takimi jak trzeba, ale robił to z talentem. Jest jakiś wielki smutek w zachowanym bez zmian mieszkaniu, którego właściciel nie żyje, wszystkie przedmioty wydają się osierocone. Sypialnia Broniewskiego skromna, niemal ascetyczna. Sprawdzam łóżko – niewygodne. A potem siedzę z mikrofonem na wysokim tarasie, z którego białe schody biegną w dół, do ogrodu, gdzie siedzi publiczność. Dziwne, że Broniewski przez te schody się nie zabił, kiedy pił. Jego pijaństwo było problemem wagi państwowej. Istniało dwóch Broniewskich: ten piękny i szlachetny sprzed wojny, szaleńczo odważny, miał Virtuti Militari i cztery Krzyże Walecznych za rok 1920, heroicznie zachowywał się również jako więzień sowieckiej Łubianki; i ten tchórzliwy, konformistyczny w czasach PRL. Są sytuacje, a też systemy, które uwalniają w człowieku to, co najgorsze. W mojej książce o Broniewskim kilka anegdot, świetna jest scena opisana w dzienniku przez Marię Dąbrowską. Tu postawił się jednak ludowej władzy. Na przyjęciu pijany w sztok Broniewski krzyczy do Bieruta: „Wy chcecie, towarzyszu Bolesław, żebym ja napisał nowy tekst do hymnu narodowego. Ja to potrafię. Ja jeden. Ale ja hymnu narodowego nie będę zmieniał. Nie będę, bo nie mogę! Bo nie chcę". Po chwili: „Bo to tak, jakbym orłowi polskiemu urwał głowę". Bierut go przekonuje, że jednak warto, bo słowa są przestarzałe, nie odpowiadają już żadnej życiowej treści. Melodia może zostać. Broniewski jest uparty. Bierut grzecznie go mityguje: „No, dobrze, dobrze. Nie chcecie, to nie napiszecie nowego tekstu". Jak by wyglądał stalinowski hymn? Strach myśleć. Inna sprawa, że słowa naszego hymnu są okrutnie przestarzałe, chwilami nawet komiczne, ale chyba nie ma na to rady.

W drugiej części spotkania, gdy proszę o zadawanie pytań, wstaje mężczyzna w wieku poważnym, elegancko ubrany, i mówi, że jest ostatnim jeszcze żyjącym mieszkańcem domu na Iwickiej, o którym jest książka. To syn korektorki wydawnictwa Czytelnik, pani Gajewskiej, która też tam mieszkała. W domu lokatorami byli głównie pisarze, ale budynek był własnością Czytelnika i czasami przydzielano mieszkania pracownikom wydawnictwa. Jest emerytowanym profesorem biologii. Mam mieszane uczucia, jestem podekscytowany, ale i zmartwiony. Książka się ukazała, nawet jeśli będzie dodruk, nie mogę niczego dodać, bo rozsypie się skład, oszaleją zdjęcia i zwariuje indeks. Umawiamy się na spotkanie, gdy przeczyta książkę. Oby jak najmniej pamiętał, oby pamiętał jak najwięcej.

•

Mroczny Przemysław Czarnek ma być ministrem edukacji, na razie ma COVID-19, ale chłop twardy, wyjdzie z tego. A po co on prezesowi? Niby rozumiem prezesa, a nie rozumiem. Z wojną światopoglądową dobrze się czuje, nie stać go na inną wojnę, ale tej wojny na dłuższą metę nie wygra. Kobiety nie będą tylko rodzić dzieci i stać w kuchni, czego pragnie Czarnek, ludzie LGBT prędzej czy później, raczej wcześniej, uzyskają to, czego chcą. Nie ma powrotu do bicia dzieci, a przyszły minister edukacji jest za, oczywiście nie często, tylko czasami, łaskawy. Wisły kijem nie zawrócisz, ale podtruć ją można. Szansą prezesa byłoby pozyskanie elektoratu umiarkowanego, to inwestowanie w przyszłość partii. Ciekawe, że co było kiedyś perwersją, teraz jest normą,

Co było kiedyś perwersją, teraz jest normą, a co było kiedyś normą, teraz jest perwersją.

a co było kiedyś normą, teraz jest perwersją. Bo przecież kiedyś poglądy PiS na sprawy obyczajowe byłyby nawet postępowe, ba, rewolucyjne, teraz są kołtuńskie. A co do systemu polskiej edukacji, zapisałem sobie słowa nauczyciela, zgubiłem gdzieś nazwisko, niech mi wybaczy: „System edukacji jest wadliwie skonstruowany. Cierpią na tym nauczyciele, uczniowie, rodzice i biznes, ponieważ nie kreuje on liderów przyszłości, twórców, tylko odtwórców. System nie skupia się na promowaniu aktywności, kreatywności, przedsiębiorczości i krytycznego myślenia. Nie wspiera rozwoju kompetencji społecznych ani przywódczych. Pamiętajmy, że w coraz większej liczbie dziedzin odtwórcze czynności są po prostu zastępowane przez roboty, programy czy algorytmy. To nie wróży nam dobrze na przyszłość". Ano właśnie. Wszystko, co wiem o szkole, obserwując swoje dzieci i wnuki, potwierdza te słowa. Na dodatek świetnie działa selekcja negatywna do zawodu nauczyciela. Uczenie w takich warunkach, przy takim programie, z mięsną wkładką „żołnierzy wyklętych", za takie wynagrodzenie, to surowa kara.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

eprasa.pl 8d3d48c988

Zburzona cerkiew w Kryłowie w powiecie hrubieszowskim, 1938 r.

Michał Bołtryk

Wstawajcie, bo jadą naszą cerkiew walić!

Jak burzono cerkwie w 1938 r.

W grudniu 1921 r. starosta biłgorajski w poufnym raporcie pisał do wojewody lubelskiego: „Powiat biłgorajski liczy obecnie 16 714 ludności prawosławnej, co stanowi 18,4% ludności powiatu... Ludność prawosławna dość gęsto zamieszkuje lewy brzeg rzeki Tanwi w południowym pasie powiatu. Największe zaludnienie jest w gminach Krzeszów, Potok, Biszcza i Tarnogród".

W Biszczy

W Biszczy mieszkało wówczas 1061 prawosławnych i 642 rzymskich katolików. W Tarnogrodzie 757 prawosławnych i 2860 rzymskich katolików. Starosta referował wojewodzie: „Z ogólnej liczby 20 małych cerkwi – 11 pochodzenia unickiego wyświęcono na kościoły, cztery cerkwie są czynne, tj. trzy jako parafie prawosławne, a jedna jako cerkiew filialna, a z pozostałych pięciu cerkwi – cztery są w stanie zniszczonym i nie nadają się do remontu, jedna zaś spalona".

Starosta, biorąc pod uwagę względy „natury gospodarczej i wyznaniowej", proponuje wojewodzie utworzenie trzech parafii prawosławnych, w Kulnie, Tarnogrodzie i Babicach.

Co z Biszczą? Starosta biłgorajski wyjaśnia: „Cerkiew w Biszczy została wyświęcona na kościół katolicki w 1919 r. Ponieważ cerkiew ta została zbudowana w 1912 r. przez prawosławnych, ponieważ nie jest pochodzenia unickiego (drewniana cerkiewka w Biszczy istnieje obok nowej), ponieważ wyświęcenie jej stanowi punkt obrazy dla tutejszej ludności prawosławnej i doskonały atut dla wrogiej nam agitacji ze strony popów, którzy powołując się na Biszczę, głoszą naszą nietolerancję i rzekome prześladowania prawosławia, ponieważ ze względu na zaludnienie powiatu przez ludność prawosławną (16 714) i przewidziany napływ reemigrantów z Rosji należałoby w powiecie biłgorajskim kreować czwartą parafię, a w powiecie żadna inna miejscowość, jedynie Biszcza, do tego celu się nadaje – przeto Biszczę, o ile jest to możliwe, należy zwrócić do użytku kultu prawosławnego".

Zakończenie tajnego pisma starosty brzmi: „W projekcie swoim nie uwzględniłem Biszczy, ponieważ obecnie w Biszczy utworzona jest czynna parafia katolicka".

Co robią biszczanie prawosławni, którzy właśnie wrócili z bieżeństwa i zastali swoją cerkiew zajętą? Na początku jeden z gospodarzy ofiarował na dom modlitwy stodołę przy wygonie. Modlą się po domach. Potem robią zbiórkę pieniędzy i budują cerkiewkę. Musi ona wyglądać jak zwyczajny dom, inaczej nie będzie pozwolenia na budowę. I taka powstaje. W środku jest piec, kuchnia, ale i ikonostas, ołtarz, miejsce na chór. Modlą się w tym domu przez kilka lat. Są już lata 30. Umiera Piłsudski.

Pan M. pamięta tamten czas.

eprasa.pl 8d3d48c988

– W 1937 r. zaczyna się niszczenie kieratów należących do prawosławnych gospodarzy w Biszczy. Kierat to ważne narzędzie. Zgłoszenie przez gospodarza zniszczenia kieratu jest w gminie podstawą do wypłacenia kilku złotych dla tych, co niszczyli. Pewnej nocy w Biszczy zostają pomalowane wapnem bramy u prawosławnych gospodarzy. To znak dla bojówek, które mają przyjść i niszczyć następnej nocy. Prawosławni buntują się. Zwartą grupą idą pod gminę. Policjanci witają ich z karabinami. Rozchodzą się pogłoski: „Rusini robią powstanie!". Po tej manifestacji niszczenie kieratów ustaje. Wkrótce zamykają nam nasz dom modlitwy. Prawosławni idą się modlić pod okna. Trwa to kilka tygodni. W 1938 r. katolicy z Biszczy i okolic burzą nam ten dom. Dostali za to po 5 zł dniówki. W 1939 r. przychodzą Niemcy. My domagamy się prawa do naszej cerkwi, którą nam zabrano w 1919 r. Niemcy dają nam prawo do odprawiania liturgii w naszej cerkwi. Jest liturgia. Modlimy się. Wchodzą katolicy i też obok się modlą. A każdy z nich ma sól w kieszeni. Tą solą sypią nam po oczach. My, zapłakani, wychodzimy z cerkwi. Oni zadowoleni zostają i dalej się modlą.

Po 1944 r. w Biszczy i okolicy zaczyna się terror i grabieże gospodarstw prawosławnych. Podziemie i zwykli bandyci zabierają wszystko – konie, wozy, krowy, cielęta. Giną ludzie. W 1945 r. prawie wszyscy prawosławni z Biszczy wyjeżdżają na „dobrowolną" repatriację do Związku Radzieckiego. Mało kto stamtąd powraca. – Dziś w Biszczy – mówi pan M. – prawosławni stanowią może 2% mieszkańców.

Rzymscy katolicy z Biszczy modlą się w cerkwi zbudowanej w 1912 r. Prawosławni z Biszczy jeżdżą do Tarnogrodu. Wszyscy mówią tylko po polsku. Jedynie najstarsi pamiętają język ojców, ale go nie używają. (…)

W Kijowcu

– Zadzwonimy, może ktoś przyjdzie – mówi o. Wincenty Pugacewicz. Pociąga kilka razy za sznur przymocowany do wyszczerbionego dzwonu cerkwi Świętego Ducha w Kijowcu. Głos dzwonu zagłusza ptasie trele pośród drzew na cmentarzu, gdzie stoi cerkiewka. Nikt nie nadchodzi.

Cerkiewka w Kijowcu jest nowa. Jej zakładkę robiono w 1981 r. Posługuje tu o. Andrzej Pugacewicz, syn o. Wincentego. Kijowiec to rozległa wieś między Białą Podlaską a Terespolem, malowniczo położona nad rzeką Krzną. Szukamy gospodarzy należących do tej parafii. Przed wojną nie byłoby to trudne. Wtedy wieś liczyła 136 domów. I tylko siedem rzymskokatolickich rodzin.

W ogródku Anny i Teodora Kostiuczuków dojrzewają czereśnie. Na podwórku wnuki smażą na grilu kiełbaski.

– Jak to było w roku trzydziestym ósmym? – pytam.

– Urodziłem się w 1920 r., tu w Kijowcu – mówi Teodor Kostiuczuk – i pamiętam, jak to było. Przyjechali najpierw namawiać nas na unię. Jakoś tak przed żniwami to wypadło. Zeszli się ludzie pod cerkiew. Posłuchali, co przyjezdni proponują. Potem wszyscy odpowiedzieli. „Na unię my nie chcemy!". Tak powiedzieli wszyscy prawosławni z naszej wsi.

– Prawosławni, czyli Ukraińcy?

– E tam! Kto wtedy był tu Ukraińcem?! Byliśmy po prostu prawosławni. I wszystko. Nie ma co naciągać historii. Ukraińcami staliśmy się za Niemca. A przecież i nasi przodkowie, i my byliśmy prawosławnymi.

W Kijowcu, z tego co pamięta Teodor Kostiuczuk, stała wtedy drewniana cerkiew.

– Zbudowali ją nasi rodzice – opowiada. – Zaraz po powrocie z bieżeństwa. Zbudowali za własne pieniądze. Pamiętam, że na Zaśnięcie Matki Bożej co roku był u nas odpust.

Nie zgadzając się na unię, ludzie z Kijowca wydali wyrok na swoją cerkiew.

– Zaraz potem – przypomina pan Teodor – przyjechała policja i żandarmi. Może z 50 osób. Mieli przy sobie karabiny. Otoczyli wieś. Do cerkwi nikt z mieszkańców wsi nie mógł się zbliżyć. Patrzyliśmy na to z oddali.

Kazali wynieść ikony i wszystkie świętości. Potem piłami, siekierami i bosakami rozharatali naszą cerkiew. Drewno sprzedali komuś ze wsi.

Zburzona w 1938 r. cerkiew we wsi Prehoryłe (pow. hrubieszowski).

Najpierw kazali wynieść ikony i wszystkie świętości. Wywieźli je do cerkwi w Kobylanach, odległych od Kijowca o 20 km. Potem piłami, siekierami i bosakami rozharatali naszą cerkiew. Drewno sprzedali komuś ze wsi Olszyn. Co ten z nim zrobił? – nie wiem. (…)

Pamiętam, było gorąco, jak dzisiaj. Parafianie z Kijowca kupili przed wojną chatkę na plebanię dla swojego proboszcza, o. Protasiewicza. W czasie okupacji Niemcy pozwolili reaktywować parafię w Kijowcu. Parafianie przywieźli ikony z Kobylan i odprawiano służby na plebanii aż do roku 1947, do akcji „Wisła".

Przed akcją wiele rodzin z Kijowca wyjechało do Związku Radzieckiego. W roku czterdziestym siódmym 60 prawosławnych gospodarzy opuściło Kijowiec. Pan Teodor znalazł się w Barlinku.

FOT. WWW.CERKIEW1938.PL (3)

eprasa.pl 8d3d48c988

– Dostaliśmy tam – opowiada – kapliczkę. Przyjechaliśmy do Kijowca po swoje ikony, te, które zostały na plebanii. Potem tę plebanię rozebrano i sprzedano. Po czterech latach przeniosłem się do Olsztyna. W Sątopach o. Jerzy Klinger dał mi ślub. Do Kijowca przyjechaliśmy z żoną w 1956 r. Nasz syn, Piotr, miał wtedy trzy tygodnie. W Kijowcu gospodarzyli osadnicy. Przez trzy lata mieszkaliśmy kątem u sąsiada. Z 60 wywiezionych w 1947 r. rodzin, do Kijowca wróciło siedem. W 1981 r. zaczęliśmy budować cerkiew. Pomógł nam mój stryjeczny brat, Michał Kostiuczuk, żyjący w Kandzie. Za jego pieniądze mogliśmy kupić pustaki. Za sprzedane sosny, wycięte na cmentarzu, zrobiliśmy metalowe ogrodzenie.

W Kijowcu pozostał ślad po pierwszej, murowanej cerkwi. W czasie działań wojennych trafił w nią artyleryjski pocisk. Potem cała wieś była na bieżeństwie. Zanim wrócili, już cerkwi nie było. Dziś na tym placu stoi szkoła. Na boisku zachowały się dwie mogiłki. W 1998 r. dyrektor szkoły, w porozumieniu z proboszczem o. Andrzejem Pugacewiczem i parafianami, ogrodził te mogiłki. (...)

W Konstantynowie

Piotr Andrzejuk, urodzony w Zakanalu koło Konstantynowa, miał w 1938 r. 11 lat. Dziś wspomina zdarzenia, których był świadkiem: – Był zwykły letni dzień w lipcu. Po wsi rozchodziły się od pewnego czasu pogłoski o burzeniu cerkwi. Powiadano, że zburzą także naszą, w Konstantynowie. Z Zakanala chodziliśmy czasami do cerkwi w Nosowie, czasami do Konstantynowa. W tym ostatnim była na cmentarzu kaplica. I właśnie pewnego dnia wszyscy zaczęli mówić: już przyjechali burzyć kaplicę w Konstantynowie. Pobiegliśmy tam. Była 10 rano i dużo ludzi przy kaplicy. Samochody, strażacy, policjanci. Straż konstantynowska składała się w połowie z Żydów. I my słyszymy, jak pod kaplicą strażacy żydowscy powiadają. „O, nie! Tego to my nie będziemy robić!". Jakiś czas ta ekipa wciąż stała na cmentarzu. Potem strażacy wycofali się. Potem w tym samym dniu, może o trzeciej po południu, przyjechali jeszcze raz. Bardzo szybko cerkiewkę, choć była murowana, zburzyli. Krzyczących ludzi wokół policja postraszyła kilkoma strzałami w górę. W ciągu popołudnia na cmentarzu została już tylko ruina. Obrazy powpychano ludziom do rąk, część wyposażenia chyba wywieziono do cerkwi w Nosowie. Starsi ludzie powiadali, że burzyli cerkiew wynajęci robotnicy z Janowa Podlaskiego. Dostali za to po butelce wódki i po 2 zł. Od tego czasu cerkwi w Konstantynowie już nie ma. Cmentarz prawosławny też jest zniszczony. W Konstantynowie chyba już nie ma prawosławnych. (...)

Powiadano: „Z tego drewna będzie szkoła". Gdzie tam. Jeden zużył je na chlew, drugi na stodołę.

W Międzylesiu

Biegli ludzie do Międzylesia z Matiaszówki, Ogrodnik, Żuków. Biegli przez pola, żeby było szybciej. Samochody załadowane policją i cywilami jechały przez Międzyleś w kierunku cerkwi św. Anny. Tak było pewnego letniego dnia 1938 r. w Międzylesiu, w województwie bialskopodlaskim.

44 zł

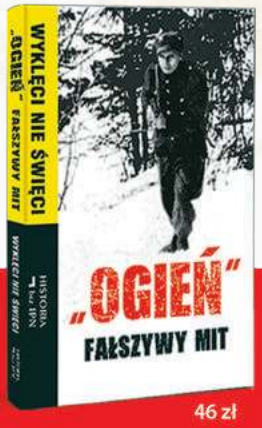

46 zł

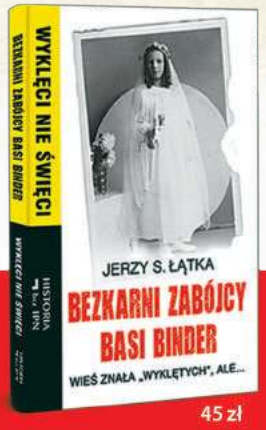

45 zł

43 zł

WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

Morderstwa, gwałty i rabunki!
Zamiast prawdy gloryfikacja „żołnierzy wyklętych"

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

4 KSIĄŻKI W PAKIECIE TANIEJ – 150 zł

Wpłat prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 8d3d48c988

Cerkiew w Kijowcu, lata 30.

W Międzylesiu stała drewniana cerkiew z 1906 r. W 1928 r. przeprowadzono jej remont. Według sprawozdania z 1929 r. parafia Międzyleś liczyła 965 osób. Należały do niej wsie Matiaszówka, Ogrodniki i Żuki. W Międzylesiu było 109 prawosławnych domów i siedem rzymskokatolickich.

Stefan Kozak, urodzony w Międzylesiu w 1923 r., tak zapamiętał ten dzień:

– Rano pasłem bydło. Gdzieś tak o dziesiątej szedłem do wsi na śniadanie. Patrzę, ulicą jadą samochody. Naliczyłem ich siedem. Rozjechały kilka kur. Widziałem, jak naród biegnie w tę stronę, gdzie jadą samochody. Wiedziałem, po co one jadą tam, pod cerkiew. Już od dłuższego czasu mówiono o burzeniach cerkwi. A teraz przyszedł czas na naszą. Poprzedniego dnia była w cerkwi wieczernia. Ludzie modlili się przez całą noc. Ja też byłem w cerkwi. Tego dnia przyjechali, ludzi nie dopuścili, strasząc i bijąc nahajkami, i rozwalili cerkiew i dzwonnicę, która stała obok.

Maria Daniluk, z domu Misiejuk, miała wtedy 10 lat i mieszkała blisko cerkwi. Wszystko widziała przez okno.

– Ludzie od paru dni spodziewali się tego – opowiada. – Modlili się w cerkwi nocami. W dzień pilnowali cerkwi. Raz już nawet przyjechali burzyć. Nie zrobili tego, bo zobaczyli, że za dużo ludzi stoi przy cerkwi. Tego ranka tato z mamą pojechali redlić kartofle. Babcia, jak to babcia, coś gotowała. Raptem krzyczy: „Dzieci, wstawajcie, bo jadą naszą cerkiew walić!”. My do okien. Najpierw usłyszeliśmy szum zbliżających się samochodów. Zaraz potem nadjechały pod cerkiew. Ci z samochodów wyskakiwali przy cerkwi, bili nahajkami ludzi ze wsi. Potem piłami zaczęli ciąć ściany. Wcześniej wynieśli obrazy i czaszę ze Świętymi Darami. A nasza cerkiew była wielka i hoża. Stawiał ją kiedyś majster z samej Moskwy. W domu rodziców Stefana Kozaka siedział nasz proboszcz, o. Nikifor Kornisiuk. Nie wychodził z domu, bo myślał, że jak on nie wyniesie Świętych Darów, to cerkwi nie zburzą. Ale zburzyli. (...) Ikony i sprzęty z cerkwi podobno przewieziono do Jabłecznej i Zabłocia.

W czasie okupacji modlono się w Międzylesiu w niewykończonym budynku szkoły. (...)

Pani Nina Łuciuk 1938 rok pamięta dobrze.

– Przyjechały do Międzylesia samochody – opowiada. – Wyskoczyli z nich policjanci. Otoczyli plac cerkiewny. Ludzie ze wsi i okolic przybiegli pod cerkiew. Ale gdzie tam, do cerkwi podejść nie można było. Tego, kto się odważył, bito nahajkami. Podeszliśmy do wójta z Matiaszówki. Jego ojciec był prawosławny, on już rzymski katolik. „Wójcie – mówimy do niego – ratujcie naszą cerkiew”. A on tylko mrugnął do policji. Zaraz jedna ze starszych kobiet tak dostała nahajem, że aż jej koszula pękła na plecach. No i wyrzucili wszystko z cerkwi – czaszę, ikony boże, mój Boże! Taka obraza Boska. Potem rozcięli cerkiew na cztery części. A była nasza cerkiew piękna, drewno pięciocalowe, smolne. Na dachu blacha. Więc tam wskoczyli. Blachę zerwali, na ziemię zrzucili. To samo zrobili z dzwonnicą. Lud płacze. Jedni rozmawiają, inni krzyczą. Wszystko w naszym, miejscowym języku. A policjanci do nas: „Będziemy wam szmatami gęby zatykać, za taką waszą mowę”. A my do nich: „Kto wie, może nie zdążycie”. I tak się stało. W 1939 r. Polska upadła. (...) Gdy tak wspomnę tę naszą piękną cerkiew i tamten dzień, nie mogę powstrzymać łez. Powiadano: „Z tego drewna będzie szkoła dla dzieci”. Gdzie tam. Drewno rozciągnęli. Jeden zużył je na chlew, drugi na stodołę.

Po wojnie zaroiło się od band. Chodzili, grabili, strzelali. No i w końcu ta akcja „Wisła”. Zostawiliśmy na podwórku drewno na dwa domy i stodołę, i w drogę. Byłam tuż przed rozwiązaniem. Prosiłam: „Zostawcie mnie w domu”. Ale gdzie tam. W ciąży szłam 18 km na stację w Chotyłowie. Pierwsze moje malutkie dziecko jechało na furmance. Pamiętam, była noc i czułam, że już będę rodzić. I tak się stało. W Chotyłowie, w poniemieckim baraku, urodziłam dziewczynkę. (...) 12 lat byliśmy na wygnaniu. Z tego dziecka wyrosła piękna panna. Potem wróciliśmy do Międzylesia. A oni, ci złoczyńcy, czy oni się wzbogacili na naszej krzywdzie? Po tym wszystkim, co nam zrobili w trzydziestym ósmym i czterdziestym siódmym, powinni powiedzieć chociaż słowo „przepraszam” Ale czy oni to potrafią?

Michał Bołtryk, 1998

Modlimy się. Wchodzą katolicy i też się modlą. A każdy z nich ma sól w kieszeni. Tą solą sypią nam po oczach.

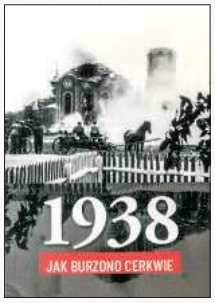

Fragmenty książki *1938. Jak burzono cerkwie*, pod redakcją Eugeniusza Czykwina i Anny Radziukiewicz, Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, Białystok 2018

eprasa.pl 8d3d48c988

Nobel nas cieszy, ale nie jestem optymistą

Dzięki odkryciu tegorocznych noblistów można wyeliminować wirusowe zapalenie wątroby typu C. Niestety, za późno się je wykrywa

PROF. WALDEMAR HALOTA
– prezes Polskiej Grupy Ekspertów HCV, profesor zwyczajny Collegium Medicum im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Rozmawia Anna Brzeska

Tegoroczna Nagroda Nobla z dziedziny medycyny dla Harveya J. Altera, Michaela Houghtona i Charlesa M. Rice'a została przyznana za odkrycie wirusa zapalenia wątroby typu C (WZW C), które miało miejsce trzy dekady temu, a więc już dość dawno.

– Tak, to był rok 1989. Ale czy to dawno? W pani życiu to może być dużo, w moim trochę mniej.

Czy jednak wiadomo, dlaczego przyznano ją właśnie teraz? Może ostatnio znów wydarzyło się coś szczególnego, jeśli chodzi o tę dziedzinę?

– Nie znam zasad obowiązujących przy przyznawaniu Nagrody Nobla. Minęło jednak 30 lat od przełomowego odkrycia i nie ma wątpliwości, że tegoroczna nagroda była zasłużona i trafiła we właściwe ręce. Wcześniej wiedzieliśmy, że musi istnieć jakiś czynnik – poza wirusem A i B – wywołujący zapalenie wątroby. Uważaliśmy, że wirusowe zapalenie wątroby nie-A, nie-B ma ścisły związek z przetoczeniami krwi, ponieważ – tak to wyglądało z klinicznego punktu widzenia – choroba występowała często u krwiobiorców, u których nie wykryto jednak wirusa A ani wirusa B. Odkrycie w 1989 r. wirusa HCV, a w ślad za tym opracowanie testów diagnostycznych, wprowadzonych do praktyki klinicznej dwa lata później, uświadomiły nam ogrom zagrożeń związanych nie tylko z transfuzjami. Dominującymi w Polsce okazały się tzw. zakażenia szpitalne w wyniku drobnych zabiegów czy zastrzyków, na skutek związanych z nimi zaniedbań. Bardzo rzadko zdarza się to w wyniku zakażeń wertykalnych (zakażenie dziecka przez matkę, np. przez łożysko podczas ciąży lub w trakcie porodu) i seksualnych.

Przełomowe z punktu widzenia klinicznego i epidemiologicznego było też odkrycie, że choroba może przebiegać bezobjawowo nawet przez dziesiątki lat. W konsekwencji, mimo że upłynęło 30 lat od zidentyfikowania wirusa, mamy w Polsce ok. 150 tys. osób z wirusem typu C, nieświadomych zakażenia.

Czytałam, że łącznie może to być nawet 200 tys. osób. Ale może wlicza się tu pacjentów, którzy wiedzą o zakażeniu?

– Myślę, że ta liczba może być przesadzona, ponieważ ci, którzy wiedzą o zakażeniu, powinni być już przeleczeni. Od niedawna obowiązuje bowiem zasada, że leczy się każdego pacjenta, u którego wykryje się zakażenie HCV. Rozpoznanie choroby na etapie marskości wątroby czy raka umożliwia eliminację zakażenia, natomiast choroba podstawowa pozostaje.

Czy pacjentów leczy się teraz tym przełomowym lekiem nieinterferonowym, który pojawił się na świecie w 2013 r.?

– Terapia bezinterferonowa pojawiła się w Polsce ok. 2014 r. Wcześniej mieliśmy tylko interferon, który miał 20-procentową skuteczność. Potem stosowaliśmy interferon pegylowany i interferon z rybawiryną – i takie leczenie miało już skuteczność na poziomie 40%, natomiast leki bezinterferonowe, o których pani wspomniała, osiągały już niekiedy 60-procentową skuteczność. Jednak od 2014 r. dokonał się ogromny postęp, ponieważ od około trzech lat dysponujemy lekami o jeszcze korzystniejszych walorach – charakteryzują się one 100-procentową skutecznością. Nie słyszałem o podobnym sukcesie farmakoterapii w tak krótkim czasie. Wcześniej stosowane leki okazały się przystankiem na drodze postępu.

> Mamy leki o 100-procentowej skuteczności w leczeniu wirusowego zapalenia wątroby typu C.

eprasa.pl 8d3d48c988

Jakie zatem leki stosuje się obecnie?

– Od około trzech lat dysponujemy lekami cechującymi się działaniem na wszystkie genotypy wirusa. W przeciwieństwie do wcześniej stosowanych są niemal pozbawione działań ubocznych. Co ważne, można je podawać niezależnie od stopnia zaawansowania choroby. Należy uważać jedynie na możliwość interakcji z lekami przyjmowanymi wcześniej przez pacjenta.

Bardzo korzystne jest też to, że obecnie stosowane leki podawane są doustnie i niezwykle krótko, dwa lub trzy miesiące, i charakteryzują się niską lekoopornością, co oznacza, że mutacje wirusa nie są w stanie osłabić skuteczności terapii.

Jak rozumiem, nad najnowszym lekiem pracowały już zupełnie inne ośrodki niż te, których badacze zostali nagrodzeni za odkrycie samego wirusa?

– Tak, to zupełnie inne ośrodki badawcze.

Sądzi pan, że za odkrycie nowych leków będzie kolejny Nobel?

– To nie będzie takie proste, bo ten sukces jest trochę podzielony – obejmuje kilka wspomnianych przeze mnie etapów oraz różne grupy badaczy. To oni sprawili, że możliwe jest wyeliminowanie wirusowego zapalenia wątroby typu C z palety największych zagrożeń człowieka. Będzie to pierwsza choroba wyeliminowana w wyniku terapii – wcześniej w wyniku szczepień wyeliminowano ospę prawdziwą. WHO przewiduje – w moim przekonaniu nieco bałamutnie i nierealnie – że do 2030 r. na świecie prawie nie będzie już WZW C. Nawiasem mówiąc, od lat przymierzamy się też do ogłoszenia zwycięstwa nad polio i odrą.

Jednak wspomniał pan, że przewidywania WHO co do zwalczenia HCV na świecie są zbyt optymistyczne. Dlaczego? Co stanowi tu największą przeszkodę?

– Podstawą sukcesu jest właściwa polityka zdrowotna, a w niej mieści się identyfikacja zakażonych i dostęp do leków. W Polsce ten dostęp jest wystarczający, mamy jednak bardzo niewielkie sukcesy, jeśli chodzi o systemowe badania populacyjne dotyczące zakażeń HCV. Niestety, wciąż dzieje się tak, że zjawiają się u nas pacjenci do tej pory niezdiagnozowani, z zaawansowaną marskością wątroby, rakiem wątrobowokomórkowym lub powikłaniami choroby wątroby, dla których eliminacja zakażenia HCV nie oznacza wyzdrowienia. Jednak bez względu na jego stan pacjent, według obecnie obowiązujących zasad, powinien być natychmiast po rozpoznaniu leczony.

Mowa tu, jak rozumiem, o Polsce, jeśli chodzi o te nadal zbyt niewielkie sukcesy?

– Tak, ale problem ten dotyczy właściwie całego świata. Bo nie wystarczy mieć skuteczne leki i dostęp do nich, trzeba jeszcze wiedzieć, kogo leczyć.

Co powinno się zdarzyć, żeby prognozy były lepsze?

– Przede wszystkim powinniśmy prowadzić systemowe badania w szerokich grupach populacyjnych. Być może powinni je robić lekarze rodzinni – w każdym razie powinno być to organizowane przez NFZ. W Polsce ciągle bazujemy głównie na badaniach sponsorowanych przez firmy farmaceutyczne. Nie umożliwia to rozwiązania problemu w 36-milionowej populacji.

Może medycyna pracy mogłaby pomóc?

– Tak, również. Teraz są tam wykonywane jakieś fragmentaryczne badania, ale problem wymaga systemowych decyzji.

Czy my jednak w ogóle mamy świadomość zagrożenia tą chorobą?

– Ja w to wątpię.

Czytałam, że w 2007 r. zrobiono badanie dotyczące wiedzy o HCV i wykazano, że 93% społeczeństwa nie wiedziało nic o tym wirusie. Sądzi pan, że teraz jest lepiej?

– Jeśli chodzi o wzrost świadomości obywatelskiej, nie ma mowy o żadnych sukcesach, mimo że my, jako grupa ekspertów, robiliśmy regularne akcje edukacyjne, np.

TRZECH NAUKOWCÓW – TRZY KROKI DO NOBLA

Nagrodę Nobla w 2020 r. w dziedzinie fizjologii lub medycyny (jest to bowiem zbiorcza kategoria) otrzymali Harvey J. Alter, Michael Houghton i Charles M. Rice, którzy dokonali przełomowych odkryć skutkujących identyfikacją wirusa zapalenia wątroby typu C (HCV), co nastąpiło w 1989 r.

WZW C jest główną przyczyną raka wątroby oraz jedną z głównych przyczyn marskości wątroby. Według szacunków WHO zakażonych wirusem jest obecnie ok. 71 mln ludzi na świecie. Nie istnieje skuteczna szczepionka przeciw HCV, jednak obecnie możliwe jest leczenie lekami antywirusowymi, które w 100% eliminują patogeny z organizmu.

Co zawdzięczamy tegorocznym noblistom? Dzięki trwającym od lat 70. XX w. badaniom Amerykanina **Harveya J. Altera** udało się przede wszystkim zidentyfikować nową, odrębną postać przewlekłego wirusowego zapalenia wątroby. Wcześniej znano już wirusy typu A i B – istniały też testy diagnostyczne pozwalające wykrywać je we krwi, ale niepokój badaczy wzbudzały przypadki pacjentów po transfuzji krwi, którzy chorowali na zapalenie wątroby wywołane nieznanym czynnikiem. Alter i jego zespół wykazali, że krew tych pacjentów może przenosić chorobę na szympansy, jedynego prócz ludzi podatnego na nią żywiciela. Nowo zidentyfikowaną chorobę nazywano wówczas zapaleniem wątroby nie-A, nie-B.

Po tych odkryciach dokładne poznanie nowego czynnika chorobotwórczego stało się dla świata nauki jednym z priorytetów. Kanadyjski naukowiec brytyjskiego pochodzenia, **Michael Houghton**, podjął badania, które ponad dekadę po sukcesach Altera doprowadziły do wyizolowania sekwencji genetycznej wirusa, przy wykorzystaniu krwi zakażonego szympansa. Nowy patogen został nazwany wirusem zapalenia wątroby typu C (HCV).

Zidentyfikowanie HCV wymagało jeszcze jednego istotnego kroku – dokładnych badań nad wirusem, które pozwoliłyby ustalić, że może on być sam w sobie przyczyną zapalenia wątroby. Potwierdził to właśnie trzeci nagrodzony naukowiec, amerykański wirusolog **Charles M. Rice**, któremu w badaniach na szympansach udało się zyskać niepodważalny dowód na to, że HCV jest w stanie sam się replikować i powodować chorobę.

FOT. TYTUS ŻMIJEWSKI/FORUM

eprasa.pl 8d3d48c988

z okazji Światowego Dnia Wirusowego Zapalenia Wątroby. Sukcesy akcji edukacyjnych szybko mijają i wracamy do punktu wyjścia. O ile sobie przypominam, we wspomnianym przez panią badaniu z 2007 r. lekarze też nie błysnęli wiedzą na temat HCV.

Czy jest jakaś poprawa, jeśli chodzi o zapobieganie zakażeniom? Od lat mamy jednorazowe igły, rękawiczki. Co się dzieje, że ludzie wciąż się zakażają?

– Tu zdania są podzielone. Niektórzy uważają, że ryzyko nowych zakażeń znacznie się obniżyło. Inni zaś – ja trochę należę do tych sceptyków – że skoro nie mamy badań, które by to potwierdzały, wcale nie wiemy, czy jest lepiej. WZW C może przez lata nie dawać żadnych objawów. Nie mamy więc żadnych powodów, by mówić, że teraz zakażamy się rzadziej. Trzeba też wziąć pod uwagę badania sanitarne jednostek ochrony zdrowia, przeprowadzone m.in. przez GIS – ostatnie było w 2018 r. – z których wnioski są bardzo niepokojące. Okazuje się, że w wielu placówkach nadal nie prowadzi się właściwej sterylizacji – nie ma kontroli jej skuteczności, sterylizatory są stare, nie postępuje się zgodnie z procedurami, a niekiedy w ogóle ich nie ma. Bezpieczniejsze obecnie w moim przekonaniu są poważne zabiegi chirurgiczne niż drobne zabiegi medyczne, których jest znacznie więcej.

Czyli jednorazowe igły, które dają nam, pacjentom, poczucie bezpieczeństwa, nie wystarczą?

– Absolutnie nie, aczkolwiek wyraźnie obniżyły one ryzyko zakażenia osób przyjmujących środki odurzające drogą dożylną, ale to niewielka grupa i nie chcę jej stygmatyzować, bo zagrożeni jesteśmy wszyscy, skoro GIS kiepsko ocenia poziom sanitarny szpitali.

Przyznano jednak Nagrodę Nobla za odkrycie wirusa HCV. Może dzięki temu wydarzeniu więcej osób dowie się o jego istnieniu i zagrożeniu chorobą?

– Być może się dowiedzą, ale możliwe, że nie zrobi to na nich żadnego wrażenia. My, zakaźnicy, oczywiście dzielimy radość z tymi, którzy otrzymali tę nagrodę. Jednak czy przeciętny człowiek wie, kto dostał Nobla i za co? Przepraszam, nie chcę być źle zrozumiany, ale nie przeceniałbym społeczeństwa. Może część ludzi zainteresuje się tym na chwilę, ale obawiam się, że zaraz im przejdzie.

Jak się domyślam, również pojawienie się nowych, 100-procentowo skutecznych leków nie spowodowało zwiększenia świadomości i chęci przebadania się? Na zasadzie: „Aha, jest skuteczny lek. Już nie boję się dowiedzieć, czy mam tego wirusa, więc pójdę się przebadać".

– Niestety, ludzie nie zajmują się zdrowiem tak, jak pani sądzi. Powinno być rewelacyjnie, a wcale tak nie jest. Nie notujemy wielkiego przyrostu spontanicznych badań w kierunku zakażenia HCV. Nie jestem tu więc optymistą.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8d3d48c988

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Miękkie tkanki, twarda proza

Autorzy poczytni i popularni powinni z najwyższą ostrożnością posługiwać się etykietką arcydzieła, poczytność i popularność generują bowiem przekorę i resentyment, zwłaszcza w kraju jak Polska, żółcią i witriolem płynącym. Gdy więc autor znany i lubiany nazwie jakieś dzieło majstersztykiem, nierzadko staje się to pocałunkiem śmierci, stanowi przyczynek do grymasów i podwłosów krytyki, bo ta nie lubi być wyręczana tudzież zagłuszana przez pisarzy; sama chce osądzać i wartościować, walczy o wyłączność prawa odkrywcy, broni swojej autonomii z zajadłością kaukaskich separatystów. Z ulgą zatem korzystam ze statusu autora *passé*, daje mi to bowiem swobodę i bezkarność chwalenia dzieł cudzych bez ryzyka, że komukolwiek w ten sposób wyrządzę szkodę.

Niniejszym rad jestem ogłosić, że wedle moich euforycznych intuicji Zyta Rudzka domknęła „Tkankami miękkimi" dylogię arcydzielną. Po „Krótkiej wymianie ognia" – nie tak krótkiej i bardzo ognistej – którą powszechne mniemanie uczyniło *tour de force* autorki, dostajemy rzecz równie intensywną, wściekle błyskotliwą językowo i psychologicznie. Poprzednia książka była powrotem do prozy po z górą dekadzie pauzy poczynionej m.in. na rzecz dramatopisarstwa; tyle że powrót był to szczególny – dla wielu talent Rudzkiej, wcześniej pisarki dość niszowej, kojarzonej z tzw. stajnią Berezy, objawił się jak grom z jasnego nieba. „Tymczasem zrobiłam się stara" – tak zaczynała opowieść narratorka „Krótkiej wymiany ognia" i temu fenomenowi poświęciła historię bezlitosną, gorzko bilansując przygody ciała i rozpamiętując rozpad rodzinnych relacji, ze szczególnym uwzględnieniem psychomachii matki z córką. Tym razem na linii frontu stają ojciec i syn. Napisać książkę w pierwszoosobowej narracji płci przeciwnej dowodzi maestrii pióra i swobody wyobraźni, ale napisać ją z taką emocjonalną precyzją i empatią to już znak zawodowstwa – Rudzka jest z wykształcenia psycholożką, co więcej, zajmowała się terapią małżeńską.

„To chyba z tydzień, jak moja żona chciała się zabić, umieranie jak umieranie – ogłady w tym żadnej" – incipit tyleż efektowny, co zwodny; sądząc po nim, zdawałoby się, że będzie to książka o krzywdzie małżeńskiej, tymczasem rychło na pierwszy plan wysuwa się tu klincz samców. Jako się rzekło, podstarzały syn i stary ojciec tańczą na ringu wtuleni w siebie niczym bokserzy, którzy nie mają już sił na dalszą walkę, ale grozi im obustronny walkower. „Po policzku mnie pogładził. To mu oddałem". Obaj są lekarzami – w tej rodzinie to sztafeta pokoleń, tyle że ojciec to emerytowany lekarz wiejski, upadły autorytet, kiedyś był w gminie drugim po proboszczu, teraz nie może się pogodzić z tym, że pacjenci już go nie wzywają, myśli, że po prostu przestali chorować. Syn jest miejskim pediatrą, zdradzanym przez żonę byłym donżuanem w andropauzie, który szamocze się ze swoim „wiekiem zaprzeszłym", takoż z gasnącym libido („został mi jeno lejek, dzióbek konewki albo inny przedmiot nieużytku domowego").

Na froncie małżeńskim toczy się wojna już raczej zimna, narratora nie bardzo nawet wzrusza, kiedy słyszy, że żona „wyjęła komórkę, pisała. Do niego – jej palce mruczały". A jeśli wyśledzi jej kochanka, to nie z zazdrości, lecz po to, by interweniować w sprawie małżonki – jej romans mu nie przeszkadza, dopóki nie jest dla niej zbyt kosztowny emocjonalnie („ogłady w tym żadnej"). Ojciec ożenił się jeszcze nieszczęśliwiej – obdarował aktem ślubu i paszportem młodą imigrantkę, a potem niespodziewanie rychło owdowiał. Z tej tragedii już się podnieść nie umie: „ma ciągle swoje zęby. Ojciec ma więcej zębów niż rozumu". Na zęby zresztą bohater zwraca uwagę obsesyjnie, nałożnika swojej żony tak ocenia po stomatologicznym wglądzie: „Zęby źle dobrane. Jakby z różnych czaszek podebrane. Paleolit dentystyczny". Stary ojciec pochował małżonkę, ale wciąż jej wyczekuje i trudno rozstrzygnąć, czy to efekt starczej demencji, czy po prostu odmowa żałoby – ojciec wie o tej śmierci, ale nie przyjmuje jej do wiadomości. Sypia w kobiecych ubraniach, chce umrzeć, ale to nie jest takie proste – stary gnat gdzieś się zapodział, a syn zamiast eutanazji oferuje depees u zakonnic.

> Gdy autor znany i lubiany nazwie jakieś dzieło majstersztykiem, nierzadko staje się to pocałunkiem śmierci.

I tak to się toczy między wyrzutami sumienia a gniewem i zniecierpliwieniem; ojciec zapada się w sobie, syn popada w depresję. Rudzka z niejaką dezynwolturą traktuje chronologię, co wzmacnia poczucie zapętlenia i zaburza pojmowanie czasu – ale czas demencji jest przecież zaburzony, dla naszych rodziców w starczym otępieniu zamiast płynąć w jedną stronę, czas wiruje. „Tkanki miękkie" zachwycają mnie brawurą języka, to właściwie nie tyle powieść, ile poemat prozą, podkreśla to wersyfikacja – oddzielone zdania i mikroakapity pozwalają skupić się na brzmieniu frazy. Język nie umyka w stłoczeniu i gonitwie zdań, to jest proza, która stąpa wolno, często zatrzymuje się po oddech. Wielka to literatura, nadzwyczaj mi bliska; mam wrażenie, że Rudzka wyjęła mi tę książkę z ust – kto chce, może to nazwać pozytywną zazdrością.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8d3d48c988

Mateusz Mazzini

W poszukiwaniu straconej ciszy

Na dolegliwości wywołane nadmiernym hałasem cierpi już co piąty Europejczyk

Sąsiedztwo ruchliwej ulicy, którą przejeżdżają tysiące samochodów dziennie, w tym pędzące na sygnale karetki i radiowozy. Budowa nowego apartamentowca naprzeciw naszych okien. Ktoś puszczający muzykę na cały regulator. Psy obszczekujące się pod naszym balkonem. Odgłosy imprezy, oddalonej czasem nawet kilka kilometrów od naszego domu. Ale też przelatujący nad nim samolot. Czy po prostu zbyt głośno rozmawiający ludzie. W kawiarni, w autobusie, na ulicy. W świecie masowej komunikacji, permanentnego właściwie przemieszczania się i pędzącej konsumpcji – również konsumpcji dźwięków – hałas nie opuszcza nas nawet na krok. A żeby z tego powodu cierpieć, nie trzeba wcale mieszkać przy autostradzie albo lotnisku.

Zabójcze decybele

Według tegorocznego raportu Europejskiej Agencji Środowiska (EEA) życie w hałasie o zbyt wysokim natężeniu trwale odbija się na zdrowiu prawie 20% populacji Starego Kontynentu. W liczbach bezwzględnych to aż 139 mln osób. Z tego 113 mln cierpi z powodu zgiełku wywołanego przez ruch drogowy, 11 mln – przez sąsiedztwo dworców i linii kolejowych, a 4 mln osób życie zakłócają samoloty i ruch lotniczy. Są jednak miejsca, w których wszystkie te problemy się nawarstwiają – do tego stopnia, że trudno określić, co jest źródłem największego hałasu wokół nas. Autorzy raportu EEA oceniają, że przynajmniej raz w życiu na dolegliwości będące skutkiem nadmiaru głośnych dźwięków cierpiał nawet co drugi mieszkaniec europejskich obszarów miejskich. Większość z nich jest wystawiona przez dużą część dnia na dźwięki o głośności 55 decybeli, a więc powyżej ustalonego przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) limitu 53 decybeli, relatywnie neutralnego dla ludzkiego zdrowia.

Na tzw. zanieczyszczenie dźwiękowe cierpimy jednak nie tylko w ciągu dnia. Znacznie bardziej niebezpieczny jest hałas nocny, którego nie jest o wiele mniej. Głośne dźwięki po zachodzie słońca uniemożliwiają nam przede wszystkim głęboki sen, co prowadzić może do wielu schorzeń i dolegliwości. Niewłaściwy wypoczynek w nocy odbija się na zdrowiu zarówno psychicznym, jak i fizycznym. W przypadku dorosłych hałas i jego konsekwencje: bezsenność, stres, ataki paniki, problemy z układem krwionośnym, zwiększona podatność na schorzenia psychiczne, powodują nawet 12 tys. przedwczesnych zgonów rocznie w całej Europie – alarmuje EEA. Co jednak gorsze, hałas trwale odciska się też na organizmach dzieci i nastolatków. Powoduje bowiem bardzo poważne zaburzenia rozwojowe i poznawcze, takie jak brak zdolności skupienia się czy krytycznego przetwarzania informacji. A te z kolei przekładają się na problemy w szkole czy napięcia w kontaktach z rówieśnikami. I choć tutaj dane są wciąż mocno szacunkowe, badacze twierdzą, że sam hałas samolotów przeszkadza w prawidłowym rozwoju 12,5 tys. europejskich dzieci.

Śmietnik akustyczny

W dzisiejszych miastach niełatwo o chwilę ciszy. Problem ten dotyczy zresztą nie tylko miast europejskich. Na innych kontynentach – zwłaszcza w Ameryce Północnej, Afryce i Azji – jest często jeszcze gorzej. W wielu z tych miejsc nie istnieją bowiem regulacje pozwalające choć trochę obniżyć poziom ogólnego hałasu w środowisku, takie jak limity decybeli dla pojazdów drogowych. W Stanach Zjednoczonych, jeszcze bardziej niż w Europie, ludzkie uszy i cały organizm narażone są na szwank przez samochody, bez których trudno tam w jakikolwiek sposób się przemieszczać. Jak twierdzi David Owen, reporter magazynu „New Yorker" zajmujący się chorobami cywilizacyjnymi, konsekwencje zanieczyszczenia

eprasa.pl 8d3d48c988

W wielkich miastach ruch uliczny jest nieustannym źródłem hałasu. Nz. Bangkok, stolica Tajlandii.

dźwiękowego mogą wywołać niebawem kolejny wielki kryzys zdrowia publicznego na całym świecie.

Przyczyn tych schorzeń badacze szukają najczęściej właśnie w rosnącym natężeniu komunikacji, zwłaszcza miejskiej. Coraz więcej się przemieszczamy, po naszych drogach jeździ coraz więcej pojazdów. Drogi te trzeba też coraz częściej naprawiać, a to już hałas ogromny – choć punktowy, uniemożliwia nieraz normalne funkcjonowanie. Les Blomberg, amerykański badacz hałasu i założyciel Centrum Oczyszczania z Dźwięku, pionierskiej placówki medycznej leczącej trwałe uszczerbki na zdrowiu wywołane hałasem, zauważa jednak, że cierpimy nie tylko z powodu głośnych robót drogowych albo huczących silników samolotowych. By lepiej opisać środowisko dźwiękowe, w którym na co dzień żyjemy, wprowadza on pojęcie krajobrazu akustycznego. Składają się nań wszystkie odgłosy, które trafiają do naszych uszu, również te cichsze, ale trwałe, ciągłe – np. pozornie przyjemna, lecz na dłuższą metę szkodliwa muzyka w kawiarni bądź tzw. biały szum, czyli nieprzerwany, choć lekki dźwięk samochodów przejeżdżających w oddali. Blomberg porównuje ten krajobraz do lasu, w którym na każdym kroku widać porozrzucane opakowania po jedzeniu z McDonalda. Jednym słowem – śmietnisko. Zanieczyszczamy nasze środowisko akustyczne nieprawdopodobną masą dźwięków, a tylko o niektórych myślimy jako o szkodliwych – tłumaczy Blomberg. To założenie całkowicie błędne, bo na naszym zdrowiu negatywnie odbija się każdy rodzaj długotrwałego hałasu, nawet ten początkowo przyjemny.

Cisza jak tortura

Doskonałym przykładem katastrofalnego wpływu zanieczyszczenia dźwiękowego jest Paryż. Jedna z największych światowych metropolii, okręg miejski z liczącą ponad 12 mln populacją i bardzo gęstą zabudową, z powodu hałasu zabiera swoim mieszkańcom średnio nawet trzy lata zdrowego życia. Tak wynika z badań przeprowadzonych przez Bruitparif, organizację pozarządową, która wspólnie z WHO sporządziła mapę dźwiękową stolicy Francji, pokazującą miejsca o najwyższym natężeniu hałasu. Wynika z niej, że łącznie osoby zamieszkujące paryską metropolię tracą… milion zdrowych lat, które zabierają im wywołane wieczną kakofonią stres, depresja, nerwica i schorzenia układu krążenia.

Na naszym zdrowiu negatywnie odbija się każdy rodzaj długotrwałego hałasu, nawet ten początkowo przyjemny.

Niewiele lepiej jest w sąsiednich Niemczech, gdzie na szumy uszne, trwałe uszkodzenie słuchu wywołane permanentnym wystawieniem na hałas, cierpi 4 mln osób. Tu objawy są różne, dlatego schorzenie to trudno zdiagnozować. U jednych objawia się ciągłym dzwonieniem w uszach, u drugich to wibracje, odczuwane często w całym ciele. Inni narzekają na nieustanne bzyczenie, rytmiczne uderzenia albo po prostu coraz słabiej słyszą. Co gorsza, na szumy uszne właściwie nie ma skutecznego lekarstwa. Głównie dlatego, że ich przyczyna leży w naszym układzie nerwowym. Przyzwyczajony do ciągłej recepcji dźwięków mózg trzeba „oszukiwać", odwracać jego uwagę od szumów. Te ostatnie nie są bowiem odgłosami, które da się zmierzyć metodami pomiaru akustycznego. To tzw. dźwięki fantomowe – wydaje się nam, że je słyszymy. W niektórych przypadkach pomaga założenie aparatu słuchowego, który „wycisza" je poprzez koncentrację na innych dźwiękach. Paradoksalnie dla osób cierpiących na szumy uszne najgorsza jest absolutna cisza. Właśnie dlatego, że przy braku innych odgłosów słyszą wyłącznie swoje natarczywe fantomy. Osoby cierpiące na to zaburzenie często opisują ciszę jako najgorszy rodzaj tortury. Zostają wówczas sam na sam ze swoim akustycznym prześladowcą.

W przypadku dorosłych hałas i jego konsekwencje powodują rocznie 12 tys. przedwczesnych zgonów w całej Europie.

Filtrowanie hałasu

Nadwrażliwość na hałas zwiększa się u nas z wiekiem. Badania przeprowadzone przez naukowców z wydziału medycyny na Harvardzie wskazują, że na trwałe uszkodzenia słuchu wywołane zanieczyszczeniem dźwiękowym cierpi w Stanach Zjednoczonych nawet dwie trzecie mężczyzn powyżej 70. roku życia. Lepiej, choć niewiele, jest wśród 50-latków, u których odsetek ten nie przekracza połowy. Częściowo można to tłumaczyć wyższymi niż w Europie normami dopuszczalnego hałasu. Amerykańskie władze twierdzą, że poziom bezpieczny dla zdrowia to 85 decybeli wokół nas przez osiem godzin dziennie, Europejczycy i WHO poprzeczkę ustawiają znacznie niżej, blisko granicy 50 decybeli. Przede wszystkim jednak im jesteśmy starsi, tym bardziej kumulują się w nas inne choroby cywilizacyjne: stres, otyłość, przewlekły ból, bezsenność. Razem z życiem w zanieczyszczonym akustycznie krajobrazie tworzą samonapędzające się koło schorzeń, od których uwolnić się coraz trudniej.

Jak więc radzić sobie ze zbyt dużym hałasem w życiu codziennym? Wiadomo już, że ucieczka w zupełny brak dźwięków nie wszystkim pomoże. Co więcej, jest to cel prawie niemożliwy do osiągnięcia. Nawet w pandemii, gdy masowa komunikacja na chwilę stanęła, hałas samochodów i samolotów zastąpiły sąsiedzkie remonty i rodzinne kłótnie. Badacze z EEA i Harvardu radzą, by nie izolować się zupełnie od dźwięków, ale zacząć je filtrować. Wybierać te, które nam nie szkodzą, nie denerwują, lecz na działanie żadnych nie wystawiać się zbyt długo. Dla ucha równie ważna jak spokój jest bowiem różnorodność. A w niej zawiera się także chwilowa, przynajmniej częściowa cisza. Dobro, które lada moment może się stać dostępne dla nielicznych. ■

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8d3d48c988

Rozmawia Mateusz Demski

Na prowincji marzenia wyglądają inaczej

Warszawska Praga paradoksalnie jest najbardziej multikulturowym miejscem w stolicy

Piotr Domalewski – absolwent Wydziału Lalkarskiego Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Białymstoku i Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Ukończył również studia reżyserskie na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W 2017 r. jego debiut fabularny „Cicha noc" został nagrodzony Złotymi Lwami w Gdyni. Rok później film uhonorowano statuetkami Polskich Nagród Filmowych Orły w dziewięciu kategoriach. Jego drugi film „Jak najdalej stąd" znalazł się w programie 68. MFF w San Sebastián.

„Dramat, który rozgrywa się w tym filmie, nie jest inspirowany artykułem z gazety ani życiem sławnej osoby. To historia opowiadająca o świecie, który dobrze znam. O świecie, w którym się wychowałem", pisałeś kilka lat temu o „Cichej nocy". Czy te same słowa możemy przyłożyć dziś do „Jak najdalej stąd", twojego drugiego filmu fabularnego?

– Bez dwóch zdań. Zawsze za punkt wyjścia do moich scenariuszy obieram wydarzenia z życia wzięte, jakoś szczególnie mi bliskie. Historię, która stała się trzonem „Jak najdalej stąd", usłyszałem od znajomego akurat na planie „Cichej nocy". Pewnego dnia jako 17-letni chłopak dowiedział się, że jego ojciec zmarł wskutek wypadku przy pracy i on musiał jechać za granicę, żeby ściągnąć ciało do Polski. To wydało mi się wyjątkowo bolesne i przejmujące. A zarazem pomyślałem, że w tę historię można włożyć wiele emocji.

Co masz na myśli?

– Interesowała mnie przede wszystkim opowieść o poszukiwaniu relacji dziecka z rodzicem. O tym, jak często tych stosunków nie potrafimy nazwać i poukładać sobie w głowie. Moja bohaterka stara się przez cały film odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jej ojciec tak naprawdę był. Jako człowiek. To z pewnością nie jest film w formie wyznania czy autobiografii, ale mam poczucie, że w jakimś stopniu zawarłem w nim także relację z własnym ojcem. Wychował szóstkę dzieci, więc jego główną rolą było zapewnienie nam środków do życia.

No właśnie, „Cicha noc" też była filmem ze sprawą osobistą. Podobnie jak twoi bohaterowie wywodzisz się z prowincji.

– Wiesz, masz taką soczewkę, przez którą oglądasz świat, zostałeś w nią w dzieciństwie wyposażony. Pochodzę z małej miejscowości, więc nie jestem żadnym „prowincjofilem" z wyboru. W takim świecie dorastałem, stamtąd przez wiele lat spoglądałem na świat. Z tego powodu tak bardzo interesują mnie w kinie ludzie, którzy nie mają w życiu zbyt dużo możliwości ani wyboru. Kiedy wywodzisz się z biedniejszych rejonów kraju, to nie marzysz, by nagle rzucić wszystko, wyjechać do Paryża i wieść życie w stylu bohemy. Na prowincji marzenia tworzą się trochę inaczej.

Co takiego się stało, że twoje marzenia skonstruowały się w taki, a nie inny sposób? Nie wyrosłeś w środowisku artystycznym. Twoja rodzinna Łomża nie oferowała zbyt wielu możliwości. A mimo wszystko znalazłeś dla siebie jakąś niecodzienną drogę.

– To było bardzo trudne, ten proces wiele mnie kosztował. W rodzinie wszyscy kierowali się poczuciem i potrzebą bezpieczeństwa w konstruowaniu swojej drogi życiowej. Takie podejście pozwala ludziom na pewnym etapie zatrzymać się i stwierdzić: „Tu zostaję. Tu jestem szczelnie obudowany, wszystkie rzeczy mam ponazywane, a do tego towarzyszą mi ludzie, którzy mnie akceptują". Ja nigdy czegoś takiego w sobie nie miałem lub nie potrafiłem tego odnaleźć. Całe życie uciekałem dokądś, może dlatego w duchu zawsze czułem się emigrantem. Kiedy skończyłem wydział lalkarski w Białymstoku, stwierdziłem, że to

eprasa.pl 8d3d48c988

dla mnie za mało, i poszedłem na aktorstwo dramatyczne do Krakowa. Skończyłem aktorstwo, dałem sobie szansę i popracowałem trochę w teatrze, a mimo wszystko rzuciłem to dla reżyserii w Katowicach. Nigdy nie potrafiłem sobie powiedzieć, że to jest już tu i powinienem się zatrzymać.

Aż strach pomyśleć, gdzie cię rzuci po reżyserii.

– Moją pasją są astronomia i fizyka. Ale uprzedzając pytanie o ewentualny lot w kosmos, należę raczej do tych ludzi, którzy w rakiecie nie chcieliby siedzieć. Jeśli już, to mógłbym ją konstruować. Jakoś zawsze tak w życiu funkcjonowałem. Nie lubię być na szpicy. Wolę trzymać się z tyłu i tam być dumny z siebie, że tak sobie życie wymyśliłem.

Tyle że los chciał, że na pewnym etapie życia zostałeś wypchnięty przed szereg. Twój debiut został obsypany nagrodami, niewątpliwie posmakowałeś rozgłosu i sukcesu. Czy czułeś lęk przed drugim filmem? Mówiłeś sobie: „No, dopiero teraz będziesz musiał udowodnić światu, na co cię stać”?

– To była wielka, ale raczej wewnętrzna presja. Stało za nią wiele prywatnych oczekiwań, od których próbowałem się jakoś uwolnić. Na początku myślałem, że na tę drugą potyczkę – być może o wiele trudniejszą niż pierwsza – powinienem wyposażyć się w odpowiedniego bohatera, który mnie przed tym wszystkim uchroni. Pomyślałem, że może warto zrobić film o postaci nośnej, dobrze znanej, wyrazistej, chociażby ze świata sztuki lub nauki, co dawałoby pewne poczucie bezpieczeństwa. Ale ostatecznie zrobiłem coś zupełnie odwrotnego. Postanowiłem wyposażyć się w najbardziej delikatnego i kruchego bohatera, w jakiego tylko mogłem. W 17-latkę z prowincji.

Na dodatek dziewczynę, której ojciec wyjechał na saksy na Wyspy. Wydaje mi się, że podobnym patronem i strażnikiem w „Cichej nocy” była postać chłopaka pracującego za granicą, inspirowana poniekąd historią twojego starszego brata. Życie zaprowadziło was w zupełnie różne miejsca.

– To strasznie śmieszna sprawa, którą nie do końca rozpracowałem. W młodości marzyłem o tym, żeby być po trochu każdym. Myślałem, że przez rok mógłbym pracować jako taksówkarz, innym razem jako kucharz, następnie zatrudnić się na budowie, by zobaczyć, jak życie wygląda naprawdę. Z kolei mój brat pragnął skoncentrować się na jednej dziedzinie. I oto jakoś tak przewrotnie potoczyło się życie, że to on jest tym nomadą, który z roku na rok przeżywa kolejne odsłony i warianty swojego istnienia, a ja podążam jedną, wyznaczoną jeszcze za czasów studiów ścieżką.

Jak najdalej stąd

Twój brat dawno wyjechał?

– Siedem lub osiem lat temu. Życie przez ten czas prowadziło go w bardzo różne miejsca. Na początku pracował w fabryce serów w Holandii. Później mieszkał w Norwegii, Szkocji, Anglii i teraz wrócił do Edynburga. I różnie na tej emigracji mu się wiodło. Jest taka scena w „Jak najdalej stąd”, kiedy bohaterka ląduje w kontenerze pracowniczym z grupą polskich robotników. To dokładnie to, co widziałem, odwiedzając brata kilka lat temu.

Nie zastanawiałeś się, czy w takim położeniu może on być naprawdę szczęśliwy i poczuć się spełniony? Wielu moich przyjaciół też postanowiło wyjechać za granicę, imali się tam najróżniejszych zajęć, ale nikt nie zrobił oszałamiającej kariery. Pracują w magazynach, kawiarniach, co równie dobrze mogliby robić w kraju. Mimo to decydują się za granicą zapuścić korzenie.

– Nie wiem, jak to wygląda z ich perspektywy, ale mogę to przepuścić przez filtr, który wielokrotnie pojawia się w rozmowach z moim bratem. Dla niego emigracja jest swego rodzaju wyrazem niezgody. Brat nie mógł emocjonalnie pogodzić się z tym, co się działo w kraju. Nie wiem, czy pamiętasz początek XXI w., kiedy byliśmy na totalnym hypie dorobkiewiczowskim. Wtedy na prostego człowieka pracy, który zajmował się dostawą towaru do sklepu albo wykończeniówką, często patrzyło się z góry. Za granicą, zwłaszcza na Wyspach, brat doświadczył innego traktowania. Tam praca fizyczna nie jest niczym hańbiącym. Przeciwnie – ludzie są naprawdę dumni z tego, co robią. W ich poczuciu nie każdy musi być przedsiębiorcą, nie każdemu w tym dobrze. Dlatego etos człowieka pracy jest tam tak silny. Może nawet silniejszy niż etos świata usług i finansjery.

Odnoszę wrażenie, że jest jeszcze jedna osoba patronująca twoim filmom o emigracji, Arkadiusz Jakubik. Na konferencji „Cichej nocy” na festiwalu w Gdyni nie mógł powstrzymać łez. Znalazł w tym filmie historię swoją i swojego taty, który także wyjechał do pracy na wiele lat. Zakładam, że obsadzenie Jakubika w „Jak najdalej stąd” nie jest kwestią przypadku. Temat emigracji chyba jednakowo was kłuje.

– Niewątpliwie to pokrewne w wielu aspektach doświadczenie nas zbliżyło. Ale dla mnie najważniejsze w pracy z nim pozostaje to, że ma on w sobie niezwykłą odwagę,

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8d3d48c988

by unieść i wypowiedzieć do kamery „duże" kwestie, które zapadną człowiekowi w pamięć i wryją się w serce. Wiem, że nie było mu łatwo zmierzyć się z monologiem w „Cichej nocy", w którym jego bohater dokonywał życiowego bilansu przed synem, i tym ze sceny końcowej w „Jak najdalej stąd". To przywoływało wspomnienia. I jak słusznie zauważyłeś – kłuło. Przy tych dwóch wspólnie zrealizowanych filmach napędzał nas rodzaj gniewu i niezgody na to, że rzeczywistość jest taka, jaka jest. Ale to chyba właśnie nas kłuło – rodzinne doświadczenie emigracji głęboko w nas siedzi, czasem nieoczekiwanie się odzywa i bez ostrzeżenia, punktowo w nas godzi.

A dlaczego zdecydowałeś się na obsadzenie w głównej roli debiutantki, Zofii Stafiej? Dla mnie jest ona największym odkryciem „Jak najdalej stąd".

– Tak samo dla mnie. Szukałem osoby do określonego rodzaju kina. Do filmu, w którym kamera fokusuje się na niewypowiedzianych wprost emocjach bohaterki. Jako widzowie śledzimy jej działania, wiemy, w jakim położeniu aktualnie się znajduje, i dzięki temu możemy się domyślać, co ją trapi. Ale ona sama o tym nie mówi. Wręcz te emocje przed nami skrywa. To rodzaj zaciśnięcia na bohaterze, który znam doskonale z kina europejskiego i Bliskiego Wschodu. Z filmów braci Dardenne czy Ceylana. I właśnie to potrafiła unieść Zosia. Zresztą nie był to prosty wybór. Znalezienie osoby wiarygodnej, naturalnej, zdyscyplinowanej wewnętrznie, której twarz nie jest jeszcze opatrzona w reklamach Fanty czy sieci komórkowych, wymagało przesłuchania tysięcy osób i pięciu etapów zdjęć próbnych. Ale Zosia miała w sobie ładunek emocji, w który po prostu od pierwszej chwili uwierzyłem.

„Jak najdalej stąd" wraz z twoimi poprzednimi filmami, czyli krótkometrażowym „60 kilo niczego" i „Cichą nocą", tworzy swoistą trylogię o emigracji. Czy myślisz, że kiedykolwiek będziesz gotów rozstać się z tym tematem?

– Tego nie wiem. Na pewno rzecz, która mnie interesuje i będzie interesowała jeszcze długo, to kwestia migrantów mieszkających u nas. W filmie „60 kilo niczego" pojawił się wątek Ukraińców pracujących w Polsce, ale przecież nie są tu jedyni. Jest duża grupa przybyszów z Azji, którzy funkcjonują zupełnie inaczej – tworzą małe enklawy, konsolidują się w grupy i, prawdopodobnie też z natury swojej kultury, pozostają niezauważeni. Czytałem gdzieś, że w samej aglomeracji warszawskiej żyje tysiące wietnamskich rodzin. Mimo to ci ludzie przemykają nam gdzieś w tle. Ja sam mam mieszkanie na warszawskiej Pradze, która paradoksalnie jest chyba najbardziej multikulturowym miejscem w stolicy. Przechodząc od Ząbkowskiej w okolice Dworca Wileńskiego, możesz nie usłyszeć słowa po polsku, za to rozmowy w pięciu różnych językach. W nich musi się kryć jakaś niesamowita liczba tematów.

Jednak w Polsce temat migrantów ma dodatkowy znaczący kontekst, ksenofobię.

– Tak i mam poczucie, że cały czas nad tym pracujemy. Nie jest to żadne usprawiedliwienie, ale musimy pamiętać, że wciąż jesteśmy społeczeństwem, dla którego myśl humanistyczna stanowi pewne *novum*. To, że obecnie mamy kilka osób, np. literatów, które nas na te sprawy otwierają i uwrażliwiają, wcale nie zmienia pewnej odwiecznej zależności – jesteśmy tak naprawdę społeczeństwem chłopskim. Na tej tkance zostaliśmy zbudowani, właśnie ta tradycja chłopska była przez setki lat puszką, w której zakonserwowała się nasza dzisiejsza mentalność. My często patrzymy na rodaków z perspektywy Warszawy, która jest miejscem wyabstrahowanym z tego tematu. W 2014 r., przymierzając się do pracy magisterskiej na temat wizerunku obcokrajowca w polskim kinie, trafiłem na badanie GUS, z którego wynikało, że 40% Polaków nigdy w życiu nie spotkało człowieka odmiennego kulturowo i etnicznie. Nigdy, przenigdy. I rzecz druga, którą pamiętam z dzieciństwa: miałem 12 lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem osobę o innym kolorze skóry. Mimo że nie wychowywałem się w przestrzeni nietolerancji czy uprzedzeń, musiałem się zatrzymać i przeżyć tę chwilę. To tak jak z tym powiedzeniem, że jest Rosja i Moskwa, że są Niemcy i jest Berlin. Podobnie u nas – jest Polska i Warszawa.

Cały czas krążymy wokół tematu emigracji, a ostatnio czytałem, że chętnie byś się spróbował w „Gwiezdnych wojnach".

– A wiesz, że bardzo bym chciał! Zresztą teraz jestem na takim etapie mojej reżyserskiej drogi, że różne rzeczy sprawdzam i testuję. Skończyłem serial dla Netflixa, w międzyczasie dostaliśmy z producentem dofinansowanie na film fabularny o sprawie Nangar Khel. No i nie ukrywam, że marzy mi się kiedyś mocne gangsterskie kino. Ale to nie znaczy, że odbędzie się to kosztem kina artystycznego, osadzonego w najbardziej zwykłych ludziach i ich wewnętrznych konfliktach. Myślę, że to zawsze będzie ze mną.

A nie masz poczucia, że perspektywa pierwszej wielkiej produkcji w twojej karierze coraz bardziej się oddala? Nie ma co ukrywać – pandemia sprawiła, że kino zostało zepchnięte do narożnika. Całkiem możliwe, że sprawnie zrealizowane kino gatunkowe o walorach rozrywkowych w ogóle zrobi się finansowo nieosiągalne.

– A ja sądzę, że może się stać odwrotnie. Problemem jest to, że być może tylko na takie rzeczy będziemy mogli sobie pozwolić. Ostatnio myślałem o „Jak najdalej stąd", na ile tego typu kameralne kino byłbym w stanie zrealizować w okolicznościach, w których obecnie się znajdujemy. Jeszcze rok temu żyliśmy w zupełnie innej rzeczywistości, w świecie optymizmu, w którym pieniądze na takie projekty się znajdowały, w którym warto było mówić o rzeczach ważnych. Z drugiej strony zawsze kąsał nas ten kapitalistyczny pęd, żeby uzbierać półtora miliona widzów przed ekranami. Moja obawa jest teraz taka, że ostanie nam się już tylko rozrywka. Że kultura masowa skonsumuje i przetrawi wszystko. Chociaż mój przewrotny pesymizm każe mi wierzyć, że znajdzie się jeszcze odrobinę miejsca na małe, autorskie kino.

Mateusz Demski

Kiedy wywodzisz się z biedniejszych rejonów kraju, to nie myślisz, by nagle rzucić wszystko, wyjechać do Paryża i wieść życie bohemy.

eprasa.pl 8d3d48c988

Laureat, co snuje i tka

Książkę Radka Raka, zdobywcy tegorocznej Nike, każdy może czytać z wielkim pożytkiem po swojemu

Małgorzata Kąkiel

Piękno tu i straszno. Wszystko się plącze, przenika, gdzie jest prawda, gdzie fałsz? A dobro i zło? Druga część tytułu powieści niby wszystko wyjaśnia: „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli". O okrutniku chłopskim zatem będziemy czytać. Każdy coś o nim wie. Panów rżnął, dwory plądrował i palił. Jego zryw przeszkodził narodowowyzwoleńczemu krakowskiemu powstaniu szlachciców. Dał się zaborcy austriackiemu wykorzystać – głupi zdrajca! Ależ skąd. To wyraziciel społecznego buntu! Ileż można pokornie znosić krzywdy? Niech żyje Szela!

Przywódca galicyjskiej rabacji pojawiał się już na kartach znakomitej literatury – „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego, „Turoń" Stefana Żeromskiego, „Słowo o Jakubie Szeli" Brunona Jasieńskiego. Zależy, jakie kto ma poglądy polityczne, jaką wrażliwość społeczną i ogólnoludzką, taką rolę przypisuje Szeli. A Radek Rak? Tworzy znakomitą literacko, mądrą, złożoną powieść. Przede wszystkim czytając, dotykamy piękna przyrody. „Niebo zaciąga się grafitowo, a chmury na brzegach mają zły, zielonkawy poblask. Idzie wiejba – pisze Rak. – Spod leśnych wykrotów wypełza wczesny mrok. (…) Trudno jest zdobyć zaufanie karpackiej puszczy, zamkniętej w sobie, gdzie buki łypią na wędrowca sękatym okiem". A jemu „w tobołku mile chlupocze czereśniowa pamuła w kamionkowym dzbanku". To świat żyjących blisko natury ludzi, świat zwierząt i rozmaitych duchów.

„Ta książka to klechda. Jak każda klechda jest triumfem wyobraźni, dotyka twardej rzeczywistości, prawdziwego świata. (…) Snuje historie nie z tej ziemi i jednocześnie opowiada coś, co drzemie w historii. (…) Nie historia z jej dramatyzmem i okrucieństwem gra w tej klechdzie pierwsze skrzypce. Siłą książki Radka Raka jest sam akt snucia opowieści. Snucia i tkania. Tkania z rozbieganych ech i pogłosów. Z lotnych pasm uwolnionej wyobraźni. Z refleksów światła odbitego od gór, bukowych liści, łusek węża", powiedział w laudacji tak pięknej literacko i mądrej jak sama powieść prof. Paweł Próchniak, informując o przyznaniu jej tegorocznej Nagrody Literackiej Nike.

W pełnym urody i okrucieństwa świecie, wśród wierzeń i bajań, żyje Jakób Szela. Pogańskie gadki wpływają na jego istnienie na równi z wiarą chrześcijańską. Piękna, mądra metaforyka – jak to w eposach, ludowych bajdurzeniach, w poezji bywa – śpieszy z podrzucaniem prostych, a zarazem głębokich mądrości. Jak choćby ta: gdy się kocha, oddaje się serce. Ale kim jest człowiek bez serca? Okrutnikiem albo emocjonalną wydmuszką. Młodziutka Chana wyjęła i podała Kóbie swoje malutkie, nieopierzone serce. Od razu zrozumiała, że to próżny gest, chłopak go nie chciał. Za to on swoje serce dał rusałce (albo zwykłej latawicy – kto wie?) Malwie. A jak mówią mądre węże, bez serca człowiek się błąka. Tak jak Szela. Robi trochę dobrze, więcej źle.

A mógłby Szela nie pragnąć zemsty na panach, nie żywić wobec nich jak najgorszych uczuć? Nie szczędzi Radek Rak opisów szlacheckiej bezwzględności. Jaśnie pan dziedzic Wiktoryn Bogusz, świetlisty, czysty, łaskawie pozwala śmierdzącym chamom o grubo ciosanych, durnych gębach całować swój pierścień. I zleca kije tym, co pańszczycę opuścili, a umierającego Starego Myszkę – prawie dziadka Kóby – każe ciągnąć za koniem, bo staruch leżał, umierając w polu, znaczy się leń. Co w takiej sytuacji ma robić dusza, umieszczona gdzieś między wątrobą a mostkiem? Taka jak choćby u Szeli bez serca? A jeszcze gdy dziedzic wraz z wysoko urodzonymi kompanami chłopów do wojska wyznacza i urządza polowania na dziewki, by łoża grzały? Jakób zaś wie, że w dalszym życiu czeka go tylko ból, głód i grób za płotem cmentarza. Opis rabacji zajmuje w książce liczącej ponad 400 stron tylko dwa rozdziały, ale i ten fragment nie jest jednoznaczny. Radek Rak w toku całej fabuły podkreśla, że nikt nie wie, co i jak było naprawdę, a w finale akcji stosuje baśniowy zabieg wymieszania dusz – Jakóba Szeli i Wiktoryna Bogusza. Cham stał się panem, pan chamem. Kto zatem jest dobry, a kto zły? Kogo potępić, a komu współczuć? Nic nie jest oczywiste. Jak to w dobrej literaturze bywa.

Czytając książki Radka Raka, dotykamy piękna przyrody.

Powstaje już sporo analiz „Baśni o wężowym sercu" – że słowa klucze, że nawiązania do Biblii, wierzeń słowiańskich, „Odysei", Brunona Schulza czy „Mistrza i Małgorzaty"… To wszystko prawda, ale każdy może czytać z wielkim pożytkiem po swojemu i chyba każdy doceni. A kim jest autor? 33-letnim pochodzącym z Dębicy weterynarzem o chłopskich korzeniach – co podkreśla – który pracuje w Krakowie i który już za pierwszą książkę, „Puste niebo", został nagrodzony w 2017 r. Złotym Wyróżnieniem w Nagrodzie Literackiej im. Jerzego Żuławskiego. Teraz pisze kolejną powieść *fantasy*, gdzie znajdzie się miejsce na magię, miłość, przygody i na małe zwierzęta. W planach ma opowieść o przedwojennej Dębicy, ale – jak zastrzegł w jednym z wywiadów – nie śpieszy się, musi jeszcze trochę przeżyć i trochę dojrzeć.

m.kakiel@tygodnikprzeglad.pl

FOT. JAKUB PORZYCKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 8d3d48c988

FESTIWAL

18. MFF TOFIFEST. KUJAWY I POMORZE

Tofifest wchodzi w dorosłość i porusza poważne tematy. W tym roku festiwal przyjrzy się sytuacji na Białorusi i pokaże filmy artystów opozycjonistów, którzy podglądają życie w autorytarnym kraju, z jego cieniami i blaskami, ograniczeniami i wentylami wolności. Artystów, którzy próbują coś zmienić, tak jak Leeloo, bohaterka kultowej space opery „Piąty element" Luca Bessona, tegoroczna bohaterka plakatu. 18. edycja w ogóle upłynie pod znakiem kobiet, bo większość filmów w konkursie On Air to herstorie, a organizatorom udało się zadbać o parytet – prawie połowę filmów podpisały reżyserki. Wydarzeniem będzie również koncert, który uświetni galę zamknięcia festiwalu. 24 października na scenie w CKK Jordanki wystąpi Paulina Przybysz z autorskim projektem „Music. The Superpower", a towarzyszyć jej będzie m.in. Stanisław Soyka. Piosenkarka sprawdzi, jak muzyka wpływa na tych, którzy ją tworzą. Festiwal po raz pierwszy odbędzie się nie tylko fizycznie, ale i wirtualnie. Szczegóły na **tofifest.pl**.

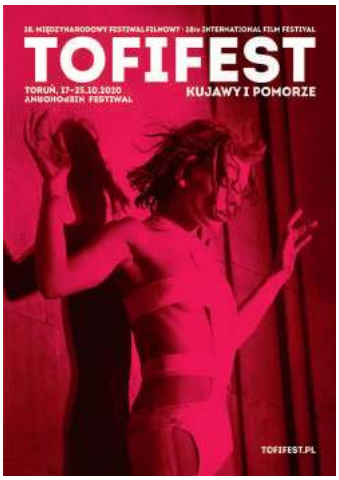

TORUŃ, 17-25 PAŹDZIERNIKA

KURTYNA W GÓRĘ

SZAMAN RADZI

Niezwykły spektakl, któremu dodano przymiotnik „reporterski". Powstał bowiem dzięki podróży na Daleki Wschód, by poznać sławnego szamana w buriackiej wiosce na granicy Rosji i Mongolii. Słyszymy jego głos i oglądamy rytuały na ekranie, ale są też z nami świadkowie tych spotkań, podróżnik i pisarz Arun Milcarz oraz aktorka, reżyserka i wokalistka Monika Mariotti. Opowiadają o wielodniowych podróżach Koleją Transsyberyjską i życiu Buriatów. Łączą to z prywatnymi historiami. Dzięki klimatycznej scenografii, śpiewom i muzyce możemy się poczuć niemal jak w prawdziwej jurcie, a rady udzielane przez szamana okazują się dla niejednej osoby zbawienne. Jechać do Buriacji w Teatrze WARSawy? Koniecznie.

Bronisław Tumiłowicz

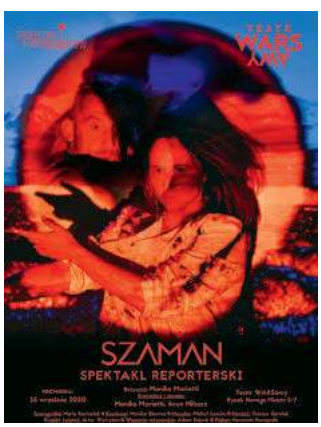

„Szaman", scenariusz Monika Mariotti i Arun Milcarz, reżyseria Monika Mariotti, Teatr WARSawy, premiera 16 września 2020

NA EKRANACH

SZARLATAN

reż. Agnieszka Holland, prod. Czechy, Polska, Irlandia, już w kinach

Agnieszka Holland zrobiła w Czechach film złożony z tego wszystkiego, czego polskie kino się boi. Jej Jan Mikolášek to bawiący się w Pana Boga gej, który na podstawie próbek moczu diagnozuje pacjentów w powojennej Czechosłowacji. Reżyserka ma świetnego nosa do ekranowych konfliktów. Nawet orientacja Mikoláška jest tu ukazana na zasadzie sprzeczności. Z jednej strony, mężczyzna realizuje się seksualnie, co daje Holland pretekst, by przypomnieć, jak zmysłowe sceny potrafi stworzyć, z drugiej – traktuje homoseksualizm jako rysę, która nie pozwala mu czuć się ideałem. Jej bohatera najpierw kocha cały naród, ale szybko zostaje on zrzucony z piedestału, gdy okazuje się, że komunistyczna władza stawia na racjonalizm i naukę, a nie na zielarskie sztuczki, na których można nieźle zarobić. Od idola wszyscy się odwracają, a reżyserka dba, byśmy dobitnie odczuli jego upadek. Wiadomo, że starcie jednostki z totalitarnym systemem jest jej ulubionym tematem, ale tym razem opowiada o nim z nowej perspektywy. Jej bohaterem nie jest bowiem idealista, tylko konformista, który z każdą władzą się ustawi. Holland podąża za nim bez oceniania i bez idealizowania i tworzy najlepszy film od lat.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Konrad Malec
Myśliwce
Życie ptaków drapieżnych

Czarne, Wołowiec 2020

Chociaż znamy te ptaki z literatury czy ludowych powiedzonek, tak naprawdę mało kto, patrząc w niebo, odróżni sokoła od jastrzębia, gawrona od kruka, czaplę od żurawia. Ptaki drapieżne, choć fascynujące i majestatyczne, bywają tajemnicą. Obserwacja ich to duża sztuka, ale i wciągająca przygoda. Wstępem do spotkania oko w oko z sokołem może być książka Konrada Malca. Ta skromna publikacja jest świetnie napisaną gawędą o ptasim świecie i chociaż daleka od ornitologicznych dysertacji, dostarcza ogromu wiedzy. Można ją zabrać w podróż i czytać fragmentami, a po lekturze, przy pewnej dozie szczęścia, spróbować podejrzeć tu i ówdzie skrzydlatych bohaterów.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8d3d48c988

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Z ust do ust (za plecami kelnera)

To się czasami zdarza w październiku – bezbożnie ciepła noc, kiedy można zarzucić na siebie dziurawe spodnie i cienką koszulę, bo jest naprawdę gorąco, a wiadomo, że to po raz ostatni, po raz przedostatni. Więc wszyscy wychodzą na zewnątrz. Rynek pęka w szwach, knajpy są przepełnione jak shopping malle. Tłumy na placach, pod nasypami, wszędzie tam, gdzie roi się od barów. Niektórzy wykorzystują okazję, żeby jeszcze w tym sezonie wystąpić w rzeczach z letnich wyprzedaży. Żeby palić papierosy z rozmachem, do końca, a nie na pół gwizdka, bo zimno. W popielniczkach leżą krótkie niedopałki. Och! I randki! O wiele łatwiejsze w ogródkach. Szum przejeżdżających samochodów, przechodnie, głośne śmiechy innych – wszystko to pozwala od siebie odpocząć.

W zeszłą sobotę zdarzyła się właśnie taka noc – covidowy weekend. Coś jakbyśmy mieli się wyhulać – po raz ostatni, po raz przedostatni. Klienci zamawiali pizzę wielkości samochodowych kół. Na rogach kamienic mężczyźni dobijali się lodami. Kobiety z nieprzytomnym spojrzeniem wysysały z dna kubka szejk mango. Rozespane dzieci, które rodzice zabrali do centrum, rozpuszczały w buzi chrupki kukurydziane. Ich włosy były zielone i pomarańczowe od neonów marek. COVID zaś podbijał stawkę, skoro tamci byli wyzywający, gotowi na konfrontację. Mnożył się po cichu – podawany z ust do ust – „za plecami kelnera". Kolonizował klamki taksówek, krawędzie kieliszków, miski z orzeszkami. I gumy miętowe pod szkolnym biurkiem, testery w drogeriach, spotkania kochanków – tam się płożył jak chmura z dymiarki i gęstniał.

COVID podbijał stawkę, skoro tamci byli wyzywający, gotowi na konfrontację. Mnożył się po cichu.

Zajrzyjmy do mieszkań, gdzie w przeddzień końca ekipa na poddaszu pali jednego dżointa. Obok spora orgia, skoro nastrój śmiertelny, *vanitas* w nagłówkach – trzeba więcej miłości z całą masą ludzi. Jak śpiewał Kaliber – „Lubię, jak jest więcej"! I ten ulubiony moment, kiedy już wszyscy – i klienci, i barmani – wszyscy są tak rozkosznie pijani. Znika kontuar – jest demokratycznie, jaka piękna komuna! Wreszcie: *boho* z *bourgeois*, barmani z klientami, magazynierzy z profesorami. Wszyscy tacy serdeczni, padają sobie w objęcia. Na pohybel pandemii! Jeszcze więcej alko!

Kamienice, samochody, przedmioty – płyną wartko z prądem. Przenikają się formy, rozmazują krawędzie. Sufit wiruje, podłoga umyka, ktoś podtrzymuje ścianę. Robią sobie zdjęcia ci, co jeszcze mogą. Hasztag życie! Hasztag *life*! Och, oni dopiero będą do siebie dzwonić. Za trzy dni gorące telefony po prostu spalą im się w rękach: czy widziałem się z Bartkiem, zanim on spotkał Martę? Czy byłam w klubie X, po tym jak Kuba przywlókł tam swoją dziewczynę? Czy po premierze od razu poszłam z nimi na drinka, czy przyszłam dopiero potem, kiedy już stali na zewnątrz? O której E. spotkał C.? Czy C. spotkała też Ł.? Czy się całowali? Czy uścisnęła mu dłoń? Czy wkładała ręce do buzi??? Częstowała czipsami, rozdała cygaretki? C. trochę pluje, jak coś opowiada i bardzo się angażuje. Czy C. się angażowała??? Czy mówiła o swoich obrazach???

Tymczasem w społecznościówkach tyle lajków. Kolorowe zdjęcia: my w pizzerii, my pod mostem, my na skrzyżowaniu. My w barze Ostatnia Stacja, my w restauracji Centralna, my w szisza barze, my z wielką michą orzeszków, my z dżointami, butelkami, talerzami. My w tę piękną, jakby sierpniową, podstępną noc covidową – oszukańczą, perfidną. Teraz się ujawniła jej podwójna natura, jej gruntowna zdrada. A taka była przystępna, tyle pokazywała. Szatańska przebieranka, diabelska ustawka. Dzwonimy do siebie. Sensacyjnie, konspiracyjnie, z lekkim drżeniem w głosie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze

eprasa.pl 8d3d48c988

Parwana (w środku) przemawia w czasie inauguracji Young Refugee Movement.

Dzień z życia uchodźcy

Moria to było piekło, szczególnie dla kobiet. Ale to był dom dla wielu ludzi, którzy teraz zostali bez niczego

Magdalena Grzymkowska
Korespondencja z Grecji

„Przestańcie kłamać i udawać, że ludzie są tu bezpieczni. Przestańcie mówić, że Europa jest lepszym miejscem, bo jest lepsza tylko dla wybranych, dla innych nie jest dostępna. Nie złamię pióra, nie skończywszy historii o nierówności i dyskryminacji. Swoimi słowami będę łamać granice, które zbudowaliście". Gdy Parwana Amiri pisała te słowa, miała 16 lat. Mieszkała w Morii na greckiej wyspie Lesbos, w największym obozie dla uchodźców w Europie. Wstrząśnięta nieludzkimi warunkami panującymi w obozie postanowiła przelać swoje myśli na papier. Tak powstała jej pierwsza książka „My pen won't break, but borders will. Letters to the World from Moria" („Nie złamię pióra, lecz granice. Listy z Morii do świata").

Po pożarze obozu na początku września rzeczywiście oczy świata zwróciły się w stronę Lesbos. Katastrofa humanitarna dotknęła tu 12 tys. osób. Jednak Moria to tylko niewielki fragment uchodźczej rzeczywistości. Historie ludzi przybywających do Europy mają początek dużo wcześniej, w krajach, gdzie przyjęte normy społeczne pozbawiają ich jakichkolwiek praw lub panuje zabójczy reżim.

Najtwardsze kamienie powstają w żarze wulkanów

Parwana urodziła się w prowincji Herat w Afganistanie. Wraz z rodzicami i czwórką rodzeństwa musiała uciekać z ojczyzny z powodów politycznych. – To była trudna decyzja, ponieważ nie chcieliśmy wyjeżdżać z naszego kraju – opowiada. – Mój ojciec był biznesmenem, z czasem postanowił zaangażować się w politykę i zostać przedstawicielem lokalnego samorządu. Wtedy zaczęliśmy dostawać groźby od kilku grup przestępczych.

Rodzice Parwany chcieli ochronić dzieci. Spakowali najpotrzebniejsze rzeczy i powiedzieli: „Jedziemy na wycieczkę". Dopiero w Iranie dzieci dowiedziały się, że opuszczają Afganistan na zawsze.

W Iranie spędzili trzy miesiące, zanim stwierdzili, że tam nie będą w stanie normalnie żyć. Oto jak Parwana wspomina ten czas: – Ten kraj jest pełen rasizmu wobec mniejszości etnicznych lub religijnych oraz przeciwników politycznych. Uchodźcy nie mają tam szans na edukację ani na obywatelstwo irańskie, nawet jeśli się tam urodzili. To kraj, w którym przemoc wobec kobiet, cudzoziemców, a nawet własnego narodu jest często przemilczana i pozostaje bezkarna, w którym nie ma wolności słowa.

Obóz to miejsce, gdzie śpi się czujnie, nasłuchując, czy nikt nie wchodzi do namiotu.

eprasa.pl 8d3d48c988

Rodzina Amiri postanowiła więc dostać się do Turcji. Trzy razy próbowali przekroczyć granicę. Za trzecim razem matce Parwany z obu synami się udało. Ale Parwana, jej ojciec i dwie siostry zostali zatrzymani, aresztowani i deportowani do Afganistanu. Nie poddali się jednak. Spróbowali ponownie. Afganistan, Pakistan, Iran, granica z Turcją. Tym razem przekroczyli ją szczęśliwie.

W Turcji spędzili rok, próbując zaadaptować się do nowej rzeczywistości. 15-letnia Parwana, która znała już trzy języki, z łatwością nauczyła się tureckiego i zatrudniła jako tłumaczka. Chciała jednak dalej się uczyć, ale w Turcji nie miała na to szans. Żadne z jej młodszego rodzeństwa nie miało. Widząc granice Europy na wyciągnięcie ręki, Amiri postanowili ponownie zaryzykować. Za piątym razem dotarli na wyspę Lesbos w Grecji. Był wrzesień 2019 r.

– Kiedy dotarliśmy do Morii i zobaczyłam codzienne problemy ludzi, nie mogłam siedzieć z założonymi rękami. Mam głęboką wiarę w słowa i ich skutki. Wiedziałam, że używanie słów, by pokazać rzeczywistość, jest jedynym sposobem na dokonanie zmian – podkreśla Parwana.

Yusuf, Ali Hadi i Mohammed z obozu w Larissie, działają aktywnie na rynku kryptowalut.

Obóz został zaprojektowany, aby mieszkało w nim maksymalnie 3 tys. osób. W czasie gdy przebywała tam Parwana, liczba rezydentów dochodziła do 22 tys. Obok rodzin z dziećmi mieszkały osoby z przeszłością kryminalną. Brakowało lekarzy, tłumaczy, prawników, psychologów. Ludzie miesiącami tkwili w zawieszeniu, czekając na pozwolenie opuszczenia wyspy, a co chwila przyjeżdżali nowi.

Parwana zaczęła pisać. Ustami samotnej matki, chłopca bez opieki i osoby transpłciowej przekazuje intymny obraz ich osobistych tragedii. Szczegółowo opisuje horror życia w tym obozie. To miejsce, gdzie śpi się czujnie, nasłuchując, czy nikt nie wchodzi do namiotu. Gdzie nie zapuszcza się w ciemne zakamarki, nie nosi przy sobie gotówki ani żadnych wartościowych rzeczy. Gdzie trzyma się gardę w dzień i w nocy, a każda odmienność wystawia cię na ryzyko. Jej zapiski w języku angielskim publikuje lokalne wydawnictwo. „Życzę silnych serc wszystkim tym, którzy zmuszeni są uciekać ze swoich domów, aby nie zgubili swojej drogi w obliczu trudności. Najtwardsze kamienie powstają w żarze wulkanów", pisze w książce.

Parwana założyła ruch Wave of Hope for the Future (Fala Nadziei na Przyszłość), w ramach którego zorganizowała wystawę, koncert, pokaz mody, a także premierę swojej książki. Robi wszystko, co w jej mocy, aby dla niej i innych nastoletnich uchodźców to nie był stracony czas. – Jesteśmy w tym razem, ze strachem w oczach i sercach. Ale jesteśmy na tyle silni, by pokazać naszą siłę, wolę i sprawczość – tłumaczy.

Nareszcie nadszedł szczęśliwy dzień dla Parwany i jej rodziny. Dostali decyzję o przeniesieniu do innego obozu w Grecji kontynentalnej, 70 km od Aten. Koniec z życiem w namiocie – w Ritsonie czekał na nich murowany segment z kuchnią, własną łazienką, klimatyzacją.

W porównaniu do Morii ten obóz wygląda jak z bajki. Jest cicho, czysto, zielono. Na budynku świetlicy kolorowe graffiti. Na boisku chłopcy grają w koszykówkę. Wzdłuż drogi sklepiki. Większość z 3 tys. mieszkańców to rodziny z dziećmi. Gdyby nie siatka z drutem kolczastym, można by pomyśleć, że to tani ośrodek wczasowy.

Adib ze swoją pracą, która powstała w Morii.

W Ritsonie Parwana nie zwalnia tempa. Zakłada nowy ruch, Young Refugee Movement (Ruch Młodych Uchodźców), w ramach którego upowszechnia wśród młodzieży wiedzę na temat celów zrównoważonego rozwoju. – Parwana jest dla nas wszystkich wielką inspiracją – mówi uczestniczka programu, ściskając w rękach plakat z celem trzecim: „Zapewnienie zdrowia i dobrostanu".

Po pożarze w Morii Parwana zorganizowała demonstrację solidarności. – To było piekło, szczególnie

FOT. MAGDALENA GRZYMKOWSKA

eprasa.pl 8d3d48c988

dla kobiet. Nie mam stamtąd żadnych dobrych wspomnień. Chciałabym wymazać ten czas ze swojej pamięci. Jednak ten obóz był domem dla wielu ludzi, którzy teraz zostali bez niczego. A warunki w nowym obozie są jeszcze gorsze – zauważa.

Gdy zachodzi słońce, Parwana ma w końcu chwilę dla siebie. Wtedy czyta książki, pisze wiersze. Z kieszeni dżinsów wyjmuje telefon i czyta jedną z wiadomości: „Ogień spalił nasze marzenia. Płoniemy. (…) Gdzie są ci, którzy nas przeklęli? Ci, którzy boją się, że im zagrażamy? Chodźcie i zobaczcie! Ośmielicie się spojrzeć? Lepiej odwrócić wzrok. Schować się, zamknąć w domu. My milczymy, żebyście mogli nas usłyszeć".

W obozie Moria na wyspie Lesbos tuż przed pożarem mieszkało ok. 12 tys. osób z prawie 70 krajów.

Bitcoiny sprzedam, bitcoiny kupię

– Oto nasze centrum dowodzenia – mówi Yusuf Mohammedi, otwierając drzwi do kontenera mieszkalnego. W schludnej, minimalistycznej przestrzeni stoi biurko, na nim laptop, kubek po herbacie, sztuczna paprotka. Na ścianie biała tablica z notatkami, widok zachodzącego słońca, hasło motywujące: „Podążaj za marzeniami". To równie dobrze mogłoby być biuro w Warszawie, w Londynie, w Berlinie. Tymczasem jesteśmy w obozie dla uchodźców w Larissie.

Osoby poszukujące azylu w Grecji do momentu przyznania im oficjalnego statusu uchodźcy nie mają pozwolenia na pracę. Na spotkanie decydujące o przyznaniu statusu uchodźcy niektórzy muszą czekać kilka lat. Yusuf i jego koledzy postanowili jednak nie marnować czasu. Kupują bitcoiny i sprzedają je z zyskiem. Uczestniczą w szkoleniach z tego zakresu w internecie i sami je prowadzą. Za pośrednictwem wideokonferencji łączą się z partnerami biznesowymi na całym świecie: w Szwecji, Niemczech, Holandii, Pakistanie. W zaaranżowanym biurze spotykają się trzy, cztery razy w tygodniu. Palą papierosy, piją herbatę, omawiają strategie, wymieniają się doświadczeniami.

– Sami wszystko zorganizowaliśmy. Na początku było nas czterech. Potem zaczęliśmy rozpuszczać wici po obozie, opowiadać innym o tym projekcie. Obecnie jest nas dziewięciu, co chwilę dołącza ktoś nowy. Od naszych współpracowników wymagamy zaangażowania i poważnego podejścia do tematu. Pracujemy razem, aby zapewnić sobie lepszą przyszłość – tłumaczy Yusuf. Jemu łatwiej zrozumieć meandry biznesu opartego na blockchainie i kryptowalutach. W Afganistanie skończył informatykę.

Na uniwersytecie poznał też kobietę swojego życia. Rohina studiowała pielęgniarstwo, on prowadził na kampusie szkolenie z zarządzania. To był duży budynek, nie wiedział, gdzie iść. Wtedy ona do niego podeszła i zapytała, czy potrzebuje pomocy. – Zakochałem się w jej oczach. Ciemnych jak niebo w nocy, ale zmieniających się o różnych porach dnia – opowiada.

> Gdzie są ci, którzy nas przeklęli? Ci, którzy boją się, że im zagrażamy? Chodźcie i zobaczcie!

Yusuf jest cztery lata młodszy od Rohiny. W Afganistanie to nie do zaakceptowania, aby kobieta była starsza od mężczyzny. Ale to niejedyny problem zakochanych. Drugim było to, że Rohina została obiecana jako żona jej dużo starszemu kuzynowi. Trzecim zaś był jej ojciec, znany lokalny mafioso.

Młodzi pobrali się w tajemnicy, żyli w ukryciu. Wkrótce na świat przyszły dzieci. Zaczęli dostawać pogróżki. Gdy ich córka miała cztery miesiące, kuzyn Rohiny próbował zrobić jej krzywdę. Znikąd nie mogli liczyć na pomoc. Gdy więc Rohina zaszła w kolejną ciążę, postanowili uciekać.

eprasa.pl 8d3d48c988

– Zapłaciłem przemytnikom 15 tys. dol. Jechaliśmy dzień i noc. Afganistan, Iran, Turcja. W końcu dotarliśmy do wybrzeża Morza Śródziemnego. Tam dostaliśmy się na łódź i stamtąd na Lesbos. Do Morii oczywiście – wspomina.

W październiku 2018 r. warunki w Morii nie były jeszcze tak katastrofalne jak rok później. Szacuje się, że wówczas w obozie było „tylko" 9 tys. ludzi. Yusuf i Rohina mieli też dużo szczęścia, ponieważ zostali zakwalifikowani jako osoby wymagające szczególnej ochrony. Po trzech miesiącach przenieśli się do obozu w Larissie, a za parę dni mają termin spotkania w sprawie przyznania statusu uchodźcy.

– Chcę pracować jako inżynier w branży IT. Mam wiedzę i doświadczenie. Jestem pewien, że dostanę pracę, czy to w Grecji, czy w jakimkolwiek innym kraju Unii Europejskiej. Dla mnie to nie ma znaczenia. Ważne, aby moja rodzina była bezpieczna – podkreśla.

Już nie mogę płakać

Adib Aryan codziennie wstaje po południu. Nie dlatego, że jest leniwy. Po prostu nie lubi hałasu. A w ciągu dnia w obozie jest bardzo głośno, więc woli noc. Żeby zagłuszyć obozowe życie, puszcza z telefonu muzykę: Eda Sheerana, Sama Smitha, Justina Biebera. – Afgańczycy są najgłośniejsi ze wszystkich. Ciągle się kłócą, ciągle o coś walczą. Jak idę do miasta, wstyd mi za moich ludzi. Już uchodźcy z Afryki są bardziej kulturalni. Czasem myślę, że wolałbym mieć czarną skórę – stwierdza.

W dawnym obozie Moria na wyspie Lesbos tuż przed pożarem mieszkało ok. 12 tys. ludzi z prawie 70 krajów. 70% pochodziło z Afganistanu. Przeludnienie obozu, niehumanitarne warunki oraz restrykcje związane z pandemią koronawirusa doprowadziły do napięć, w których upatruje się przyczyny tragedii. Po tym jak w ciągu dwóch nocy obóz doszczętnie spłonął, jego mieszkańcy znaleźli się na ulicy. Przez tydzień koczowali na zamkniętym odcinku drogi między Panagiodą a Mityleną, potem zostali przeniesieni do zbudowanego naprędce obozu, nazywanego Morią 2.0.

Adib podziela zdanie większości uchodźców: tu jest jeszcze gorzej niż w pierwszej Morii. – Tam przynajmniej była bieżąca woda. Były prysznice. Tutaj nic nie ma. Nie myłem się od dwóch tygodni. Inni kąpią się w morzu. Ale ja boję się morza, bo nie umiem pływać – przyznaje. Do tego trzeba dodać brak wystarczającej ilości jedzenia, brak wody pitnej, opieki medycznej, psychologicznej czy prawnej. A przede wszystkim brak poczucia bezpieczeństwa – namiot nie chroni przed niczym prócz słońca.

W prowizorycznym obozie Moria 2.0 są tylko namioty.

Adib ma 16 lat, w obozie mieszka z rodzicami i czwórką rodzeństwa. Do Grecji przybyli w styczniu 2020 r., w Morii spędzili dziewięć miesięcy. Adib niechętnie mówi o dwumiesięcznej podróży z Afganistanu. – To nie jest historia, którą można opowiedzieć. Jest zbyt długa i zbyt przerażająca. To historia głodu, zimna i ran. Aresztowań i przemocy. Spania na ulicy lub niespania wcale. Przez to wszystko moje serce tak stwardniało, że nie mogę już płakać.

Adib jest niezwykle wrażliwy, małomówny, wyciszony, ma swój świat. Od rzeczywistości ucieka w rysowanie. Ma wielki talent. Hiperrealistycznie odtwarza wizerunki znanych ludzi: Angeli Merkel, księżnej Kate, Johnny'ego Deppa, Bradleya Coopera. Swoje prace wrzuca na profil na Instagramie: @Artistic_Lifetime_. Ma już 18 tys. obserwujących. – Kiedy rysuję, nie czuję ani głodu, ani bólu. Gdy nie mogę rysować, ogarnia mnie smutek i złość. Bez rysowania umrę – wyznaje.

Inspiracje Adib czerpie z internetu. Znajduje tam zdjęcia, które go zachwycają, a następnie odtwarza je w swoich szkicownikach. Życie w obozie nie sprzyja jednak pracy twórczej. W jego namiocie nie ma prądu. Telefon musi ładować w innej części obozu, a z jego awersją do tłumów to prawdziwa droga przez mękę. Jak tylko może, oszczędza baterię. Brakuje mu kredek. Najbardziej ubolewa nad brakiem kredki w kolorze jasnobeżowym, lekko różowawym. W kolorze skóry białego człowieka. Niezbędnej do rysowania portretów pięknych modelek, aktorów, piosenkarzy.

> Milczymy, żebyście mogli nas usłyszeć.

Jego rodzina nie chce zostać w Grecji. Będą się starali o wyjazd do Niemiec. Ale Adib marzy, by wyjechać do Włoch i tam mieć wystawę swoich prac, może nawet własną galerię sztuki. To stamtąd pochodził jego ulubiony artysta – Leonardo da Vinci.

Kiedy nie rysuje, ogląda filmy. Najbardziej lubi *science fiction*. Te z superbohaterami i te o kosmosie. Jednym tchem wymienia: „Interstellar", „Arrival", „Marsjanin". Chciałby polecieć na Marsa. Zapytany dlaczego, odpowiada z rozrzewnieniem: – Bo tam jest tak pięknie! I tak cicho... Tam umysł znajdzie ukojenie. Tam można spać spokojnie.

Magdalena Grzymkowska

eprasa.pl 8d3d48c988

Co jest nie tak z Eleną?

Człowiek będzie bardziej potrzebował pomocy psychiatry niż jakiegokolwiek innego lekarza specjalisty

Jeffrey A. Lieberman

Kilka lat temu pewien znany człowiek – nazwijmy go pan Conway – niechętnie przyprowadził do mnie swoją 22-letnią córkę. Elena, studentka Yale, wzięła urlop z powodu tajemniczego pogorszenia się jej wyników w nauce. Pani Conway przytaknęła mężowi i dodała, że kryzys Eleny wynikał „z braku motywacji i z niskiej samooceny".

Reagując na rzekome trudności córki, Conwayowie wynajęli całą rzeszę ekspertów od motywacji, trenerów życiowych i korepetytorów. Mimo wszystkich kosztownych doradców jej postępowanie się nie poprawiło. Jeden z korepetytorów zaryzykował twierdzenie, że „z Eleną jest coś nie tak". Conwayowie potraktowali uwagę korepetytora jako tłumaczenie jego własnej niekompetencji – i dalej szukali sposobów, które miały pomóc ich córce „wyjść z dołka".

Próbowali naturopatii i medytacji, a kiedy te zawiodły, wyłożyli jeszcze więcej pieniędzy, by spróbować hipnozy i akupunktury. W istocie robili wszystko, by uniknąć wizyty u psychiatry, dopóki nie nastąpił „incydent".

Elena jechała właśnie nowojorskim metrem na obrzeża miasta, by spotkać się z matką na lunchu, gdy zaczepił ją łysiejący mężczyzna w średnim wieku, ubrany w brudną skórzaną kurtkę. Mężczyzna namówił ją, by wysiadła wraz z nim z metra. Nie informując matki, Elena zrezygnowała z umówionego lunchu i poszła wraz z mężczyzną do jego obskurnego mieszkania w piwnicy na Lower East Side. Gdy wreszcie odebrała telefon od przerażonej matki, mężczyzna znajdował się w kuchni i przygotowywał drinki.

Kiedy tylko pani Conway dowiedziała się, gdzie jest jej córka, natychmiast zadzwoniła na policję, a ta zrobiła nalot na mieszkanie mężczyzny, po czym przywiozła Elenę do rodziców. Dziewczyna nie protestowała wobec tej gwałtownej interwencji matki; właściwie nie zdawała się w ogóle zaniepokojona całym incydentem.

Gdy Conwayowie relacjonowali mi te wydarzenia w moim gabinecie na Manhattanie, nie miałem wątpliwości, że kochają swoją córkę i autentycznie martwią się o jej dobro. (…) Mimo całej tej troski jasno wypowiadali również wątpliwości co do tego, czy moje usługi będą potrzebne. Pierwszą rzeczą, jaką powiedział pan Conway, usiadłszy w moim gabinecie, było: „Muszę panu powiedzieć, że moim zdaniem ona nie potrzebuje psychiatry".

Profesja, której poświęciłem całe swoje życie, nadal jest gałęzią medycyny cieszącą się najmniejszym zaufaniem, wzbudzającą największy strach i najczęściej oczernianą. (…) Istnieje głośny i silny ruch antypsychiatryczny, domagający się obcięcia funduszy, ograniczenia lub całkowitego wyplenienia psychiatrii. (…) Ludzie na całym świecie są wciąż bardzo podejrzliwi wobec psychiatrów i uważają ich za przemądrzałych szarlatanów.

Psychiatria cieszy się najmniejszym zaufaniem, wzbudza największy strach.

Zignorowałem sceptycyzm Conwayów i zacząłem badać sprawę Eleny, wypytując rodziców o jej historię, o szczegóły biograficzne i medyczne. Elena, jak się dowiedziałem, była najstarszą z czworga dzieci Conwayów. Uważano, że spośród rodzeństwa to właśnie ona ma największy potencjał. Wszystko w jej życiu układało się świetnie, zauważyli z nostalgią jej rodzice, aż do czasu rozpoczęcia drugiego roku studiów w Yale.

Otwarta, towarzyska i popularna na początku studiów dziewczyna stopniowo przestała opowiadać o życiu uczelnianym oraz uczuciowym swoim przyjaciołom i rodzicom. Przeszła na ścisłą dietę wegetariańską i zafascynowała się kabałą, wierząc, że sekretna symbolika pozwoli jej przyswoić sobie kosmiczną wiedzę. Na zajęciach pojawiała się w kratkę, jej oceny drastycznie się pogorszyły. Rodzice początkowo nie martwili się tymi zmianami. (…) Zaczęli się martwić dopiero po telefonie, jaki odebrali z przychodni uczelnianej dla studentów Yale.

Elena oskarżyła koleżanki z roku, że ją prześladują i że ukradły jej złotą bransoletkę. Kiedy jednak dziewczyny zostały przesłuchane przez pracowników administracji uniwersytetu, stanowczo zaprzeczyły jakimkolwiek prześladowaniom i twierdziły, że nigdy nie widziały żadnej bransoletki. Zwróciły za to uwagę na zachowanie Eleny, które

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8d3d48c988

stawało się coraz bardziej dziwne. Jeden z wykładowców zaniepokoił się jej odpowiedziami na pytania egzaminacyjne. Poproszona o wyjaśnienie techniki strumienia świadomości stosowanej przez Jamesa Joyce'a, Elena napisała, że jego twórczość zawiera „zakodowaną specjalną wiadomość przeznaczoną dla wybranych czytelników, dysponujących mądrością umieszczoną w ich umysłach przez duchowe siły wszechświata".

Wówczas Conwayowie wystąpili o urlop dla Eleny i zatrudnili prywatnych trenerów, zastosowali newage'owe środki, aż wreszcie przyjaciel polecił im popularną psychoterapeutkę z Manhattanu. Kobieta ta (…) stwierdziła, że Elena cierpi na „zaburzenia samooceny", i rozpoczęła z nią serię kosztownych sesji terapeutycznych (…). Po tym, jak roczna terapia konfrontacyjna nie przyniosła poprawy, Conwayowie zwrócili się do uzdrowiciela holistycznego. Zalecił dietę oczyszczającą, ściśle wegetariańską, połączoną z ćwiczeniami medytacyjnymi. Pomimo jego najbardziej kreatywnych wysiłków Elena pozostała emocjonalnie zobojętniała i umysłowo rozchwiana. Potem nastąpiło nieudane uwiedzenie ze strony obleśnego nieznajomego. Wówczas lekarz rodzinny powiedział im: „Na miłość boską, zabierzcie ją do prawdziwego lekarza". I tak zjawili się u mnie.

Skończywszy wywiad z rodzicami Eleny, poprosiłem o możliwość porozmawiania z ich córką na osobności. Wyszli więc z mojego gabinetu i zostałem sam z Eleną. (…) Dobrze znam to nieobecne i chaotyczne spojrzenie, które jeden z moich kolegów nazywa „fragmentaryczną uwagą". Sugerowało ono, że Elena zwraca uwagę raczej na bodźce pochodzące z jej mózgu niż na to, co dzieje się wokół niej. Przyglądając się wciąż rozproszonej dziewczynie, spytałem ją, jak się czuje. Wskazała na stojące na biurku zdjęcie mojej żony i dzieci.

– Znam tych ludzi – powiedziała delikatnym monotonnym głosem, przypominającym wibrowanie wentylatora.

Próbowałem zapytać, skąd może ich znać, ale przerwała mi:

– Muszę iść. Spóźnię się na spotkanie.

Uśmiechnąłem się przyjaźnie.

– To jest twoje spotkanie, Eleno. Jestem doktor Lieberman, a twoi rodzice umówili nas, by się przekonać, czy będę w stanie jakoś ci pomóc.

– Wszystko ze mną w porządku – odpowiedziała swoim płaskim, przytłumionym głosem. – Czuję się dobrze, tylko moje koleżanki się ze mnie śmieją i utrudniają mi pracę.

Spytałem ją o szkołę i o to, dlaczego ją zostawiła. Natychmiast oznajmiła mi, że szkoła już jej nie interesuje – teraz jej zadaniem jest ocalenie świata poprzez odkrycie źródła boskiej mocy. Wierzyła, że Bóg umieścił aniołów w ciałach jej rodziców, by pomagali jej w tej świętej misji.

– Pańska sekretarka też o niej wie – dodała Elena.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Chodzi o to, jak się do mnie uśmiechnęła, kiedy przyszłam. To był znak.

Takie urojenia, które psychiatrzy klasyfikują jako „ksobne" (polegające na odnoszeniu nieistotnych zewnętrznych wydarzeń do samego siebie) oraz „wielkościowe" (przesycanie codziennych czynności jakimś transcendentnym celem), są znane jako „objawy schneiderowskie", od nazwiska niemieckiego psychiatry Kurta Schneidera, który jako pierwszy opisał w latach 40. charakterystyczne objawy psychozy. Połączenie tych zachowań z danymi z wywiadu pozwalało wyraźnie podejrzewać schizofrenię, najpoważniejszą i najniebezpieczniejszą z chorób psychicznych, którą ja sam zajmowałem się przez trzy dekady. (…)

Poprosiłem rodziców Eleny, by wrócili do gabinetu.

– Jaki jest werdykt? – spytała pani Conway bez mrugnięcia okiem, bębniąc palcami w krzesło.

Powiedziałem im, że nie mogę być całkiem pewien, póki nie przeprowadzę kolejnych testów, ale wydaje się prawdopodobne, iż ich córka cierpi na schizofrenię, chorobę dotykającą ok. 1% ludzi, manifestującą się zwykle w późnym okresie dojrzewania lub we wczesnej dorosłości. Zła wiadomość była taka, że choroba jest poważna, nawracająca i nieuleczalna. Dobra wiadomość jest taka, że przy odpowiednim leczeniu i stałej opiece istnieje bardzo duża szansa, że dziewczyna wróci do zdrowia i będzie prowadzić relatywnie normalne życie, a może nawet wróci na studia. Wiedziałem, że teraz przyjdzie najtrudniejszy moment. Spojrzałem panu i pani Conway w oczy i powiedziałem z naciskiem, że ich córkę należy natychmiast hospitalizować. Pani Conway wykrzyknęła jakieś słowa protestu i niedowierzania. Jej mąż stanowczo pokręcił głową i rzucił:

– Nie trzeba jej zamykać w szpitalu, na miłość boską. Musi tylko się ogarnąć i wziąć w garść!

Upierałem się, że Elena potrzebuje stałego nadzoru i natychmiastowego leczenia, tak aby bezpiecznie przywrócić ją do zdrowia i uniknąć przyszłych niebezpieczeństw, takich jak incydent w metrze. Ostatecznie ustąpili i zgodzili się wysłać ją na oddział psychiatryczny (…).

Osobiście nadzorowałem leczenie Eleny. Zarządziłem przeprowadzenie badań krwi, a także EEG, rezonans magnetyczny i testy neuropsychologiczne, by wyeliminować inne przyczyny jej stanu. Następnie przepisałem jej rysperydon, bardzo efektywny lek przeciwpsychotyczny, wywołujący jedynie marginalne efekty uboczne. W międzyczasie, w ramach zajęć grupowych, terapeuci wzmacniali jej umiejętności społeczne. Terapia poznawcza poprawiła jej koncentrację i uwagę. Ścisłe instrukcje dotyczące codziennych czynności pomogły poprawić jej wygląd i higienę. Po trzech tygodniach leczenia i intensywnej opieki kosmiczne symbole nie przykuwały już jej uwagi, a naturalna osobowość Eleny zaczęła powoli znów się ujawniać. Była osobą radosną i inteligentną, obdarzoną żywiołowym poczuciem humoru. Z zażenowaniem mówiła o swoim niedawnym zachowaniu i mocno pragnęła wrócić na studia i do swoich przyjaciół w New Haven.

Jej błyskawiczna poprawa była świadectwem siły współczesnej psychiatrii, a ja nie mogłem się doczekać, kiedy Elena wróci do rodziców. (…)

Historia psychiatrii nie jest tylko czarną komedią pełną omyłek. To również opowieść detektywistyczna.

eprasa.pl 8d3d48c988

Kiedy jednak nasz zespół terapeutyczny spotkał się z Conwayami, aby omówić kwestię wypisu Eleny i zwrócić uwagę na konieczność stałej opieki ambulatoryjnej, okazało się, że rodzice nie są przekonani, że tak znaczna poprawa stanu ich córki jest wynikiem terapii medycznej, jakiej została poddana. Nic więc dziwnego, że kilka tygodni później dowiedziałem się od pracowników przychodni dla pacjentów ambulatoryjnych, że Elena przestała się u nich pojawiać. Skontaktowałem się z Conwayami i próbowałem ich przekonać, że Elena nadal potrzebuje pomocy medycznej, a bez niej na pewno nastąpi nawrót choroby. Podziękowali mi za pomoc, równocześnie jednak twierdząc, iż wiedzą sami, co jest najlepsze dla ich córki, i że będą zapewniać jej opiekę na własną rękę.

Prawdą jest, że gdyby to wszystko działo się w latach 70., kiedy studiowałem medycynę i przyjmowałem moich pierwszych pacjentów, mógłbym z nimi sympatyzować, a może nawet podzielałbym awersję Conwayów do psychiatrów. Większość instytucji psychiatrycznych była wówczas w cieniu ideologii i wątpliwych praktyk naukowych, a wszystkie ważne stanowiska w tym pseudomedycznym krajobrazie zajmowali wyznawcy Zygmunta Freuda. Conwayowie jednak szukali pomocy dla swojej córki w XXI w.

Po raz pierwszy w swej długiej i burzliwej historii psychiatria oferuje naukową, humanistyczną i efektywną terapię dla osób cierpiących na zaburzenia psychiczne. (…) Kiedy piszę te słowa, psychiatria wreszcie zajmuje należne jej miejsce pośród innych nauk medycznych po bardzo długim błąkaniu się po naukowych pustkowiach. Wzmocniona nowymi badaniami, nowymi technikami i nowymi odkryciami, psychiatria nie tylko może wreszcie wyjść z cienia, ale wręcz musi pokazać się światu w nowym, ożywczym świetle.

Po raz pierwszy w swej historii psychiatria oferuje efektywną terapię dla osób cierpiących na zaburzenia psychiczne.

Wedle Narodowego Instytutu Zdrowia Psychicznego jedna na cztery osoby będzie kiedyś cierpieć na zaburzenia psychiczne. Bardziej prawdopodobne jest, że człowiek będzie potrzebował pomocy psychiatry niż jakiegokolwiek innego lekarza specjalisty. A jednak nadal zdecydowanie zbyt wielu ludzi – tak jak Conwayowie – świadomie unika terapii, których skuteczność została w pełni dowiedziona. Proszę mnie dobrze zrozumieć: pierwszy przyznałbym, że psychiatria uczyniła wiele, by zasłużyć sobie na ten utrzymujący się stygmat. Nie bez powodu tak wielu ludzi zrobiłoby wszystko, co w ich mocy, by uniknąć wizyty u psychiatry. Wierzę, że jedynym sposobem, by psychiatrzy dowiedli, jak daleko wyszli z dawnych mroków, jest przyznanie się do wielu pomyłek w naszej długiej historii i przedstawienie nieocenzurowanej opowieści o tym, jak zdołaliśmy przezwyciężyć naszą niechlubną przeszłość. (…)

Pełna historia psychiatrii nie jest jednak tylko czarną komedią pełną zabawnych omyłek. To również opowieść detektywistyczna, napędzana trzema kluczowymi pytaniami, które zadawała sobie każda odnosząca sukcesy generacja psychiatrów: Czym jest choroba psychiczna? Skąd się bierze? I przede wszystkim, jak w każdej profesji wyrastającej z przysięgi Hipokratesa: jak możemy leczyć choroby psychiczne?

Od początku XIX w. aż po wiek XXI każde nowe pokolenie psychiatrycznych detektywów znajdywało nowe poszlaki – oraz bezcelowo goniło za mylnymi tropami – i dochodziło ostatecznie do odmiennych konkluzji na temat natury zaburzeń psychicznych, wprawiając tym psychiatrię w niekończący się ruch wahadłowy pomiędzy dwoma pozornie wykluczającymi się sposobami patrzenia na choroby psychiczne: poglądem, że choroba dotyka wyłącznie umysłu, oraz przekonaniem, że dotyka wyłącznie mózgu. Żadna inna specjalność medyczna nie doświadczyła tak ekstremalnej niestabilności w kwestii swych fundamentalnych założeń – i właśnie dlatego psychiatria zyskała reputację czarnej owcy w medycznej rodzinie, pogardzanej zarówno przez innych lekarzy, jak i przez samych pacjentów. A jednak mimo wielu fałszywych tropów i ślepych uliczek detektywistyczna historia psychiatrii ma wspaniały finał, w którym niezbadane dotąd zagadki zaczynają być stopniowo wyjaśniane.

Fragmenty książki Jeffreya A. Liebermana *Czarna owca medycyny. Nieopowiedziana historia psychiatrii*, przekład Maciej Miłkowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020

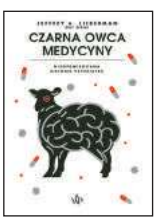

eprasa.pl 8d3d48c988

Oto jak gniewa się nasze MSZ!

Pisaliśmy tydzień temu o tym, że 50 ambasadorów akredytowanych w Polsce podpisało list w sprawie osób LGBT. Że zbieranie podpisów koordynowała Ambasada Królestwa Belgii, za to ambasador USA w Polsce, Georgette Mosbacher, całą sprawę upubliczniła. I rozreklamowała. Ku wściekłości władz.

Nowy minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau (krytykują go ostatnio za słaby angielski) został więc obarczony misją okazania pani ambasador swojego niezadowolenia. Miał zadowolić Jarosława Kaczyńskiego i pisowski elektorat.

Do mediów przeciekła zatem informacja, że Georgette Mosbacher „została wezwana" do MSZ, by wyjaśniła swoje stanowisko, a szczególnie sformułowanie, że „Polska stoi po złej stronie historii". Tak aby można było się szczycić, że jesteśmy tacy silni, że jak trzeba, to i ambasadora USA pouczymy. Tyle propagandowego nadymania się.

Realnie wyszło trochę inaczej. Otóż pani Mosbacher nie została do MSZ wezwana, ale zjawiła się tam „z wizytą". Tak określił jej pobyt Marcin Przydacz, podsekretarz stanu ds. bezpieczeństwa, polityki amerykańskiej, azjatyckiej oraz wschodniej. Uff…

Ta wizyta, dodajmy, musiała być dość intymna, bo na oficjalnej stronie MSZ o niej nie poinformowano. Choć w innych przypadkach, gdy np. wzywano ambasadora Rosji, widniała stosowna informacja.

A jedyną oznaką, że ministerstwo jest z listu niezadowolone, było to, że wizyta została przesunięta o dwa dni. Z wtorku na czwartek.

Podczas spotkania strona polska odniosła się do listu. Wiceminister Przydacz, który panią ambasador przyjmował, wyjawił, co mówił. Otóż padły z jego ust takie słowa: „Nie możemy się jednak zgodzić z ostatnimi działaniami i wypowiedziami ambasador Mosbacher, a zwłaszcza ze stwierdzeniem, że w kwestii LGBT jesteśmy po złej stronie historii. Polskie prawo gwarantuje niedyskryminacyjne traktowanie wszystkich ludzi, niezależnie od ich pochodzenia, wyznania czy orientacji seksualnej. (…) Historycznie Polska gwarantowała mniejszościom seksualnym dużo szersze prawa niż inne kraje i nigdy takich osób nie prześladowała". A następnie zapewnił ją, że polsko-amerykańskie partnerstwo jest silne i trwałe oraz że relacje ostatnio zostały „wzmocnione".

Tak więc i wilk pozostał syty, i owca cała. Pytanie tylko, kogo w roli owcy powinniśmy obsadzić. A jeżeli już jesteśmy przy tych miłych zwierzętach – śmiało w roli owcy można obsadzać pracowników MSZ, którym Biuro Spraw Osobowych wręcza wypowiedzenia, stosownie do zapisów ustawy o zapobieganiu COVID-19.

Nie są to rzeczy miłe. Dlatego tylko przypominamy wszystkim tym, których do BSO wzywają: warto w takiej sytuacji zachować zimną krew i poprosić o wgląd do akt. A następnie je przejrzeć i poprosić o skserowanie.

Bardzo to ułatwi, zwłaszcza jeśli będą tam wpisy pozytywne, dobre opinie, pochwały, pisanie pozwu.

Nawiasem mówiąc, sąd podczas rozprawy może wnioskować do MSZ o przesłanie całej teczki osobowej, żeby przeanalizować jej zawartość. Warto więc mieć wcześniej własne odbitki, by spróbować narzucić własną interpretację treści akt.

Lekko nie będzie. Ale warto powalczyć.

Attaché

Lepiej zapobiegać, niż leczyć. Na lotnisku w Can Tho w Wietnamie pracownicy rozpylają środki dezynfekujące na podróżnych z Singapuru.

FOT. STAFF/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8d3d48c988

JOLKA

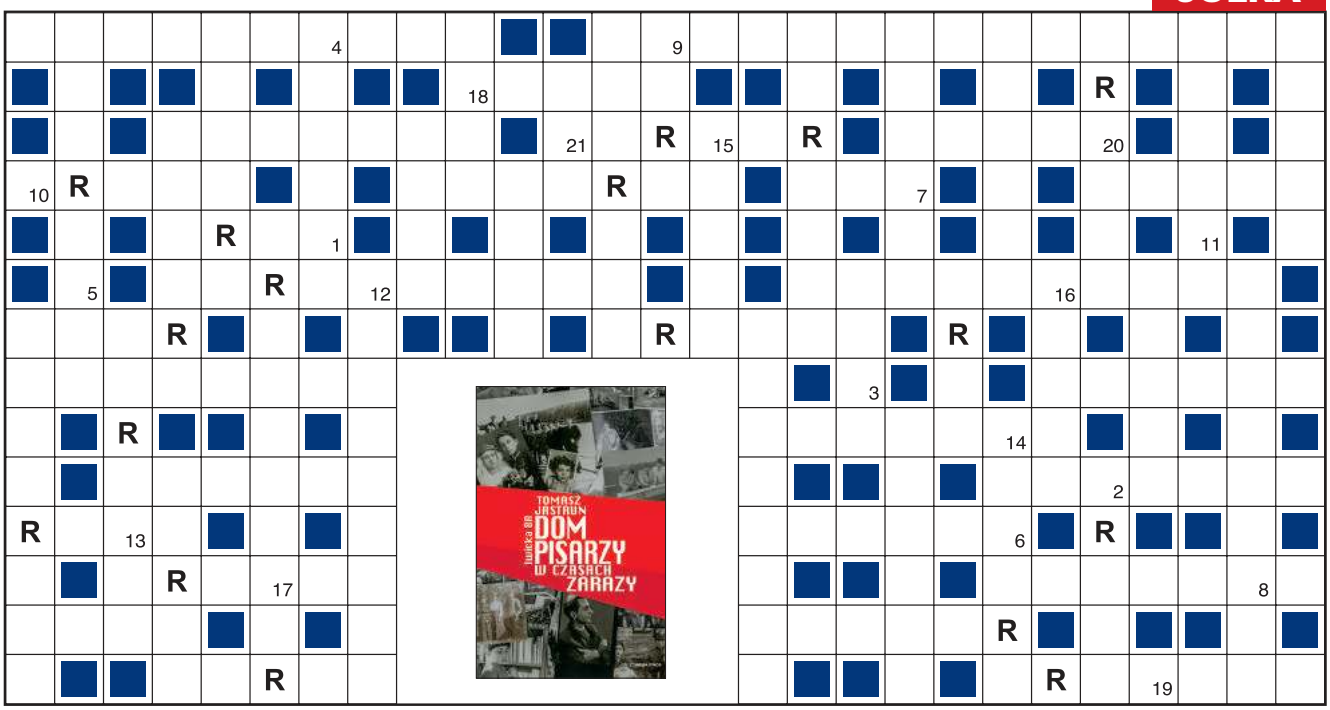

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- postać dezodorantu, lakieru
- musicalowa tańczy i śpiewa
- urządzenie do wykonywania działań mnożenia, odejmowania
- bohaterka opowiadania Chateaubrianda i obrazu Girodeta-Triosona
- sala na uroczyste spotkania i wykłady
- wiatr zmieniający kierunek dwa razy na dobę
- „Czerwony jak…" Dżemu
- o oszczędnym do przesady
- Isla Róbinson… dawniej Más a Tierra
- szkolny zeszyt z wydrukowanymi zadaniami
- specjał, przysmak
- np. Łódź Fabryczna
- grozi sprinterowi za falstart
- szykownie ubrany
- „…na śmierć Zawiszy Czarnego" Przerwy-Tetmajera
- pożywienie koali
- psota, psikus
- syn Dedala
- wkładka reklamowa w gazecie
- tam mieszkają uczniowie zamiejscowi
- imię aktorki z „Szamanki" Żuławskiego
- muzyka, którą spopularyzował Tyrmand
- fartuch lekarza, laboranta
- rzut rożny
- pod rządami Jacka Majchrowskiego
- lis go zwiódł pochlebstwami
- sok mleczny roślin kauczukodajnych
- sen – stan pozornej śmierci
- rasa gołębi o kędzierzawych piórach
- stoi na wystawie sklepu odzieżowego
- podawany komuś numer telefonu lub adres mejlowy
- ptak z pampasów
- poślubiła Piotra Bezuchowa
- ryba akwariowa ze świecącym niebiesko-zielonym pasem
- wodór, selen lub fosfor
- tapicerka mebla
- otaczanie płotem
- tego… szuka, co sercu miłe
- pod nią bitwa morska w 1627 r.
- słynny …Express
- miasto nad Świdrem i ze Świdrem
- może wybuchnąć na giełdzie
- paczka papieru do drukarki
- wstępne, ostatnie lub harcerza
- np. łożyskowiec
- mieszkanie odnajmowane uczniom, studentom
- odporność na niego ważna w niektórych zawodach
- udaje, że coś mu dolega
- 8 w skali Beauforta
- rodzaj dużego balkonu
- do przecierania kłód na tarcicę
- kierowany przez motorniczego
- czasem paraliżuje debiutanta
- o za grubej warstwie makijażu
- …Dolne, siedziba powiatu bieszczadzkiego
- pomidor jest nim czy owocem?
- dociekliwość, dogłębność
- piesek, miasto, nazwisko dynastyczne
- zbieżny lub rozbieżny

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-982". Do rozlosowania książki „Dom pisarzy w czasach zarazy" ufundowane przez Wydawnictwo Czarna Owca. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 października 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-979" z nr. 39: *Entuzjazm daje energię*.
Nagrody otrzymują: Barbara Kursa z Chełma, Stanisław Sawicki z Wydmin, Adam Wnęk z Olsztyna.

eprasa.pl 8d3d48c988

PENETRACJE

ANNA MAŁYSZKO, SOCJOLOŻKA

W okresie pandemii koronawirusa prawdziwe Polki i prawdziwi Polacy nie oszczędzają nikogo. Żadna mniejszość, żaden „wróg Ojczyzny" nie zniknął z narodowego radaru w czasie koronawirusowej gorączki. Politycy, działacze skrajnej prawicy i prawicowi publicyści winą za pandemię obarczyli Żydów, masonów, „komuchów", „ekoterrorystów" oraz inne środowiska według nich zainteresowane depopulacją świata w ogóle, a Polski w szczególności, czyli środowiska LGBT, marksistów kulturowych, wegan, zwolenników prawa do aborcji i eutanazji, a także organizacje międzynarodowe, w tym ONZ, UE i WHO. Nie zapomnieli też o zagrożeniu ideologią gender.

MARIUSZ URBANEK, PISARZ, PUBLICYSTA

W swoich książkach Waldorff wplatał wątki prywatne, pojawiały się tam niespodziewanie zdania: „Trąciłem w bok Miecia i powiedziałem mu: Wstawaj". Jednak nie było mowy o tym, żeby nazwać tę relację wprost. Ten rozdział w biografii Szymanowskiego został napisany na specjalne życzenie Wiesława Uchańskiego, szefa wydawnictwa Iskry, i pojawił się dopiero w trzecim wydaniu. Nie nazwałbym Waldorffa homoseksualistą – z informacji, które zebrałem, wynika, że był biseksualny. Intymne kontakty z kobietami miał przez całe swoje życie. Dla jednych pań był atrakcyjny jako mężczyzna, a inne widziały w nim wpływowego recenzenta, który mógł ułatwić karierę. Mieczysław Jankowski, już po wielu latach związku, wiedząc o tych skłonnościach Waldorffa, zaproponował: „Jerzy, słuchaj, skoro ty możesz być z kobietami, to może po prostu się ożeń?". Był gotów poświęcić swoje uczucie, żeby ułatwić partnerowi życie. Ale Waldorff odpowiedział: „Nie, bo ja cię kocham".

JERZY SOSNOWSKI, WSPÓŁTWÓRCA RADIA NOWY ŚWIAT

Przede wszystkim szukamy ludzi, którzy złapią z nami coś, czego nikt jeszcze nie opisał i nie zdefiniował. Tę specyficzną mieszankę odpowiedzialności za słowo i jednocześnie pewnego luzu, poczucia komizmu, którą można odczuć tak w rozmowie, jak i w brzmieniu z anteny. Nasi słuchacze są ludźmi gotowymi posłuchać czegoś nieoczywistego, lubią radio niebędące szafą grającą, są spragnieni stacji nieangażującej się w walkę polityczną, ale o jasnym profilu aksjologicznym.

ARTUR ANDRUS, POETA, AUTOR PIOSENEK

Znalazłem informację o konkursie na „wiersz z nadzieją". Ucieszyłem się, kiedy w opisie przeczytałem, że chodzi o „wiersz, który podniesie nas na duchu. Nie musi odnosić się bezpośrednio do epidemii, ale niech niesie nadzieję". Miałem nawet jeden gotowy, napisałem go na 70. urodziny mojego kolegi poety. Oto fragment: „Nie smuć się, człowieku / Wiek to żaden problem / Dylan w twoim wieku / Był jeszcze przed Noblem". Nie odnosi się bezpośrednio do epidemii, ale nadzieję moim zdaniem niesie bardzo. Wysłałem. Nic nie zdobyłem.

Wyjątkowy sprzedawca obwarzanków na Rynku Głównym w Krakowie.

FOT. KARINA KRYSTOSIAK

Aby język giętki…

GRAŻYNA TORBICKA O MAMIE KRYSTYNIE LOSCE

Rano jadłyśmy razem śniadanie, a potem do łazienki wchodziła mama, a wychodziła… Krystyna Loska.

JAN HOLOUBEK O OJCU GUSTAWIE

Różnica wieku między mną a ojcem była kolosalna, 55 lat. Pamiętam jego ogromną czułość i wspaniałą herbatę z cytryną, którą mi robił.

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ O JANIE PIETRZAKU

W pewnym momencie uwierzył, że jest mesjaszem, i niestety tak mu zostało do dzisiaj.

PROF. MONIKA PŁATEK O WŁADZY

Jest groźna. Odurza. Pompuje i nadyma, wypełnia serce i głowę wodą sodową.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ O INSTAGRAMIE

Znam ludzi, którzy od moich postów zaczynają dzień, jak od gazety przy śniadaniu.

AGNIESZKA HOLLAND O PiS

Za pomocą prostej propagandy spowodowali, że pewne preferencje etyczne narodu się zmieniły.

SZCZEPAN TWARDOCH O ŚLĄSKU

Śląsk jest dla mnie ważny i drogi. Wzrusza, rozczula i roztkliwia. Chciałbym, by śląska tożsamość jeszcze trochę przetrwała.

JUSTYNA KOWALCZYK O TRICEPSIE

To wizytówka mistrzyni. Rozumiałam, że bez mocnych pleców nigdy nie wyprzedzę na finiszu rywalek, latami na nie pracowałam. Tysiąc ton żelastwa przerzuciłam.

AGATA KULESZA O DOTYKANIU

Nie lubię długiej charakteryzacji, mam problem z tym, że ktoś mnie ciągle dotyka.

MACIEJ MALEŃCZUK O MIŁOŚCI

Mam sceptyczny, nieufny stosunek do choroby zwanej miłością.

PAULINA KRUPIŃSKA-KARPIEL O BŁOGIM SPOKOJU

Lubię usiąść przed chałupą, popatrzeć na Giewont. Robię się wtedy malutka. A razem ze mną moje problemy.

eprasa.pl 8d3d48c988

Jakby luksusowo

Wydało się, że część instagramerek z Los Angeles, pozujących na osoby bardzo zamożne, korzysta z usług małego studia fotograficznego, które zostało wystylizowane na pokład prywatnego odrzutowca. Udawanie krezuski nie jest drogie – godzina wynajmu atelier kosztuje 64 dol. „To szalone, że wszystko, co oglądasz w mediach społecznościowych, może być fałszywe. Wnętrza, ciuchy, ciało...", skomentowała na Twitterze @maisonmelissa. „Nie wiem, czemu twierdzicie, że mnie zdemaskowaliście i że kłamałam. Nigdy nie powiedziałam, że siedziałam w prawdziwym odrzutowcu", broni się jedna z przyłapanych, Azra Mian.

Nic, że nieżywy – grunt, że uczciwy!

Śmierć z powodu COVID-19 nie przeszkodziła Ionowi Alimanowi zwyciężyć w wyborach na burmistrza Deveselu w Rumunii. Socjaldemokratyczny polityk i były oficer marynarki wojennej, dla którego byłaby to już trzecia kadencja na tym stanowisku, zdobył aż 64% głosów. Było to możliwe, gdyż jego nazwisko znajdowało się na wydrukowanych wcześniej kartach do głosowania i nie mogło zostać usunięte. Lokalna społeczność tłumaczy, że Aliman był dobrym gospodarzem i zasłużył na pośmiertną elekcję. „Przestrzegał wszystkich praw. Nie sądzę, że doczekamy się takiego burmistrza jak on", skomentowała jedna z mieszkanek.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Zmywarki nie są tym, czym się wydają

Martin Hron, specjalista do spraw bezpieczeństwa z firmy Avast, w pomysłowy sposób pokazał, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą bezprzewodowe łączenie się z internetem przez urządzenia codziennego użytku. Zhakował ekspres do kawy, tak że po połączeniu z siecią zaczynała lać się z niego gorąca woda, uruchamiała się grzałka, młynek do ziaren nie dawał się wyłączyć, a wyświetlacz prezentował wiadomość z żądaniem okupu. Jak wyjaśniają znawcy, w podobny sposób można przejąć kontrolę nad wieloma innymi nowoczesnymi sprzętami: telewizorami, lodówkami, pralkami czy zmywarkami.

Kostka cukru niezgody

Sąd Najwyższy Irlandii uznał, że kanapek serwowanych w tym kraju pod globalną marką Subway nie można uznać za zrobione na chlebie. Spór w tej sprawie ciągnie się od 2006 r., kiedy to sąd najniższej instancji nałożył na rzeczone wyroby piekarnicze VAT, ponieważ jego zdaniem nie sposób ich zakwalifikować jako podstawowego artykułu spożywczego, zwolnionego z podatku. Skład pięciu sędziów orzekł, że pieczywo stosowane przez irlandzkie lokale sieci znacznie wykracza poza podatkową definicję chleba powszedniego: składa się z cukru w aż 10%, podczas gdy graniczną jego zawartość określono na 2% wagi mąki użytej do zrobienia ciasta. Teraz kromki wykorzystywane w popularnej przegryzce będą objęte 13,5-procentowym podatkiem, co dla restauracji oznacza duży wzrost kosztów. Cóż, nikt nie mówił, że biznes kanapkarski to lekki kawałek chleba.

eprasa.pl 8d3d48c988

Jak bardzo człowiek nie liczy się z bezpieczeństwem słoni, odbierając im wolność i przestrzeń. Indyjski kornak na ruchliwej drodze w Allahabadzie. Wiele słoni ginie zaś, wpadając pod koła pociągu.

Módl się, pracuj i graj

Firma Simulamaker z Czarnego Lasu, wsi pod Grodziskiem Mazowieckim, pracuje nad grą komputerową zatytułowaną „Noah's Ark" (Arka Noego), dzięki której każdy chętny będzie mógł zakosztować niełatwego życia biblijnego patriarchy. Zadaniem gracza będzie wybudować korab, załadować nań wybrane gatunki zwierząt i uratować je przed potopem. Premierę tytułu, który ma kosztować niecałe 20 dol., zaplanowano na 2021 r. Na Wielkanoc owego roku studio zamierza wypuścić na rynek inną grę: „I Am Jesus Christ" (Jestem Jezusem Chrystusem), czyli symulator chrześcijańskiego Zbawiciela. Z takimi pomysłami firma raczej nie zatonie, a nawet jeśli – szybko powróci do świata żywych.

Kto pod kim dołki kopie… zostaje mistrzem

W syberyjskim Tomsku odbyły się zawody w kopaniu grobów na czas. Zgodnie z zasadami konkursu doły musiały mieć 200 cm długości, 80 cm szerokości i 160 cm głębokości. Dokładność wykonania jury weryfikowało za pomocą prawdziwej trumny, która musiała zmieścić się w dole za pierwszym razem. Zwycięzca mistrzostw wykonał czarną robotę w 52 minuty, a na piątym, ostatnim miejscu znalazł się fachowiec, który wykopał mogiłę w 68 minut. „Nie spodziewaliśmy się, że grabarze zareagują na naszą inicjatywę z takim entuzjazmem", skomentował Aleksandr Szarabajew, szef stojącej za czempionatem Wspólnej Służby Dyspozytorskiej Usług Rytualnych.

FOT. A-MEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, FACEBOOK, SANJAY KANOJIA/AFP/EAST NEWS, RUPAK DASTIDAR/CATERS NEWS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 8d3d48c988

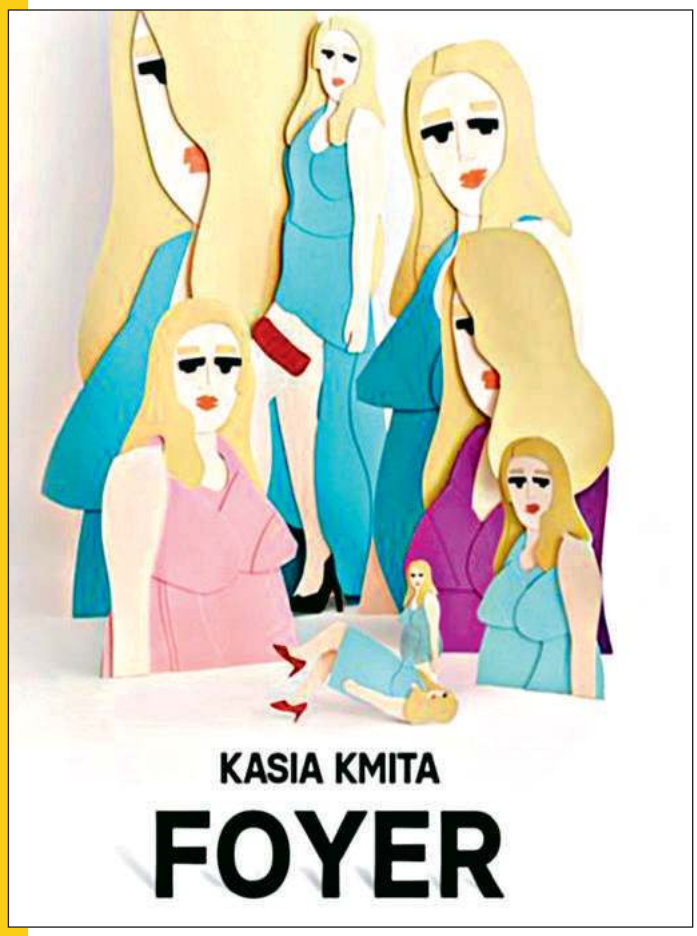

Kasia Kmita posługuje się techniką kodry, która pochodzi z tradycji kultury ludowej. Figuratywna łowicka wycinanka używana była do przedstawiania ważnych zdarzeń z życia wspólnoty, takich jak święta i rytuały. Artystka tworzy zaś w ten sposób wizualne zapisy współczesnego życia społecznego. Zainteresowanie kodrą łączy z fascynacją kinem i możliwościami, jakie stwarza użycie kinematograficznego języka w nieruchomym obrazie. „Foyer" jest kontynuacją projektu „Panorama horyzontalna", który Kasia Kmita pokazała podczas MFF Nowe Horyzonty we Wrocławiu w 2019 r.

Foyer kina Muranów
Warszawa, ul. Andersa 5
do 22 listopada

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

8d3d48c988

M{i}aSTO/a GwiAzd

czyli InterdySCYPlinarny FESTiwal SzTUk 2020

ŻYRARDÓW

HONOROWY PATRONAT
Lucjan Krzysztof CHRZANOWSKI
Prezydent Miasta Żyrardowa

Powiat Żyrardowski

Marszałek Województwa Mazowieckiego

HONOROWY PATRONAT
Adam STRUZIK
Marszałek Województwa Mazowieckiego

Mazowsze. serce Polski

Projekt współfinansowany ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego

Geotermia Mazowiecka S.A.

LABOR

WDK GROUP

Canon

Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej ELEKTROWNIA

TVP KULTURA

TVP 2

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Ciebie

RZECZPOSPOLITA

Życie regionów RZECZPOSPOLITA

Przegląd

Perspektywy

artluk

eprasa.pl 8d3d48c988

EDOARDO LEO JASMINE TRINCA STEFANO ACCORSI

Czasem warto dać sobie drugą szansę...

NOWY FILM MISTRZA WŁOSKIEGO KINA

FERZANA ÖZPETKA

W KINACH OD 16 PAŹDZIERNIKA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

ANICA

AURORA